CEL ZA HORYZONTEM

OPOWIEŚĆ SNAJPERA GROM-U

KAROL K. SOYKA
Krzysztof Kotowski

Ppłk Karol K. Soyka był w GROM-ie od początku, jako pierwszy Polak ukończył szkolenie Zielonych Beretów, brał udział w ekstremalnie trudnych misjach, był w tym piekielnie dobry, a teraz postanowił ujawnić swoją historię.

Karol K. Soyka, Krzysztof Kotowski

Cel za horyzontem

Opowieść snajpera GROM-u

Wołowiec 2015

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl
Projekt okładki Magdalena Palej
Fotografia na okładce © by Oleg Zabielin / shutterstock

Copyright © by Karol Soyka i Krzysztof Kotowski, 2015

Redakcja Andrzej Piotr Lesiakowski / d2d.pl
Korekta Małgorzata Tabaszewska / d2d.pl, Iwona Łaskawiec / d2d.pl
Redakcja techniczna i skład Robert Oleś / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-100-7

Black Publishing jest marką wydawniczą Wydawnictwa Czarne sp. z o.o.

BLACK PUBLISHING
Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
Redakcja: redakcja@blackpublishing.pl

Wołowiec 2015
Wydanie I

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Motto

Mosul, jesień 2004 roku
Las
Broń
Komandos
Kilka słów o tym, co się zmieniło od czasów PRL
Zasady
Nowe czasy. Legendarne akcje
Selekcja
Pierwsza próba… jeszcze nie ognia
Na granicy sił…
Każdy się boi…
Nowe metody. Nowe „zabawki”
Taktyka
Thomeny
Taktyka niebieska
W Zatoce Perskiej
Taktyka czarna
Każdy może być „pierwszym”
Akcja
Pierwsza zagraniczna misja
Haiti – wyspa piekielna
Polityka i kłopoty
Kurs Sił Specjalnych Wojsk Lądowych USA – Zielone Berety
Po przeciwnej stronie wzgórza
Survival
Irak
Drugie lądowanie
Przy stole dla „dorosłych”
Oko w oko z morskim kolosem
Mokra robota
Atak na platformę KAAOT. Jedna z najważniejszych akcji polskich sił specjalnych po II wojnie światowej
Na zakończenie kilka słów… od żołnierza
Na zakończenie kilka słów… od tego „drugiego”

Bibliografia
Przypisy

Mosul, jesień 2004 roku

Zwykle robiliśmy w nocy. O drugiej, trzeciej, kiedy wszyscy śpią. My… sypialiśmy w dzień. Żyliśmy na odwrót, ale tak było trzeba. Naszą bazę ostrzeliwano właściwie bez przerwy. Moździerze, karabiny, wszystko. Przez okrągłe siedem miesięcy. Lecąc tam pierwszy raz, pocieszałem się, że spadnie pięć, może sześć pocisków moździerzowych dziennie. Ale to nie było pięć czy sześć pocisków dziennie. Walili w nas co najmniej trzydziestoma moździerzami na dobę. Wyobraź sobie – żyć ponad pół roku pod stałym ostrzałem. Nie było dnia, żeby coś na nas nie leciało. Po pewnym czasie zobojętnieliśmy na tyle, że kiedy przychodziła pora odpoczynku, spaliśmy z automatu, machając na to wszystko ręką. Leci to leci, chrzanić… Wzmocnienie dachu jakąkolwiek płytą niewiele by dało. Kiedy pocisk moździerzowy trafia, przebija dach i wszystko, co ma na drodze, wbija się w podłogę i wybucha. Nic się wtedy nie da zrobić. Ale… da się dorwać drani, którzy te pociski wystrzeliwują, więc robiliśmy wszystko, żeby ich wyłapać. Efekt był taki, że im bardziej ich przyciskaliśmy, tym bardziej zaciekle w nas tłukli. Ale nie odpuszczaliśmy. Myślisz, że trudno było skurwieli poznać? Nie było trudno. Rzucali się w oczy natychmiast. Po prostu nie mieli palców, bo kiedy ładowali pociski do tych rur z PCV, prędzej czy później za którymś razem nie zdążali cofnąć rąk i urywało im palce. Standard.

Oczywiście byli też snajperzy. Z ruskimi dragunowami[1], z trudnym do wyobrażenia fanatyzmem w oczach, o poczuciu humoru mafijnego komornika. Amerykanie wkurzali się na to wszystko jeszcze bardziej niż my. Ciągle gadaliśmy, że trzeba w końcu sprawę załatwić, i to na poważnie. Nie na żarty, jak do tej pory.

Tamtej nocy umówiliśmy się, że idziemy na wzgórza, rozpoznajemy, przygotowujemy zasadzkę, akcję, a potem zdejmujemy wszystkich, których znajdziemy, i kończymy zabawę. Wskoczyliśmy do dwóch śmigłowców Black Hawk na lotnisku amerykańskiej 101. dywizji desantowej (to była także baza Navy SEALS i GROM-u) i polecieliśmy najpierw na południe, wzdłuż rzeki Tygrys, a potem mniej więcej siedem kilometrów na wschód. W terenie szliśmy na nich normalnie. W siłach specjalnych jest zasada: kiedy dwóch idzie przodem, najczęściej trzeci ubezpiecza „do tyłu”. To nieprawda, że snajperzy zawsze działają w parach. Bywa, że jest nas trzech. Wtedy, tamtej nocy, tym trzecim byłem ja. Przodem poszło dwóch Amerykanów. Młodsi ode mnie, ale świetnie zbudowani – potężne chłopaki – i, co najważniejsze, znali się na robocie. Ustaliliśmy pozycje – byli trzydzieści metrów przede mną. Zawodowi trackerzy tak działają, żeby ci, którzy mogliby ich wytropić, nadziewali się na minę albo właśnie na tego trzeciego – wtedy to on ich zdejmował. Na dłuższych akcjach w takim

zespole oczywiście konieczna jest rotacja. Kiedy SAS ubezpieczał Falklandy podczas wojny z Argentyńczykami, bywało, że ludzie musieli być na stanowisku przez całe tygodnie, mieli więc system zmian, dzięki któremu mogli być cały czas jednakowo skuteczni.

Tamtą akcję zaplanowaliśmy na dwie doby. Lecieliśmy helikopterem bardzo nisko, tak by nas nie zauważono. Wyskoczyliśmy, śmigło dało w górę i po pewnym czasie nastała kompletna cisza. Mieliśmy *high ground*, czyli przewagę terenu. Zawsze trzeba tak kombinować, żeby być choć trochę wyżej niż przeciwnik. Teren wyglądał na w miarę spokojny. Z przodu widziałem zarysy jakiejś glinianej chaty, otoczonej niskim żywopłotem. Obserwowałem ją przez pewien czas przez lornetkę, ale wyglądało na to, że jest okej, nikt się nie poruszał. Postanowiliśmy na razie tam nie wchodzić i ominąć sprawę, idąc na północny wschód. Zajęliśmy pozycję i zaczęliśmy „nocować". Jak się „nocuje"? To nieprawda, że snajperzy nie śpią. Pilnujemy się, ale śpimy. Chociaż kiedy jest adrenalina, trudno mówić o pełnym śnie. Organizm jest tak zmobilizowany, że choć teoretycznie odpoczywasz, w każdej chwili jesteś gotowy, by działać, i… słuchasz. To trochę tak jak w myślistwie. Kiedy czekasz na zwierzynę długie godziny, przyczajony w zasadzce, musisz umieć się wsłuchać w przyrodę, w każdy dźwięk, w najmniejszy szelest. Gdy przyzwyczaisz już zmysły do ciszy, a wtedy coś się zacznie dziać, może ci się wydać, że idzie na ciebie dzik, żubr, czy nawet niedźwiedź. Wiesz, coś naprawdę dużego. A okazuje się, że to może być jeż, a nawet mysz. Kiedy jesteś naprawdę skupiony w takiej ciszy, nawet tak małe zwierzęta mogą narobić tyle hałasu, że aż trudno w to uwierzyć. Tak działają emocje. Więc trzeba umieć wsłuchać się w teren. To duża sztuka i połowa sukcesu. Jeśli człowiek położy się na ziemi, odsłoni uszy i zacznie w odpowiedni sposób czuwać, może usłyszeć wszystko. Nawet robaka idącego po ściółce czy skorpiona wgrzebującego się na skały.

Każdy z nas, trackerów, ma w sobie coś takiego, że natychmiast budzimy się, kiedy coś jest nie tak. Tam wydawało się, że naprawdę jest spokojnie. Siedzieliśmy całą noc, potem dzień. Trochę leżeliśmy bykiem, żeby poobserwować słońce, trochę drzemaliśmy. Przyszła następna noc. Wciąż było spokojnie. W końcu nad ranem postanowiliśmy, że się zwijamy. Nic się nie działo. Nikt nie strzelał, nikt się nie poruszał, słychać było tylko nasze lądujące w bazie herculesy.

Samolot transportowy Hercules C-130 podchodzący do lądowania w bazie w Mosulu

Zrobiło się najzwyczajniej w świecie nudno. Gdy mieliśmy już wstawać, nagle coś mnie tknęło. Przez chwilę sam nie wiedziałem co. Po prostu coś mnie „zaswędziało" i kazało uważnie obserwować miejsce za niewielkimi skałkami, właśnie przy tej chacie, którą wcześniej sobie odpuściliśmy. Leżałem na plecach, więc przewróciłem się wolno na brzuch. Chłopcy z przodu cicho gadali ze sobą, chyba niczego nie zauważyli. Tam, za tymi skałami, prawdopodobnie rozmawiali jacyś ludzie, choć trudno było być tego pewnym. Oczywiście nie słyszałem słów, ani nawet wyraźnych dźwięków. Tylko… takie jakby echo, jakby – nie wiem, czy to dobre określenie – tętent rozmowy. Za daleko miałem do chłopaków, żeby doskoczyć. Nie miałbym szans, gdyby to, co usłyszałem, zapowiadało kłopoty. Nie chciałem także nadużywać radiostacji. Czasem nawet szeptanie przez radio w takiej ciszy może narobić sporo nieszczęścia. Zacząłem więc pikać, czyli przyciskać guzik nadajnika. Krótkie, przerywane szumy powinni usłyszeć jako chrobot i ostrzeżenie przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Taki kod snajperów. Ale tym razem mnie nie usłyszeli. Miałem przy sobie mcmillana .308[2], więc ostrożnie postawiłem go na nóżkach. Wolałem tak, niż opierać karabin na kamienistym i nierównym podłożu. Luneta lepiej ściąga niż lornetka. Chciałem poobserwować właśnie lunetą. Dopiero w tym momencie chłopcy zorientowali się, że coś się dzieje. Kiedy zobaczyli, że zmieniam pozycję i daję im znak, aby uważali, odwrócili się w moją stronę i też zaczęli

szukać. Wtedy nagle coś syknęło i kompletnie bez żadnego ostrzeżenia padł pierwszy strzał. Miałem niefajne przeczucie, że któryś z Amerykanów oberwał. Ale w mojej głowie odezwał się dziwny dźwięk, coś jakby gwizdanie w uszach. Chłopcy zaczęli strzelać, a mnie przed oczami pojawiła się mgła. Zrobiło mi się nienaturalnie ciepło. Dotknąłem tyłu głowy i poczułem, że jest tam cholernie mokro od krwi. Przylgnąłem do karabinu. Krew zaczęła walić nie na żarty. Mój hełm kevlarowy[3] leżał obok. Dotarło do mnie, że zerwało mi go z głowy. Odruchowo szarpnąłem za jego krawędź, aby go złapać i z powrotem włożyć na głowę. Z boku kevlaru wymacałem głęboką poszarpaną rysę. Wtedy już miałem pewność, że „zebrałem". Wypatrzyli mnie i tym razem byli szybsi. Chłopcy walili w nich jeszcze przez pewien czas, aż wreszcie, odpowiednio się osłaniając, doskoczyli do mnie. Patrzyłem oszołomiony przed siebie, ale usłyszałem, jak pospiesznie pytają:

– Jak jest?

Pomacałem jeszcze raz tył głowy.

– Chyba dostałem…

Las

Wychowałem się w lesie. Jakkolwiek ekscentrycznie – jak na dzisiejsze czasy – i nietypowo by to nie zabrzmiało, to jest prawda i lubię o tym wspominać. Miasta w dzieciństwie właściwie nie znałem. Pierwszy raz w czymkolwiek innym niż wieś byłem, gdy miałem czternaście lat. Gdyby wtedy ktoś mi powiedział, że w przyszłości będę oficerem i snajperem elitarnej jednostki specjalnej, nie potraktowałbym go poważnie. Nie wyobrażałem sobie wówczas, jak chłopak z lasu mógłby przejść tak długą drogę, a przecież… jednak się udało. Być może właśnie to, czego nauczyłem się w dzieciństwie, pomogło mi w tym, co robiłem wiele lat później, na tyle skutecznie, że nie tylko stałem się pułkownikiem sił specjalnych, ale odsłużyłem w GROM-ie dwadzieścia lat z grubsza w jednym kawałku.

Od najwcześniejszego dzieciństwa ojciec uczył mnie obcowania z naturą. Znał dziesiątki opowieści lasu, pokazywał, jak surowe potrafi być życie dzikich zwierząt i jak ważna jest wiedza o tym wszystkim, co nas otacza. Był tylko zwykłym drwalem, a jednak potrafił opowiadać wspaniale i zajmująco. Czasem te jego historie były zabawne, czasem poważne, ale pamiętam do dziś, jak słuchałem ich z otwartą buzią.

1978 rok. Mój ojciec przed naszym rodzinnym „leśnym” domem w miejscowości Rykowisko. W rękach trzyma poroże ustrzelonego jelenia. Autorem fotografii jest Jerzy Morgulec, były oficer Wojska Polskiego

Jego ojciec – mój dziadek – w czasie wojny ukrywał słynnego Hubala, a konie z oddziału majora stały w jego stajni. ZBoWiD nawet sobie o tym przypomniał parę lat temu i nadał zarówno jemu, jak i jego synom status kombatantów za zasługi w działaniach partyzanckich AK.

Umieliśmy korzystać z lasu. Za komuny było cholernie ciężko, wszystkiego brakowało. I wtedy pomagał las. Dużo polowaliśmy, ojciec świetnie strzelał. Mieszkaliśmy na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych, gdzie było masę broni jeszcze po Niemcach. Gliniarze przymykali na to oko. Pewnie do dziś ludzie mają takie pamiątki. Ojciec był dzieckiem tamtych czasów. Znał się na broni i miał do niej szacunek. Jako młody, jeszcze niedoświadczony chłopak wpakował kiedyś za duży nabój do komory i został poważnie ranny w rękę. Celował do sarny i dubeltówka wybuchła mu w dłoni.

Ojciec był człowiekiem lasu, jak większość ludzi stamtąd. Ale weźmy pod uwagę, że w czasach jego młodości na tych ziemiach był Dziki Zachód. Bezpieka, bezprawie jak w *Wilczych echach* – pamiętasz ten film?

Kiedy wiele lat później, już w czasach mojego wczesnego dzieciństwa, wprowadziliśmy się do nowego domu na tamtych terenach, w okolicach Choszczna w Rykowisku, myszy

biegały po całej chałupie, dookoła las, dzicz, krótko mówiąc – dla mieszczuchów horror. Dla nas – normalka. Dzisiaj już chyba nie ma takich miejsc.

Miałem sporą rodzinę, wychowywaliśmy się razem, ale mimo że wszyscy „wyszliśmy z lasu", większość z nas do czegoś tam jednak w życiu doszła. Mam kuzyna proboszcza – obecnie mieszka w Szczecinie, inny został majorem w WOP-ie. Mamy w rodzinie chorążego ze straży granicznej, a także komendanta policji, tak że nie poszło nam źle. A ja? Tak naprawdę to właśnie tam zostałem komandosem. Jeszcze wtedy o tym nie wiedziałem, ale miejsce, w którym dorastałem, ludzie, natura, las kształtowały już we mnie coś, co potem stało się zgraną całością i co pozwoliło – kiedy przyszedł na to czas – zdawać egzamin za egzaminem, mijać przeszkodę za przeszkodą, odkrywać w sobie instynkt, bez którego nie da się przeżyć, wykonując ten zawód. Taka jest prawda. Pamiętam, jak kilka lat później, już podczas szkolenia wojskowego, na zajęciach w prosektorium w Warszawie, w szpitalu na Oczki, facet, który miał ksywę „Mikołaj", pokazywał nam, jak wyglądają sekcje zwłok; wiesz – cięcie trupów, badanie, co jest w środku, i tak dalej. Któregoś dnia położył na stole gościa, który tuż przed śmiercią był tak nawalony, że po zdjęciu czaszki mózg śmierdział mu wódą. Koledzy wymiotowali gdzieś tam z tyłu, mnie też nie było łatwo – przecież to człowiek. Ale w pewnym sensie byłem już przyzwyczajony do krwi, śmierci, tego, czym się staje żywa istota, kiedy przestaje żyć. Właśnie za sprawą takiego dzieciństwa, polowań, nauk ojca między innymi o tym, jak obchodzić się z martwymi zwierzętami. Z roku na rok wszystko stawało się coraz prostsze, łatwiejsze. Kolejne fazy szkoleń, CIA, Fort Bragg, Irak, Kuwejt, Haiti… Opowiem ci o tym trochę później.

Symboliczna brama do Bagdadu

Broń

Każdy z nas ma swoją ulubioną broń. W Iraku miałem karabinek szturmowy M4 Bushmaster. Ale teraz najlepszy jest HK416, kaliber 5,56 milimetra, z tej samej zresztą serii, niemieckiej firmy Heckler & Koch. Tę broń w większości produkują co prawda Amerykanie, ale na licencji niemieckiej. Niemcy są niezwykle innowacyjni i to oni wymyślili i wprowadzili ostatnio najnowocześniejsze i najlepsze pomysły do broni maszynowej, na przykład fenomenalny zamek rolkowy z MP5 (w kontrze do kałasznikowa), który praktycznie się nie zacina. Świetnie nadający się do walki w pomieszczeniach. Ale w 2003 roku najbardziej *cool* był amerykański karabinek M4, typowy dla sił specjalnych, fajniejsza wersja starszego M16, znanego z wojny wietnamskiej. W M4 zamek działał tak samo, ale karabin miał krótszą lufę. To czyniło go bardziej operatywnym.

Przed akcją, z karabinkiem szturmowym M4, w pustynnym kamuflażu. Bagdad, 2004 rok

MP5 używany był między innymi przez GSG 9 (Grenzschutzgruppe 9) w Niemczech, przez Amerykanów czy Brytyjczyków z SAS, na przykład podczas uderzenia na ambasadę irańską w Londynie. Mieliśmy go na wyposażeniu już w 1991 roku. Bardzo modna broń, postrzegana jako sprzęt dla najlepszych do tak zwanej taktyki czarnej. Mieliśmy więc, co trzeba, i na uzbrojenie nigdy nie mogliśmy narzekać. W 2003 roku dostaliśmy M4 i to był kolejny krok naprzód. Karabin w wielu wersjach – trzecią był właśnie HK416. Co tak naprawdę tę broń wzmocniło? Co w niej ulepszono? Przede wszystkim coś, co się nazywa *picatinny*. To rodzaj szyny przymocowanej na komorze zamkowej (lub na wsporniku nad komorą zamkową), na której można montować dowolny osprzęt. Bardzo ważna rzecz. Do tej pory radzono sobie z tym, przyklejając potrzebne urządzenie jakimiś prowizorycznymi plastikowymi obejmami i taśmami, ale to było bez sensu, bo przecież po strzale wszystko się luzowało albo po prostu rozchrzaniało. A teraz, kiedy mieliśmy już *picatinny*, mogliśmy doposażyć broń i montować na sztywno na przykład celowniki laserowe. I albo widzieliśmy gołym okiem tę czerwoną kropkę, albo za pomocą noktowizji namierzaliśmy cel, korzystając ze wzmocnionego szczątkowego naturalnego światła, na przykład księżyca (w wojsku nazywa się to namierzaniem pasywnym), lub podczerwieni (namierzanie aktywne). Oczywiście czerwona kropka przydaje się, gdy jest jasno, a noktowizja – gdy walka odbywa się w nocy. Gdybyś użył noktowizora w dzień, po prostu by ci się spalił. Jego czujniki są zbyt delikatne. Z innych rzeczy warto wymienić celownik holograficzny z szybką panoramiczną w środku (czyli tak zwany HWS). Na szybce wyświetla się kółeczko z kropką pośrodku i wtedy tą kropeczką prędko się celuje. Dlaczego prędko? Po pierwsze to łatwe – wystarczy taki czerwony punkcik „położyć” na obiekcie, i po sprawie. Nie musisz zgrywać szczerbinki z muszką. Po drugie przeciwnikowi, co oczywiste, lepiej dać jak najmniej czasu na reakcję. Patrzysz przez kwadracik, szybkę HWS, jednym okiem, a drugim możesz kontrolować to, co rzeczywiste poza celownikiem.

Podobnym do HWS typem układu namierzającego jest celownik kolimatorowy, składający się najczęściej z lasera półprzewodnikowego i kolimującego układu optycznego. Zjawisko kolimacji to po prostu uzyskiwanie wiązki światła o niskiej rozbieżności. Taki sprzęt jest z reguły używany w warunkach walki dziennej. Żeby celować w nocy, obiekt należałoby podświetlić sztucznym światłem, a ten sposób raczej odradzam.

Jeszcze inny rodzaj sprzętu namierzającego to celownik laserowy, wysyłający wiązkę lasera w kierunku celu. Jego wadą jest to, że może zdradzić twoją pozycję, zaletą zaś – możliwość podświetlania, czyli wskazywania celu dla innych „chętnych”, na przykład samolotów szturmowych.

Taki celownik laserowy z czerwonym światłem miałem na M4 w 2003 roku w Iraku. Dość dobra broń do DA, czyli Direct Action, a po polsku – uderzeń bezpośrednich. W naszym przypadku najczęściej były to walki w pomieszczeniach, czyli CQB (Close Quarters Battle) – bliska walka z terrorystami (taktyka czarna, o której jeszcze dokładniej opowiem w dalszej części książki). W Iraku – najczęściej bez zakładników. My byliśmy tam po to, żeby drani znajdować, wyjmować i brać do niewoli lub likwidować. Robota, oczywiście, znacznie

trudniejsza, niż byłoby to choćby w Polsce czy w Stanach, gdzie bylibyśmy zabezpieczeni przez na przykład rangersów. W Iraku przeciwnik mógł być wszędzie, a o jakichkolwiek kordonach zabezpieczających mogliśmy raczej zapomnieć. Tak było na przykład w Bagdadzie. Znałem dobrze angielski, więc często byłem tam „operacyjnym", czyli kimś w rodzaju planisty, oraz „łącznikowym". Na akcję taszczyłem ze sobą dwa radia – jedno GROM-owskie, a drugie amerykańskie – i próbowałem jakoś to zgrać. Systemy słuchawkowo-nadawcze były różne: laryngofon, czyli niewielki, wygodny sprzęcik umieszczany na szyi, który zbiera dźwięk (z małą słuchawką, którą wkłada się do ucha, i po sprawie), albo nadajnik na „bułę" (przycisk na kamizelce kuloodpornej), którą uruchamia się łączność. To drugie jest niezbyt wygodne. Wychodziliśmy, jak już mówiłem, w nocy; o drugiej, trzeciej. Nasłuchiwałem Amerykanów, którzy nas ubezpieczali z góry (to niestety nie to samo co kordon antyterrorystyczny), i próbowałem sprawę koordynować. Gdy nasi na przykład „zrobili" piętro, nadawałem to Amerykanom; gdy Amerykanie zajęli piwnicę, przekazywałem to naszym. Teoretycznie byłem zastępcą dowódcy, ale to nie miało większego znaczenia – jeśli tego wymagała sytuacja, dowodziłem na równi z chłopakiem, który nominalnie był szefem.

Może się zdziwisz, ale Bagdad w niektórych miejscach przypomina trochę Warszawę – myślę tu o drogach. Bywają tam „ślimaki" niemal identyczne jak te na Trasie Łazienkowskiej czy przy mostach od Wisłostrady, a nieco inne niż na przykład w USA. Dlaczego? Może po prostu dlatego, że sporo z nich budowali Polacy. Inny świat zaczynał się, gdy wjeżdżaliśmy w małe uliczki, gdzie panowały syf, smród i brud trudne do opisania. A to właśnie tam najczęściej kryli się goście, których szukaliśmy. Myślę tu o bojownikach, którzy rozpierzchli się po rozwaleniu reżimu Saddama, a także o terrorystach przybyłych z Iranu, Syrii czy Arabii Saudyjskiej. Mieli tam swoje *safe houses*, to jest miejsca, gdzie montowali IED (Improvised Explosive Devices), czyli wybuchające prowizoryczne miny pułapki. Odkryliśmy całą masę takich miejsc. Amerykanie mieli sporo wtyk u Irakijczyków, stąd my mieliśmy namiary.

Sekcja szturmowa w trakcie treningu „na sucho” tuż przed nocną akcją przy agregacie w Bagdadzie

Pamiętam jedną z akcji właśnie na pewien *safe house*. Jechaliśmy czymś w rodzaju naszej Wisłostrady, minęliśmy stadion podobny trochę do naszego stadionu Legii w Warszawie, minęliśmy dużą elektrownię i wjechaliśmy do dzielnicy niskich, szarawych domków – czasem glinianych, czasem murowanych, w każdym razie wyglądało na to, że interesy tam raczej nie szły najlepiej. Uliczka, przy której miała się odbyć akcja, była nawet lekko podświetlona. Chłopcy weszli, dookoła spokój, ja zająłem pozycję ubezpieczającego od strony dużego agregatu pracującego przede mną, który zaopatrywał w prąd całą okolicę. Nieco z tyłu ustawiły się dwa amerykańskie hummery. Akcja jak dziesiątki innych. Nawet w pewnym momencie zaczęło mi się trochę nudzić, bo sprawa się przedłużała. Co prawda z wnętrza domu, do którego weszli nasi, dochodziły jakieś krzyki, strzały, no… chłopcy załatwiali sprawę, ale poza tym standard. A tu w pewnym momencie zza agregatu wychyla się cień. Ten agregat był nie dalej niż sześćdziesiąt metrów ode mnie. Spojrzałem do tyłu – chłopcy działonowi, gunnerzy na hummerach mają lufy wycelowane w drugą stronę, a ja widzę, że coś jest nie tak. Zrobiłem parę kroków do przodu i podświetliłem laserem miejsce, gdzie tkwił cień. To najlepsze, co można zrobić, bo bez rozwalania gościa, który przecież mógł być kimś przypadkowym, powoduje się, że facet znika wystraszony, nie robiąc problemów. Ale ten gość nie miał zamiaru zniknąć. Zrobiłem parę kroków do tyłu, puknąłem w plecy swojego kolegę,

aby się odwrócił, i pokazałem, że idę na tamtego. Zbliżam się i dostrzegam spod spodu (bo widać było nogi), że koleś ma przy sobie kałasznikowa z drewnianą kolbą, który leży obok niego. A więc koniec żartów. Chciałem najpierw wycelować w nogi faceta, ale właśnie podniósł broń i wyszedł zza agregatu. Nie czekałem, sprzedałem mu „mozambik”, czyli dwa krótkie strzały na klatę, przerwa i następnie jeden szybki między oczy.

Safe house. Prowizoryczne wyrzutnie pocisków rakietowych, pociski moździerzowe, pociski artyleryjskie, a także

Gunnerzy natychmiast odwrócili swoje lufy w nasz sektor i podświetlili silnym reflektorem cały agregat.

– Sprawdzamy go? – zapytał mój kolega.

– Nie teraz – odpowiedziałem. – Na razie trzymajmy ubezpieczenie i czekamy na chłopaków.

Wiedziałem, że go trafiłem.

Komandos

To, że masz taki pomysł na życie i wolę, by przekonać się, czy masz w sobie instynkt wojownika, bystrego drapieżnika i dzikie serducho, to jeszcze nie wszystko. Takie cechy – czasem cholernie głęboko ukryte – ma niemalże każdy z nas. Teraz być może w to nie wierzysz, ale instynkt przetrwania jest w nas tak silny, że gdy zajdzie potrzeba, możesz być zdolny do rzeczy, które do tej pory ci się nawet nie śniły. I wcale do tego nie trzeba być wojskowym. Ale współczesny komandos jednostki specjalnej GROM to przede wszystkim „inżynier" przetrwania i działania na polu walki. Osobowość kogoś takiego składa się z cech, o których parę linijek wyżej wspomniałem, jednak wiedza, nabyta podczas intensywnego szkolenia, i doświadczenie są równie ważne. Sporo o tym jeszcze powiem w tej książce, ale na razie zacznę od podstaw. Jest tak:

Dwie główne grupy wojskowych sił specjalnych to podoficerowie i oficerowie. Pierwsi z nich to świetni technicy i taktycy pola walki. Ci drudzy to ich przewodnicy, mentorzy, liderzy, czyli mówiąc krótko – przywódcy i dowódcy.

Od najdawniejszych czasów wybitni wojownicy słusznie twierdzą, że jeśli chce się być w elicie, to trzeba zrozumieć podstawową w tym biznesie rzecz – profesjonalna walka nie jest bezładnym i bezsensownym rozlewem krwi. Walka to sztuka. I jak każda dziedzina sztuki, wymaga talentu, ciężkiej pracy i odwagi.

Profesjonalnie wyszkolony komandos, co oczywiste, dysponuje szeroką wiedzą i umiejętnościami. Wymienię te najważniejsze:

– umiejętność walki bezpośredniej z użyciem lekkiej broni i wybranych technik walki wręcz;

– umiejętność pozyskiwania informacji, planowania akcji, elastycznego podejmowania decyzji, czasem improwizacji i refleksu, a czasem chłodnej analizy i syntezy danych, oraz stosowania odpowiedniej taktyki (żeby skutecznie zaskoczyć i zneutralizować przeciwnika);

– umiejętność obsługi i wykorzystania dostępnych środków zabezpieczenia i wsparcia bojowego (brzmi to może nieco sztywno i sterylnie, ale tak naprawdę jest dość oczywiste i łatwe do zrozumienia: chodzi na przykład o łączność i sygnalizację, umiejętność radzenia sobie ze sprzętem IT, materiałami wybuchowymi i minami, pojazdami bojowymi, karabinami snajperskimi, ciężką bronią zespołową i pokładową, spadochronami – jak najbardziej praktycznie – sprzętem do nurkowania, sprzętem wysokościowym, a także w pewnym sensie pierwszą pomocą medyczną, szczególnie na polu walki);

– umiejętność obsługi zestawów sprzętu wsparcia ogniowego do tak zwanej walki

pośredniej, z dystansu (czyli naprowadzanie precyzyjnego uderzenia na przykład lotnictwa, obsługa bezzałogowych środków latających, moździerzy i tak dalej);

– umiejętności określane angielskim skrótem SERE, oznaczającym „Survival, Evasion, Resistance and Escape” (w wolnym tłumaczeniu: przetrwać, zmylić przeciwnika, być odpornym i umieć zniknąć bez śladu);

– umiejętność meldowania i raportowania (wcale to nie takie oczywiste – zwięzłe przekazywanie informacji to dla niektórych trudna sztuka);

– umiejętność dedukcji, konstruowania wniosków i opracowywania ulepszeń dla TTPS, czyli taktyki i techniki prowadzenia działań przez siły specjalne.

Od czego zaczyna się szkolenie – jak to mówimy u nas potocznie – „specjalsa”? Najczęściej od strzelania, uczenia orientacji w terenie i nawigowania na podstawie mapy. Nie da rady bez przynajmniej podstawowej obsługi komputera. Niezbędne jest posługiwanie się środkami łączności, trzeba umieć dobrze pływać. To ABC. Na początek.

Kolejny etap to *cross training*, czyli trening krzyżowy, naprzemienny, obejmujący zdobywanie wiedzy z zakresu zabezpieczenia bojowego i wsparcia pola walki. Chodzi tu przede wszystkim o obsługę broni i systemów wsparcia ogniowego.

Odrębną sprawą, ale charakteryzującą właśnie szkolenie komandosów, jest… tu cytacik: „nauka wypracowania koncepcji (wariantów) dla realizacji całej, czasem długoterminowej misji i dla myślenia taktycznego w celu wykonania poszczególnych zadań bojowych”.

Szkolenie to obejmuje analizę sytuacji, planowanie i koordynację działań w zakresie poszczególnych funkcji sztabowych pełnionych w ramach zespołu szturmowego (ZS) w taktyce czarnej (opowiem o tym później) i w tak zwanej taktyce zielonej (też o tym opowiem) w ramach grupy specjalnej (GS).

Ale teraz wrócę do szkolenia strzeleckiego, zwanego czasem ogniowym. Jeśli chodzi o strzelanie bojowe, czyli amunicją ostrą, komandosi uczestniczą w treningu kształtującym:

1. Umiejętność strzelania sytuacyjnego, z wyznaczonej stałej rubieży (to określenie wojskowe oznaczające pas lub odcinek terenu wyróżniający się naturalnymi właściwościami mającymi określone znaczenie strategiczne lub taktyczne). W szkoleniu komandosa to będzie po prostu linia wyjściowa do ataku, do strzału. Jak sama nazwa mówi, trzeba trafić w cele znajdujące się w różnym układzie sytuacyjnym, na przykład w pomieszczeniu lub na przedpolu w terenie otwartym. Chodzi tu głównie o wyrobienie odpowiednich odruchów i reakcji na zmienność sytuacji. Raczej rzadko strzelamy do wszystkiego, co się rusza wokół nas.

2. Prowadzenie ognia w ruchu i po zatrzymaniu, z różnych postaw strzeleckich. Zwraca się tu uwagę na utrzymanie odpowiedniego rytmu marszu oraz na wyrobienie umiejętności wykonywania zwrotów we wszystkie strony, przy jednoczesnym precyzyjnym celowaniu.

3. Strzelanie dynamiczne, czyli trening nastawiony przede wszystkim na odporność fizyczną i percepcyjną strzelającego, często po pokonaniu zmyślnego, krótkiego toru przeszkód. Chodzi o to, że po wykonaniu kilku pompek, przebiegnięciu kilkuset metrów komandos musi w równym stopniu kapować, co jest grane, jak w sytuacji, kiedy nie jest zmuszony do wysiłku.

Musi równie skutecznie strzelać (i wcelowywać tam, gdzie trzeba) z różnych pozycji, czasem zza zasłony, pod różnymi kątami do czegoś, co stoi lub się rusza.

Moje planowane cztery celne strzały z karabinu wyborowego Remington 700 kaliber .308 na dystansie czterystu metrów w niesprzyjających (wietrznych i deszczowych) warunkach

4. Strzelanie stresowe, czyli jak sama nazwa wskazuje, chodzi o prowadzenie ognia pod presją, często na czas. Nie zawsze to musi być test czy egzamin. Bywa, że nawet obecność twojego kolegi w roli kontrolującego daje odpowiedni efekt. Czy jesteś lepszy od tego strzelającego obok? Czy nawalasz? Czy jesteś słaby i nieodporny? Już takie myśli powodują napięcie twoich mięśni i szybszy rytm pracy serca, czyli po prostu stres. Na początku widać różnicę na tarczy: strzelasz inaczej niż na luzie, we własnym tempie, gdy nikt cię nie obserwuje ani nie kontroluje. Potem powinno być coraz lepiej. Jeśli nie jest, nie nadajesz się.

5. Strzelanie na krótkich dystansach. Walisz do celu szybko i dużo, zaczynając od pięćdziesięciu metrów, aż zbliżasz się do „mety", czyli bezpośrednio w ciało, ale nie chodzi tylko o zamienienie tarczy w popiół, ale przede wszystkim o wyrobienie pamięci mięśniowej w różnych warunkach pogodowych dnia i nocy. Strzelania te wykonywane są z broni lekkiej, osobistej, na przykład z pistoletów i krótkich karabinków, takich jak USP, Glock, MP5, Mini Beryl.

6. Strzelanie na nieco dłuższych dystansach, do stu metrów. Do tego używa się karabinków szturmowych M4, HK416, czasem kałasznikowa AK47.

7. Strzelanie precyzyjne na długich dystansach. Tu chodzi o odległości powyżej stu metrów, do jednego kilometra, co ma na celu precyzyjną regulację przyrządów celowniczych, oczywiście z uwzględnieniem zmienności pogody i pór dnia. Powyżej dwustu metrów będą używane karabiny od 7,62 milimetra do 12,7 milimetra. Strzelanie precyzyjne na długich dystansach jest szkoleniem przede wszystkim dla przyszłych snajperów.

8. Strzelanie z ciężkiej broni pokładowej wielkokalibrowej (WKM) na pojazdach, łodziach lub z samolotu, śmigłowca, z pocisków 12,7 milimetra i większych, na różnych dystansach. Chodzi tu także o pokładowe automatyczne wyrzutnie granatników MK19. Od krótkich do bardzo długich, na przykład trzykilometrowych, w celu szybkiego pokrycia ogniem wybranego sektora czy pojedynczego celu.

9. Obsługę i strzelanie z różnego typu przenośnych granatników i wyrzutni pocisków rakietowych, od granatników podwieszanych pod lufy karabinków maszynowych, takich jak B203, do samodzielnych RPG7, AT4, Carl Gustav czy typu Strzała ziemia–powietrze.

Polski patrol na hummerze podczas ubezpieczania. 2004 rok

Oprócz strzelań przy użyciu amunicji ostrej, to jest bojowej, treningi strzeleckie przeprowadzane są też przy użyciu amunicji systemów na farbę FX lub innych podobnych do tych z paintballu.

Komandosi trenują też na wideostrzelnicach przy użyciu systemów laserowych i specjalnego oprogramowania do budowy i przedstawiania najróżniejszych scenariuszy z zakładnikami i terrorystami w rolach głównych.

Współczesne siły specjalne większość swoich operacji przeprowadzają w warunkach ograniczonej widoczności, w nocy, dlatego główny nacisk kładzie się na strzelania przy oświetleniu światłem sztucznym, laserem czy też za pomocą noktowizji pasywnej (wykorzystującej światło gwiazd, księżyca) i aktywnej (na podczerwień) oraz termowizji.

GROM-owiec w roli gunnera w trakcie ubezpieczania w Mosulu

Żołnierze oddziałów specjalnych uczą się także języków obcych, prowadzenia różnego typu pojazdów, jazdy na nartach oraz tego, o czym już wspominałem, czyli SERE.

Komandos umie świetnie walczyć, to jest strzelać i stosować elementy walki wręcz, ale potrafi też być sztabowym planistą. Czasem długotrwałe i szczegółowe planowanie, przygotowanie bojowe i logistyczne, przerzut grupy w rejon działania – są trudniejsze niż sama akcja, i to wyróżnia prawdziwego komandosa. Myślę tu przede wszystkim o jego odporności psychicznej, a dopiero potem fizycznej. Nie na odwrót.

Kilka słów o tym, co się zmieniło od czasów PRL

Jeśli interesujesz się historią działań militarnych Wojska Polskiego… bla, bla, bla…

Zacznę inaczej. Ta książka jest o facecie, który spędził w jednostce specjalnej GROM dwadzieścia lat i był tam szefem szkolenia oraz jednym z jej pierwszych szturmowców. Poprawka – tak naprawdę to książka o jednostkach specjalnych widzianych oczami tego faceta. Jeśli chcesz spróbować zrozumieć przemiany jakościowe, które nastąpiły w Wojsku Polskim od upadku komuny aż do dziś, jeśli chcesz rozstrzygnąć, czy ty byś pasował do idei i osobowości żołnierza sił specjalnych, jeśli chcesz wczuć się w mentalność ludzi, którzy te jednostki tworzyli – zapraszam. Ale także jeśli ciekawi cię historia, w tym wypadku ta najnowsza, i chcesz ją poznać, niekoniecznie czynnie, na poligonie, tylko po prostu dla wiedzy – również zapraszam. Niezależnie od tego, czy jesteś okularnikiem połykającym tygodniowo dziesięć książek, czy gościem, który więcej czasu poświęca siłowni niż życiu w domu; czy jesteś urzędnikiem, politykiem, artystą, lekarzem, przedszkolanką, dentystką, czy bizneswoman – zapraszam. Czy jesteś kobietą, czy mężczyzną, czy chciałbyś lub chciałabyś kiedyś spróbować sił w biznesie, który tu opisuję, czy nie – oczywiście także zapraszam. Nie obiecuję, że spodoba ci się życie, jakie prowadzimy, i przyklaśniesz wszystkiemu, czemu my, ludzie, którzy przeszli przez Irak, Afganistan czy Haiti, hołdujemy, ale obiecuję, że wyczytasz tu czystą, żywą, być może czasem nieco bezwzględną, ale PRAWDĘ. Przy okazji samodzielnie ocenisz, czy – jak powszechnie myślą ludzie niezwiązani z GROM-em – służą w nim ultrawyczynowi sportowcy, czy raczej zwykli goście, tyle tylko, że bardzo dobrze wyszkoleni i zmotywowani.

W poprzednim rozdziale było trochę na temat tego, czym jest szkolenie komandosa. Teraz chciałbym napisać kilka słów o tym, jakie są zasady takiego szkolenia (to nie to samo co jego treść), a także jaką metamorfozę przeszły te zasady od czasów słusznie minionych, kiedy to facet, który kilka razy wyskoczył ze spadochronem, już był nazywany komandosem. Dzisiaj wygląda to już zupełnie inaczej. Pamiętajmy – w czasach PRL byliśmy państwem satelickim, a więc takim, które właściwie niemal całkowicie było uzależnione od komunistycznego sąsiada w postaci ZSRR. A taki Chruszczow, Breżniew i reszta pamiętanego dobrze towarzystwa to były ostatnie osoby, którym zależałoby na profesjonalizmie polskiej armii. Ta nasza armia miała fatalne uzbrojenie, nie miała pojęcia o nowoczesnej taktyce, była całkowicie podległa obcemu – jeszcze wtedy – mocarstwu, a jej „siła” polegała na obowiązkowym poborze – właśnie na siłę – czyli na masie dzieciaków, które rękami i nogami

zapierały się, żeby ich nie wcielono do woja. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy nastąpiła względna odwilż (z wyłączeniem oczywiście stanu wojennego), sytuacja powoli normalniała. Nasi wojskowi zaczęli uważniej rozglądać się dookoła i czerpać coraz bardziej sensowną wiedzę, nie tylko z tak zwanego bardzo bliskiego Wschodu. Gdy po 1989 roku otwarto granice, a w 1993 roku wyjechał z naszego kraju ostatni rosyjski żołnierz, wiedza stanęła przed nami otworem. Służby specjalne zaczęły wreszcie, po pierwsze, organizować się w takie formacje, jakimi powinny być już od dawna; po drugie zaczęły robić to, co do nich należało, zamiast nękać opozycję antykomunistyczną. Może dobrze, że w 1968 roku mieliśmy wojsko do dupy, bo wkroczenie do Czechosłowacji było chyba największym obciachem pod – co tu dużo mówić – okupacją rosyjską, ale zrobiliśmy to tak nieporadnie, że paradoksalnie ów obciach stał się dowodem braku profesjonalizmu ówczesnych sił zbrojnych PRL.

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość tym, którzy tu, u nas w kraju, stanowili po 1989 roku podstawę nowoczesnej wiedzy na temat służb specjalnych, przy czym zdobywali ją w warunkach znacznie trudniejszych, niż my robimy to dzisiaj, choćby w Wydziale XI Departamentu I MSW. Praca tam nie była może zbyt chlubna, ale w tamtych czasach nigdzie indziej nie można było złapać rozsądnej wiedzy. Ludziom tym pozwalano zdobywać nowoczesne umiejętności, bo miały być one wykorzystane przeciwko „dywersji ideologicznej i emigracji", a w sumie ich erudycja posłużyła przede wszystkim mojemu pokoleniu, które z jednej strony miało do dyspozycji profesjonalizm tych osób, z drugiej strony – Amerykanów, którzy właśnie przylecieli, żeby sprawdzić, jak się u nas mają sprawy, i przywieźli niekulawe prezenty w postaci sprzętu. No i gdzieś tam po drodze, na początku z trzydziestu zdolnych gości, ulepiono coś takiego jak GROM, który stał się elitarną jednostką szturmową sił specjalnych w Polsce.

Dziś nastały już zupełnie inne czasy. Teraz każdy świeżak wie, że nie każdy spadochroniarz to komandos. Komandosami można nazywać żołnierzy po selekcji, której dokonuje się raz w życiu, po właściwym przeszkoleniu i skierowaniu do grupy specjalnej lub grupy szturmowej. Takie brygady jak na przykład grupy desantowo-szturmowe czy pułki rozpoznawcze w wojskach lądowych to też awangarda. Nasza 6. Brygada Desantowo-Szturmowa to taka jednostka zadaniowa jak na przykład w Stanach Zjednoczonych 101 Airborne DV, a nasze pułki rozpoznawcze to pododdziały ogólnowojskowe, w ramach których także można wyselekcjonować elitę zwiadowców dalekiego rzutu i rozpoznania na terytorium przeciwnika.

Wszystkie nieporozumienia w nazewnictwie są spadkiem po dawnym systemie, a niestety uporanie się z intelektem generała Ludowego Wojska Polskiego było przez długi czas sporą sztuką dla tych, którzy dzisiaj stanowią o jakości naszych jednostek obronnych. Od 1989 roku nie ma już LWP, ale nawyki, mentalność i podejście do spraw wojskowych nie zmieniły się z dnia na dzień i proces ten trwał jeszcze kolejną dekadę, do – nazwijmy to – nowego otwarcia, gdy nasza jednostka, GROM, w 1999 roku została przekazana pod Ministerstwo Obrony Narodowej. Ubrany w siatkę kamuflującą, wyglądający jak dzikus snajper stał się

swoistym znakiem czasu przemian w całym wojsku.

Od założenia GROM-u w 1990 roku jednostka ta i jej operatorzy byli już po dwóch zagranicznych misjach bojowych – na Haiti w 1994 i w byłej Jugosławii w 1996 roku. To były spore osiągnięcia, biorąc pod uwagę, że w tamtym czasie władzę nad jej zadaniami sprawował nie minister obrony narodowej, lecz minister spraw wewnętrznych i administracji. Coś ten GROM musiał w sobie mieć, skoro to na jego barki złożono pierwsze zadania o charakterze bardziej militarnym, bojowym niż wyłącznie rozjemczym, pokojowym pod jurysdykcją ONZ, jak na wzgórzach Golan, gdzie misja polegała na siedzeniu w okopach, za barykadami ułożonymi z białych worków z piaskiem.

Komandosi nie są stworzeni do misji pokojowych. Jesteśmy od tego, żeby „czyścić" świat z terrorystów, wyprzedzać ich ruchy, załatwiać sprawy szybko, sprawnie i skutecznie. Nie pukamy do drzwi i nie mówimy: „Przepraszamy, my tu jesteśmy z GROM-u i chcielibyśmy zobaczyć, czy przypadkiem nie macie na przykład paru ton trotylu do produkcji bomb". Nie załatwiamy spraw tak jak podczas słynnej strzelaniny w Magdalence pod Warszawą, gdy ustawieni przed drzwiami policyjni antyterroryści zostali rozbici w pył przez mafię ze Wschodu, mając wytrącony z ręki podstawowy atut, jakim powinno być zaskoczenie przeciwnika. Przepisy MSW wykluczały wtedy interwencję z użyciem broni bojowej bez wezwania „Policja!". No, szkoda, że nie umówili się na konkretną godzinę, żeby mafiosi mieli jeszcze więcej czasu, bo przecież mogli nie być jeszcze odpowiednio przygotowani.

GROM-owcy od początku podejmowali ryzyko i narzucali swoje tempo. Tworzyli swoje „strefy śmierci", jeśli sytuacja tego wymagała. Konieczne do tego były determinacja dowódców, ćwiczenia z użyciem ostrej amunicji i tak zwane żywe scenariusze. Dowódcy brali na siebie sporą odpowiedzialność, bo gdyby coś poszło nie tak, to prokurator, jak to mówimy, zdjąłby im pagony. To wymagało od nich cholernej odwagi. Za przykład niech posłużą działania prokuratorów wojskowych w sprawie z Afganistanu, z Nangar Khel. To też jest jeszcze pozostałość minionej epoki – dawnych czasów, dawnej żandarmerii i dawnych prokuratorów. Widać jak na dłoni, że nie nadążyli za czasem zachodzących przemian w Wojsku Polskim i NATO.

Żadna jednostka w Polsce do tej pory nie ćwiczyła tak intensywnie na ostrej amunicji jak my. Nie ćwiczyła strzelań w marszu czy w ruchu. Powód – w GROM-ie zawsze służyli żołnierze zawodowi, a nie poborowi. Nie było tam przypadkowych ludzi, wszyscy musieli być odpowiedzialni, przewidywalni, właściwie dobrani i zgrani. Do tej pory nigdy (!) nie zdarzył się żaden poważny wypadek podczas strzelań. GROM przeskoczył pozostałe podobne formacje i jednostki, jak na przykład 1. Pułk Specjalny Komandosów z Lublińca czy Morską Jednostkę Działań Specjalnych Formoza, o całą dekadę w wyszkoleniu, w uzbrojeniu, nawet w umundurowaniu, nie mówiąc już o mentalności.

Tuż po przekazaniu GROM-u pod Ministerstwo Obrony Narodowej, konkretnie 1 października 1999 roku, rozpoczęły się masowe wizytacje ze Sztabu Generalnego WP. Ci kolesie patrzyli wtedy na nas jak na kosmitów. Uznawali nas za rozpuszczonych chłopców, którzy wdawali się w zbędne dyskusje i mieli swoje zdanie na temat szkolenia, uzbrojenia

i umundurowania. Jakoś nie umieliśmy stać na baczność jak w socjalizmie, kiedy o coś nas pytano, a niektórzy chodzili z nogawkami wypuszczonymi poza cholewy butów, inni natomiast ze wciśniętymi do środka. Byliśmy ubrani niejednakowo i w ogóle nie mieliśmy strachu w oczach na widok ważniaków ze Sztabu Generalnego, o snajperach nie wspominając, bo to już w ogóle – tu cytuję – „dziwolągi jakieś były". Pan generał z PRL kojarzył snajpera z siedzącym na drzewie esesmanem z *Czterech pancernych i psa*. Wiesz, w jednym z odcinków właśnie taki trafił Marusię, że tak powiem, w pierś. Na jaki temat mieliśmy z takim gościem gadać?

Takie to z tego GROM-u rozlazłe i niekarne wojsko było. Tyle tylko, że my uczyliśmy się od Amerykanów i Brytyjczyków, a nie od Rosjan. Rozmawialiśmy po angielsku, i to w języku wojskowym, fachowym. Mieliśmy wiedzę, której taki gruboszyjny i krótkopalczasty miś wychowany w komunizmie nigdy nie miał i już nigdy miał nie będzie. Oczywiście potrafiliśmy stać na baczność czy maszerować w szyku, jeśli tak trzeba było, ale obecni wtedy „obserwatorzy" nie mogli jakoś pojąć, że wykształcony i wyszkolony na naszym poziomie żołnierz może mieć swoje zdanie, gdy o coś się go pyta. A pytania bywały przeinteligentne, w stylu: „Po co komu problemy z nowym sprzętem, przecież w magazynach jednostek jest ciągle tyle kałasznikowów, a nam tu jakieś tam karabinki M4 w głowach czy snajperskie mcmillany z noktowizją!". Tym gościom nie mieściło się w głowach, że można własnoręcznie dokonać przeróbki, dopasować, przemalować broń i wykonać kamuflaż jej oraz siebie. Pamiętam, gdy podszedł do mnie jeden z generałów z SG i zapytał nieśmiało, co to za „ciekawe" urządzenie mam w ręku. Odpowiedziałam mu, że to takie coś, co się nazywa GPS. Nie dał po sobie znać, czy zajarzył, o czym mówię, ale więcej pytań nie miał. Może szkoda.

Zmian już nie dało się zatrzymać. Zaczęła się profesjonalizacja całego polskiego wojska, a inspiracją był między innymi GROM. Taka jest prawda. To od naszych komandosów brano wzorce dotyczące elementów uzbrojenia, a nowinki techniczne były testowane w pierwszej kolejności przez naszych chłopaków. Często przejmowano nasze słownictwo i kodyfikację taktyczną w zakresie struktur dowodzenia. Na przykład „drużynę" zastąpiono „sekcją", „kompanię" – „zespołem szturmowym", „batalion zadaniowy" – „wydzieloną grupą zadaniową". To akurat było najmniej ważne, ale taki był trend. To tak, jak w swoim czasie nazwę „milicja" zastąpiono „policją". Niby tylko poprawiono dwie literki, ale ten zabieg miał swoje znaczenie. Nie zmieniało to wartości policjantów czy zdolności bojowych żołnierzy, ale sytuowało ich w innej rzeczywistości i stanowiło powiew czegoś nowoczesnego, innego i pełnego nadziei, że naprawdę możemy być w tym dobrzy, a to już było ważne.

Wspólne szkolenie GROM-u z Siłami Specjalnymi USA. Jedno z wielu ćwiczeń zorganizowanych i przeprowadzonych przeze mnie. Wtedy byłem w stopniu majora. 1999 rok

Umieliśmy obserwować to, co dzieje się za granicą. Tych, którzy od dawna robili to, co my teraz, jak na przykład Special Air Service, czyli SAS (chłopcy z Wielkiej Brytanii, nie linie Scandinavian Airlines System), jednostka założona w 1941 roku przez Davida Stirlinga, Szkota zresztą, czy SEAL Team 6 z USA.

Zatrzymam się na chwilę przy Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale, czyli GIGN z Francji, bo powstali (jak na Zachód) stosunkowo niedawno.

Podczas igrzysk olimpijskich w Monachium w 1972 roku – jak pamiętamy – terroryści palestyńscy z Czarnego Września zabili jedenastu sportowców izraelskich. Porażkę niemieckich służb, zakończoną słynną masakrą na lotnisku, poważnie potraktowali nie tylko Niemcy. Francuski rząd również postanowił utworzyć sensowny oddział antyterrorystyczny, żeby w przyszłości uniknąć na swojej ziemi tego, co stało się w Monachium.

W 1973 roku Francuzi już mogli powiedzieć, że taką jednostkę mają, a w marcu 1974 roku GIGN była już gotowa do akcji. Pierwszym dowódcą mianowano Christiana Prouteau. GIGN to teraz najskuteczniejsza jednostka antyterrorystyczna we Francji, działająca w samym kraju, na jego terytoriach zamorskich, a jeśli zagrożone jest życie Francuzów – także poza jego granicami. Zdarza się, że GIGN, podobnie jak GROM, jest „zapraszana" przez inne państwa do wspólnych akcji. Szczególnie dobrzy są w odzyskiwaniu zaatakowanych samolotów, w tłumieniu buntów więziennych, ściganiu najbardziej niebezpiecznych przestępców. Oczywiście, wspierają także GIPN (Groupes d'Intervention de la Police Nationale) i RAID (-

Recherche, Assistance, Intervention, Dissuasion), czyli jednostki specjalne policji.

Kilka słów o strukturze GIGN.

Jednostka składa się z sześciu grup (w każdej jest po piętnaście osób): czterech szturmowych i dwóch pomocniczo--organizacyjnych. Każda grupa szturmowa dzieli się na dwa zespoły taktyczne. Gdy przychodzi meldunek o kłopotach, jednostka jest gotowa do akcji w ciągu góra trzydziestu minut, w dowolnym momencie doby. Szybko, prawda?

Warto wspomnieć o naszych południowych sąsiadach, bo na początku lat dziewięćdziesiątych jednostka URNa (Útvar Rychlého Nasazeni) stała się najlepszym policyjnym oddziałem antyterrorystycznym w Czechach.

Niemal równocześnie z nami URNa otrzymała pistolety maszynowe z rodziny MP5, w tym MP5SD, oraz karabiny wyborowe SIG-Sauer SSG 3000. Broń krótką mają swoją – pistolety Česká Zbrojovka (CZ 100, CZ 85, CZ 75), poza tym glocki i HK P8 USP.

Na początku lat dziewięćdziesiątych jedyną polską jednostką antyterrorystyczną (w skrócie AT) mającą porównywalne z URNa wyposażenie był oczywiście GROM. Sprzęt podobny do tego, którym dysponuje URNa, posiada od roku 2003 polska jednostka BOA (Biuro Operacji Antyterrorystycznych). URNa jest czeskim odpowiednikiem BOA, ma podobny sprzęt, lecz znacznie dłuższy staż.

Trzeba wspomnieć również o Grenzschutzgruppe 9, bo to niemiecki oddział antyterrorystyczny uważany za jeden z najlepszych na świecie, będący wzorem dla brygad z innych państw, utworzony – podobnie jak GIGN – po Monachium 1972 roku. Sprawą zajął się wówczas minister spraw wewnętrznych zachodnich Niemiec Hans-Dietrich Genscher. Akcja na lotnisku w 1972 roku była jedną z najbardziej nieprofesjonalnych i – jak wiemy – skończyła się wyjątkowo krwawo. Niemcy jednak wyciągnęli z niej wnioski i teraz wszyscy mogą się od nich uczyć.

GSG 9 zorganizowano w trzy grupy podstawowe oraz towarzyszące im podgrupy wspomagające.

Pierwsza grupa służy do działań na lądzie. Chroni ważne obiekty i ważnych ludzi, odbija zakładników, zdejmuje najbardziej niebezpiecznych przestępców, w tym terrorystów. Służy tu około stu czynnych „federalnych".

Druga grupa jest od „mokrej roboty", czyli – wbrew potocznym skojarzeniom – działa na akwenach. Odbija statki, promy, ratuje porwanych ludzi, chroni platformy wiertnicze przed terrorystami. Tu również służy około stu osób.

Trzecia grupa to lotnicy i spadochroniarze. Atakują z powietrza i robią porządek, zaskakując przeciwnika najczęściej za pomocą helikopterów lub po prostu skacząc ze spadochronami. Tu jest jeszcze bardziej elitarnie – w trzeciej grupie GSG 9 służy tylko pięćdziesiąt osób.

Grupy wspomagające to jednostki: serwisowa, szkoleniowa, operacyjna, dokumentacyjna, poza tym technicy EOD (Explosive Ordnance Disposal) i oczywiście dowództwo oraz sztab. GSG 9 stacjonuje w Sankt Augustin, niedaleko Bonn. Przepisowym nakryciem głowy w tej jednostce jest zielony beret. GSG 9 jest częścią Bundespolizei.

Warto wymienić kilka ich najbardziej znanych „występów dla szerokiej publiczności”:

– 1977 – operacja „Magiczny ogień”. Jednostka dokonała wtedy rzeczy niesamowitej – oswobodziła z rąk terrorystów osiemdziesięciu sześciu (czyli wszystkich!) zakładników przetrzymywanych w Boeingu 737 Lufthansy. Zajęło jej to siedem minut. Zlikwidowała przy okazji trzech porywaczy. Wszystko działo się w Somalii, w Mogadiszu. Samolot stał na lotnisku.

– Lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte – GSG 9 ostatecznie rozprawiło się z tak zwaną drugą i trzecią generacją Grupy Baader-Meinhof, czyli frakcją terrorystyczną RAF.

– 1994 – opanowanie buntu więziennego w Kassel oraz uwolnienie zakładnika przetrzymywanego przez algierskich więźniów, którzy bunt zorganizowali.

– 2000 – udział w międzynarodowej akcji uwolnienia niemieckich zakładników, którzy zostali porwani na Filipinach.

– 2001 – podobna akcja jak na Filipinach – tym razem chłopcy z GSG 9 uwolnili niemieckich turystów uwięzionych w Egipcie.

– 2001–2002 – czynny udział GSG 9 w ściganiu i aresztowaniu terrorystów oraz wszelkich osób, które uczestniczyły lub pomagały w zamachach z 11 września.

– 2003–2004 – pobyt GSG 9 w Iraku. Na temat tych działań niewiele możemy powiedzieć, ponieważ objęte były ścisłą tajemnicą – oficjalnie jednostka pilnowała ambasady w Bagdadzie.

Swoje grupy mają również Skandynawowie, myślę tu o Forsvarets Spesialkommando (FSK) z Norwegii i Ordningspolisens Nationella Insatsstyrka (ONI) ze Szwecji.

Z różnych powodów szczególnie znana na świecie jest oczywiście izraelska Szerut a-Bitachon a-Klali, zwana popularnie Szin Bet. Założono ją w czerwcu 1948 roku i jej zadaniem jest głównie walka z terroryzmem wymierzonym w interesy Izraela.

Zasady

Zasady – w wojsku ważna rzecz. Niestety, po epoce komunizmu w tym kontekście kojarzą się głównie ze szczególnie irytującym, niewyjmowalnym, najsztywniejszym z możliwych kijem w dupie. Ale warto o zasadach porozmawiać. Skoro tak gwałtownie się zmieniamy, musimy korygować równocześnie zarówno podejście do zasad, jak i samo ich rozumienie.

Jakie dziś mamy zasady w siłach specjalnych? Przede wszystkim nie przyjmować żołnierzy przygniecionych ciężarem gatunkowym ogólnowojskowego regulaminu, bez cienia refleksji, z syndromem zbyt częstego użycia kałasznikowa, skażonych fatalnymi nawykami dawnej epoki, trzęsących się w imię zasady, że służba w wojsku polega głównie albo na czekaniu, albo na lęku. Poza tym wszystko jest raczej proste. Stąd pomysł dobierania ludzi bez trudno usuwalnych naleciałości (na przykład z innych jednostek wojskowych), czyli czasem cywilów, czasem studentów, czasem byłych policjantów, czasem chłopaków ze Straży Granicznej. To jedyny, moim zdaniem, właściwy model. Rozumiesz, mieszanka krwi. Niestety, po wyjeździe instruktorów amerykańskich z Polski zrobiła się lekka kaszana. Niektórzy ze starszych komandosów przyjętych z 1. Pułku Specjalnego Komandosów w Lublińcu, zamiast żywo czerpać wzorce szkolenia od naszych kolegów zza wielkiej wody, zaczęli znowu przejawiać dotychczasowe, „radzieckie" podejście do żołnierzy. Mówię o tym otwarcie, bo chodzi o siły specjalne, a w tym zawodzie albo jesteś dobry, albo zagrażasz innym.

Nas szkolili ludzie z Delta Force, CIA i SAS, ale nawet oni nie byli w stanie wbić do głowy kilku gościom wyjętym z teczek z czasów socjalizmu (które dawno powinny porastać kurzem na jakiejś muzealnej półce), że żołnierz ma dwie półkule mózgowe, osobowość i jeśli ma potencjał na dobrego specjalsa, nie będzie umiał i nie będzie chciał być bezmyślny.

Ktoś powie – okej, ale przecież na przykład do Zielonych Beretów przyjmują po kilku latach doświadczenia z innych jednostek wojskowych. Tak, ale GROM miał wykonywać inne zadania niż Zielone Berety. Ciężko to porównywać. Każda z tych formacji ma swoje specyficzne zadania. Lądowe Siły Specjalne USA mają doskonale opanowaną walkę partyzancką i świetnie szkolą wojska koalicyjne na całym świecie w zakresie taktyki zielonej – Small Unit Tactics, czyli zadań małych pododdziałów (drużyna, pluton, kompania). Wykonują też złożone misje z dalekiego rozpoznania i jeśli zajdzie taka potrzeba, również akcje zaczepne (DA – Direct Actions) zbliżone do tych z taktyki czarnej. A GROM to – jak często podkreślał generał Petelicki – Delta Force, a więc pięterko wyżej. Upraszczając – Zielone Berety są od trudnych zadań specjalnych, w których z zasady nie powinno być zakładników w tle. Piszę „z zasady", bo są w nich też kompanie wydzielone do walki

z terrorystami. My jednak jesteśmy do zadań wymagających szczególnej precyzji uderzeniowej. Stąd ta mała różnica. Jesteśmy od terrorystów, sytuacji nietypowych, akcji tajnych, wymagających nie tylko wyszkolenia bojowego, ale i umiejętności improwizacji, przewidywania, kreatywnego myślenia w sytuacjach wyjątkowo stresogennych. Musimy umieć zaplanować, zorganizować, wykonać i – jeśli trzeba – zniknąć.

Trzeba także wiedzieć, że w czasie akcji wszyscy są równi pagonami. Każdy może podczas jej trwania stać się dowódcą (o tym jeszcze dokładniej napiszę w dalszej części książki), ale po skończonej robocie wracamy do normalnej gradacji stopni. Ta elastyczność wymaga odpowiedniej mentalności i, mówiąc krótko, właściwej bystrości umysłu, która podwładnemu podpowie, kiedy i co mu wolno, a przede wszystkim dlaczego.

Żołnierze i dowódcy sprzed 1989 roku byli szkoleni wyłącznie na użytek wojsk Wielkiego Brata, czyli ZSRR. Doktryna, regulaminy wojskowe Układu Warszawskiego skupiały się na zabezpieczeniu i ewentualnym wsparciu przerzutu wojsk radzieckich głęboko na Zachód, do rzeki Łaby, a może i dalej, włącznie z użyciem małych bomb jądrowych. Bardzo rozwinięte były wtedy brygady wojsk inżynieryjnych do budowy mostów na Odrze i rozminowywania pól minowych, a także wyszukiwania i neutralizacji „piguł” armii NATO. Mówiło się wtedy, że byliśmy mięsem armatnim, przeznaczonym na pierwszy rzut, bo pewnie w razie ogólnoeuropejskiej bijatyki nic by z nas nie zostało. Oczywiście Ruscy mieli swoich saperów i mosty pontonowe, żeby przejść po naszych trupach i pójść szybko dalej, aż za rzekę Ren. Radziecka subtelność. Dzisiaj towarzysz Putin na nowo budzi tego typu mentalność w Rosjanach. A już była nadzieja, że coś tam drgnęło.

Co ważne, regulaminy tak zwane ogólnowojskowe (pomijając regulaminy taktyczne pola walki, na przykład dla pododdziałów zmechanizowanych czy zagonów pancernych oraz lotnictwa i marynarki wojennej) opracowywano w taki sposób, żeby były nie do zakwestionowania. Kierowano je do żołnierza, który miał przede wszystkim ładnie maszerować, defilować i odpowiadać na pytania słowo w słowo tak, jak było w regulaminie. Więc jak kapral pytał: „Co to jest wzgórze i w jaki sposób?!”, to żołnierz odpowiadał: „Wzgórze jest to nierówność terenu w sposób wypukły!”. Jakby tego było mało, każde odstępstwo leżące w „inicjatywie szkoleniowej” dowódcy plutonu czy kompanii mogło się spotkać z głęboką krytyką „ojca batalionu”, którym był oficer polityczny PZPR przy kancelarii majora, dowódcy batalionu. Liczyły się tylko raporty o nastrojach i dyscyplinie, często pisane na szybko i sztucznie, tak żeby nikt z zewnątrz nigdy nie dowiedział się o szczegółach tak zwanej fali, ogólnej degrengolady i trudnej dzisiaj do zrozumienia głupoty, widocznej na przykład w filmie *Kroll* Władysława Pasikowskiego.

Istniały wprawdzie kompanie specjalne i 1. Pułk Specjalny Komandosów w Lublińcu, ale ich rola sprowadzała się do wprowadzania w życie jednej, tajnej zresztą, czerwonej książeczki, zwanej kielakówką – od nazwiska autora instrukcji. Opisano tam dość sztywne, niejasne procedury i zasady działania pododdziałów radzieckich. Książka była sztuczna, nie wskazywała na żadne metody ułatwiające przetrwanie na polu walki, nie uwzględniała na przykład zasad tworzenia i działań oddziałów partyzanckich ani przeciwpartyzanckich. Ruscy

ewidentnie wykorzeniali z nas zasady umiejętnego przechodzenia w razie potrzeby do walki nieregularnej i niekonwencjonalnej, co potrafią stosować obecnie profesjonalne formacje, a nawet bojówki partyzanckie. Oczywiście czynili to ze zrozumiałych powodów. Tak przecież walczyliśmy z Niemcami w lasach jako AK, a potem w Bieszczadach z UPA i tak dalej. Rosjanie się tego bali. Nam również, jak wcześniej Węgrom czy Czechom, mogłaby w końcu znudzić się przyjaźń polsko-radziecka.

Udawano, że uczono chłopaków survivalu (czyli przetrwania w warunkach szczególnie ekstremalnych), ale w praktyce szkoleniowej sprowadzało się to do darcia mordy przez jeżdżących wygodnie w UAZ-ach (ruskich terenówkach będących na wyposażeniu LWP) „kontrolnych", że tamto czy owamto jest źle. Nie wyciągano żadnych wniosków, a wykorzystywano to na przykład do blokowania możliwości awansu, którego (co może jest ironią historii) żołnierze służby zasadniczej unikali jak ognia, żeby nie brać na siebie odpowiedzialności za cały ten idiotyzm. Tak naprawdę jedynym realnym zadaniem bojowym w tamtym czasie, na jakie stać było nasze wojsko, była służba wartownicza, bo żołnierz dostawał na dwie godziny ostrą, bojową amunicję, a nie ślepaki i mógł pić samodzielnie i niezależnie wodę, a nawet kawę i… właściwie to wszystko.

Wówczas komandosami nazywano tych żołnierzy, którzy generalnie mieli możliwość tak zwanego desantu przy użyciu spadochronów. W kantynach przy wódce opowiadano o dzielnych skoczkach spadochronowych, którym czasem spadochron się nie otworzył, albo o takich, którzy – gdy „komandos" był sfrustrowany lub zbyt pijany, by wszystko zapamiętać – skoczyli i zabili się o ziemię. Spadochron był nierozerwalnie kojarzony z komandosem. To nonsens. Gdzie oni mieli pojęcie o skokach HALO czy HAHO na wodę, morze, nocą, ze sprzętem i tak dalej… Jeszcze o tym powiem.

Ci „LWP komandosi" nie mieli żadnej motywacji, gdy uczestniczyli w tych swoich bzdurnych misjach. Wykonywali różne widzimisię generałów, na przykład dla ich zabawy, po dużej wódzie, „napadali" na inną polską jednostkę. Broń Boże rosyjską, bo by ich Ruscy rozstrzelali i zakopali pod chlewnią w Wędrzynie lub w Drawsku Pomorskim. Pamiętam, jak opowiadano o „wielkiej akcji" mającej na celu kradzież zdezelowanego UAZ-a innej jednostce. Superplan był taki: „dokonujemy desantu z naszych pojazdów kołowych, jeśli żaden się nie popsuje, podchodzimy do płota, błyskotliwie omijamy skacowanego, śpiącego wartownika, a potem robimy hałas na wartowni w napadniętej jednostce". Mistrzostwo świata! Wrażenia z takiego wyczynu musiały być boskie. Wspomnienia nieśmiertelne do grobowej dechy. Oczywiście desantu spadochronowego na jednostkę nie ryzykowali, bo pewnie bali się, że wiatr by ich zniósł (możliwe, że i z dziesięć kilometrów) i jeszcze spadliby na dach u chłopa, połamaliby dachówkę albo drzewa w sadzie i musieliby rano z nim wódkę pić, żeby nie było kłopotów. No, chyba że zagryźliby mu psa siedzącego w budzie i wtedy bez hałasu daliby dyla do lasku na obrzeżu, za płotem wspomnianej bazy lotniczej. Autentyk! Tak było naprawdę!

Kiedy akcja się udawała, to pułk komandosów lub kompania specjalna stawały do wyróżnienia, a generał wygrywał zakład o kolejną skrzynkę wódy. Jeśli było inaczej, to

dowódca pułku szedł pod młotek.

Grupy specjalne miały także fenomenalnie zorganizowaną łączność, czyli… stare poradzieckie radiostacje plecakowe, psujące się co chwila, niedziałające w górach, szczególnie tam, gdzie była duża i gęsta roślinność. Przyjęło się powiedzenie: „poszedł komandos szukać łączności i… zaginął”.

Przerzut lotniczy komandosów w Bieszczady graniczył oczywiście z cudem, bo na przykład nie było paliwa naliczonego na nalot; z kolei gdy przyleciał śmigłowiec MI8 i usiadł na polanie w Trzciańcu, to zwykle nie miał pary w silnikach, żeby unieść dziesięciu komandosów ze sprzętem, bo – jak mówiono – „ten zajebisty śmigłowiec ma kilkaset koni w każdym z dwóch silników, z czego dwieście pięćdziesiąt pasie się na łące”.

No i pamiętam, jak piloci z takiego wojska przylecieli na wspólne ćwiczenia. Super, mają już moc, jest sprzęt, ale… okazuje się, że nie mają uprawnień, żeby latać w warunkach górskich. Okej, zrobili uprawnienia na góry i za rok przylecieli. Cieszyli się, że teraz będzie cacy, ale nagle się okazało, że nie możemy działać w nocy, bo nie mają uprawnień do lotów w górach w warunkach nocnych na noktowizji! I tak to właśnie, wesoło, rodziło się Wojsko Polskie nowych czasów.

A na poważnie – zanim coś drgnęło w mentalności i zaczęły się prawdziwe zmiany – musiało upłynąć sporo czasu. Większość polskich generałów tamtych czasów, jeśli kiedykolwiek załapała, o co w tej zabawie naprawdę chodzi, to nastąpiło to dopiero po Afganistanie, Jugosławii i Iraku. Trudno uwierzyć? Ja się cieszę, że dożyliśmy czasów, w których mamy profesjonalne, niepoborowe wojsko i formacje takie jak GROM, na światowym poziomie. Ty też się ciesz. Żyjemy ponoć w bezpiecznych dla Polski czasach, ale jak to mówił Konfucjusz: „Jak jest za cicho, to jest… za głośno”. Nawet jeśli trochę przegiął z tą filozofią, to coś w tym powiedzeniu jest. Przekonałem się o tym kilka razy w życiu.

Nowe czasy. Legendarne akcje

Rok 1989, czasy Okrągłego Stołu, przełom ustrojów w Polsce, zapowiadające się systemowe i jakościowe zmiany w Wojsku Polskim. Kilku bystrych ludzi już wie, że trzeba zacząć stawiać nie na ilość, ale na jakość żołnierzy. Uzawodowienie, rezygnacja ze służby obowiązkowej i cała masa reform, które jednak na wprowadzenie w życie będą musiały jeszcze chwilę poczekać. Anglicy zawsze byli dumni z tego, że jeden ich James Bond (nie ten z filmu, tylko taki prawdziwy, którego nazwiska nigdy nie poznamy) jest wart tyle, ile stu wyszkolonych specjalsów na przykład w Rosji. Nawet jeśli przesadzają, to dziś już wiemy jedno – jakość czasem jest tak droga, że Amerykanie byli w stanie umorzyć nam potężną część długu (pochodzącego jeszcze z czasów PRL), żebyśmy wyciągnęli z Iraku sześciu (!) ich agentów CIA, DIA i NSA, którzy nie zdążyli uciec. To była ściśle tajna akcja, nazywana umownie „Simoom". Pewnie oglądałeś w kinie nieco bajkową wersję tych wydarzeń w filmie *Operacja Samum* Pasikowskiego. Ciekawostką jest to, że gdy film był wyświetlany w kinach, nigdzie nie było informacji, kto napisał scenariusz. Tym razem autorem nie był sam reżyser (Pasikowski pisze scenariusze do większości swoich obrazów), tylko dwóch tajemniczych facetów, którzy wycofali swoje nazwiska z czołówki tuż przed ostatecznym montażem filmu. Dużo później przyznali się do scenariusza Andrzej Grembowicz i Maciej Dutkiewicz, ale na oryginalnych kopiach wciąż nie ma nazwisk scenarzystów. To oczywiście nie ma tu generalnie znaczenia, ale prawdziwa operacja „Simoom" była dla nas ogromnie ważna. Po pierwsze Amerykanie darowali nam blisko siedemnaście miliardów (!) dolarów, czyli mówiąc wprost, zapłacili za swoich sześciu agentów na dzisiejsze pieniądze pięćdziesiąt osiem miliardów złotych! Sporo, jak za sześciu facetów. Po drugie obiecali wszelką pomoc, która między innymi objawiła się wydatną współpracą z powstałą zaledwie trzy miesiące wcześniej elitarną Jednostką Wojskową 2305, nazwaną później GROM, której pierwszym dowódcą został podpułkownik Sławomir Petelicki, późniejszy generał brygady. To on i pułkownik Gromosław Czempiński (później również generał brygady) odegrali kluczową rolę w zorganizowaniu operacji „Simoom". A trzeba pamiętać, że współpracy przy tej akcji odmówili Amerykanom Rosjanie i Francuzi (co może nie takie dziwne), ale i Wielka Brytania (a to już świadczyło, że sprawa jest cholernie trudna). Polacy jako jedyni nie odmówili i być może dlatego w pewnym sensie jesteśmy najbliższymi sojusznikami USA w tej części świata. Amerykańscy prezydenci wielokrotnie dawali do zrozumienia, że uważają nas za lidera regionu. „Kiedy mam sprawę dotyczącą Europy Środkowej, dzwonię do Warszawy" – powiedział kiedyś George W. Bush, a podczas wojny w Iraku, jak wiemy, dowodziliśmy jedną z czterech stref okupowanego kraju.

Ta operacja stała się krokiem milowym dla dalszych dziejów naszych służb i sił specjalnych. Później przeprowadzono niezwykle istotną akcję pod kryptonimem MOST. Chodziło o sprawny przerzut osób pochodzenia żydowskiego z ZSRR do Izraela. Nie byłoby to może aż tak spektakularne, gdyby nie fakt, że wymagało współpracy dwóch wrogich sobie jeszcze wtedy wywiadów – polskiego i izraelskiego, po całkowitym zerwaniu stosunków dyplomatycznych w 1967 roku. Do tego CIA, która przynajmniej teoretycznie nadal była naszym wrogiem (pamiętajmy, że jest rok 1990, Tadeusz Mazowiecki ledwo co został premierem). Na szczęście już wtedy byliśmy tylko teoretycznymi nieprzyjaciółmi. To zaczęło się bardzo szybko zmieniać. Nieprawdą jednak jest to, że GROM powstał z wdzięczności Amerykanów za operację „Simoom". Jednostka 2305 powstała w połowie lipca, a operacja odbyła się w październiku. Pomysłodawcą powołania GROM-u był podpułkownik Sławomir Petelicki, który przez pięć lat także dowodził tą jednostką. Sprawę jednak umożliwił i dopiął Krzysztof Kozłowski – ówczesny minister spraw wewnętrznych.

Amerykanie przed akcją „Jedynki"[4] w Iraku (cały czas myślę o operacji „Simoom") podchodzili do Polaków z rezerwą. Z jednej strony chcieli zdecydowanie wykorzystać sytuację i pozbawić ZSRR wpływów w tej części świata, z drugiej strony nie wiedzieli, w którym kierunku pójdą zmiany w Polsce, szczególnie że pierwszym prezydentem Polski został generał Wojciech Jaruzelski. I to za zgodą opozycji! Po operacji zdecydowanie zmienili front, a po tym jak prezydent Jaruzelski skierował do Sejmu projekt ustawy konstytucyjnej, który nie tylko skracał jego kadencję, ale też wprowadzał do porządku konstytucyjnego wybory powszechne prezydenta RP, postawili zdecydowanie na niemal otwartą współpracę. Światło dzienne ujrzał wówczas projekt w ramach amerykańskiego programu FID (Foreign Internal Defence), dotyczący pomocy dla bloku wschodniego, głównie dla Polski. Rząd USA wyjął na stół konkretne pieniądze. I mówię tu o dodatkowych milionach dolarów (poza oczywiście tymi miliardami za operację „Simoom"). Także i tu nie chodziło tylko o wdzięczność. Głównym celem było zabezpieczenie ambasad USA na całym świecie, w tym oczywiście ambasady USA i nowej ambasady Izraela w Polsce. Układ Warszawski stawał się powoli fikcją i choć został oficjalnie rozwiązany dopiero w lipcu 1991 roku, już od pewnego czasu nie miał żadnego znaczenia. Rosjanie, widząc, że zaczynamy ściśle współpracować z Amerykanami, a naszymi gośćmi coraz bardziej otwarcie są instruktorzy CIA, Delta Force czy faceci w zielonych beretach, w pełni zdali sobie już sprawę, że ziszcza się ich najczarniejszy sen – kraje satelickie właśnie nie tylko podziękowały za współpracę, ale wyraźnie starają się przejść na drugą stronę, co prędzej czy później musiało się skończyć członkostwem w NATO. Zaczęła się ostra walka o Europę Środkową i Wschodnią. Amerykanie teraz już nie mogli odpuścić. Taka okazja nie zdarzy się drugi raz. Mimo agresywnych gróźb Rosjan wobec USA, będących odpowiedzią na plany przyjęcia Polski do NATO (nie mówiąc już o krajach bałtyckich), Amerykanie nie ugięli się pod naciskiem Moskwy i ostatecznie 12 marca 1999 roku Polska, Czechy i Węgry, jako pierwsze kraje regionu, zostały przyjęte do struktur NATO. GROM był już wtedy – przypomnę – po dwóch zagranicznych misjach: na Haiti w 1994 i w byłej Jugosławii w 1996 roku.

Polityka Rosji w kwestii trzymania Polski jak najdalej od NATO poniosła całkowitą porażkę. ZSRR kilka lat wcześniej rozpadł się i stracił czternaście republik oraz kilkanaście krajów satelickich, takich jak: Polska, Czechosłowacja, Rumunia czy Węgry. Z dwustu dziewięćdziesięciu czterech milionów obywateli ZSRR pozostały sto czterdzieści cztery miliony obywateli Rosji. Kraj skurczył się o ponad połowę. Gliniane nogi kolosa waliły się, a my szybko zaczęliśmy z tego korzystać. Ostatnich dwudziestu czterech rosyjskich oficerów, w tym pięciu generałów, zostało wyekspediowanych z Polski 18 września 1993 roku.

O GROM-ie w 1993 roku było jeszcze cicho. Jednostka szkoliła się, a jej głównym zadaniem miało być w przyszłości, pod jurysdykcją Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zwalczanie aktów terrorystycznych. Jak się później okazało, po 11 września 2001 roku sformułowanie „jednostka przeciwterrorystyczna” nabrało specjalnego znaczenia.

Pierwsze w Polsce wojskowe, zawodowe szkolenie snajperów GROM-u, przeprowadzone przez Amerykanów. 1992 rok

GROM uczy się od najlepszych na świecie i ma dostęp do coraz lepszego sprzętu. Uczy się od ludzi, ale także analizuje najważniejsze sukcesy i porażki służb specjalnych ostatnich dekad, takie jak na przykład:

– operacja CIA pod kryptonimem „Argo” (pamiętasz doskonały film?) – ewakuacja

sześciorga Amerykanów zbiegłych podczas ataku radykałów irańskich na ambasadę USA w Teheranie, ukrywających się w domu kanadyjskiego ambasadora;

– nieudana operacja oddziałów Delta Force na pustyni w Iranie – przeprowadzona w celu uwolnienia personelu ambasady USA w Teheranie;

– świetna akcja SAS w Londynie – atak na irańskich terrorystów przeprowadzony na terenie ambasady USA (modelowa operacja, zakończona zlikwidowaniem wszystkich napastników);

– udział SAS w wojnie o Falklandy (analizowano taktykę lekkich, mobilnych oddziałów do walki z partyzantką i terrorystami).

I tym podobne.

Zanim GROM zaczął działać za granicą, użyto nas do kilku zadań w Polsce. Najbardziej pamiętne były maj i czerwiec 1992 roku, kiedy wybuchła afera związana z tak zwaną listą Macierewicza. Sejm zobowiązał wtedy ministra spraw wewnętrznych (a był nim właśnie Antoni Macierewicz) do ujawnienia pełnych informacji na temat urzędników państwowych, od wojewody wzwyż, pod kątem ich współpracy z komunistycznymi służbami. To właśnie GROM miał dostarczyć dokumenty tajnych współpracowników z całego kraju. Dokumenty dostarczono, a ich wykaz (znany jako lista Macierewicza) bez żadnej weryfikacji, sprawdzenia czy uporządkowania znalazł się w Sejmie, co spowodowało kryzys rządowy. Nieprofesjonalizm (bo nie chcę tego nazwać złą wolą) współpracowników Macierewicza omal nie doprowadził do nieszczęścia, którego skutki trudno sobie dziś nawet wyobrazić. Na listach znalazło się pięćdziesięciu ówczesnych parlamentarzystów, jedenastu ministrów, trzech wysokich urzędników Kancelarii Prezydenta, a także sam prezydent Lech Wałęsa oraz marszałek Sejmu Wiesław Chrzanowski! Większość z tych osób była oczywiście całkowicie niewinna, mało tego – często były to osoby poszkodowane (!) przez służby komunistyczne; wszystkie te informacje „specjaliści” Macierewicza wrzucili do jednego worka i podali do publicznej wiadomości. Po północy 5 czerwca 1992 roku, mimo dramatycznego wystąpienia w TVP premiera Jana Olszewskiego, było już po rządzie, ale my dostaliśmy zadanie wzmocnienia ochrony Macierewicza. Tyle że ostatnim „prezentem” tego rządu był brak wprowadzenia jakiejkolwiek koordynacji tych działań między poszczególnymi służbami, przez co o mało nie doszło do strzelaniny między policją, ochroną osiedla, na którym mieszkał Macierewicz, a nami. Wzięto nas za złodziei samochodów, wezwano gliniarzy, którzy skuli jednego z naszych (na szczęście wykazał rozsądek i nie rozpoczął „bonanzy”, bo cholera wie, co by się stało dalej). Kiedy przyjechaliśmy nieco mocniejszym składem i wyjęliśmy MP5, to gliniarze nieco spuchli i na szczęście udało się nieporozumienie wyjaśnić. To niestety nie był jedyny taki przypadek. Trudne początki dały później efekt w postaci doświadczenia, materiału do analizy, odpowiednich wniosków i w rezultacie wspaniałych sukcesów już poza granicami kraju. Ale o tym już opowiem w następnych rozdziałach.

Selekcja

Gdy kończyłem szkołę oficerską, poznałem trochę zasad służby i bycia saperem w brygadzie… saperów. Powiem tak – tam byli supergoście, ale ja szukałem czegoś bardziej dynamicznego niż pobieranie i zdawanie min ćwiczebnych do szkolenia nowo wcielonych żołnierzy służby zasadniczej. Ludzie ci i tak nie wiedzieli, o co chodzi z tymi minami, chcieli odsłużyć swoje i szybko wracać do domu. Miałem nawet takiego żołnierza w plutonie, który gdy dostał przepustkę na sobotę i niedzielę, to wyjechał do swojej rodziny – i tyle go widzieliśmy. Dowódca kompanii wysłał mnie, żebym go ściągnął z powrotem. Jechałem cały dzień piętrowymi pociągami, a gdy dotarłem do jego rodzinnego miasteczka, to już od samego dworca wszyscy wiedzieli, że za nim idę, więc koleś dawał dyla z jednego domu do drugiego, a w miasteczku wszyscy jego znajomi udawali Greka. No cóż, wróciłem bez żołnierza i musiałem się z tego tłumaczyć dowódcy. Takie to były czasy, jeszcze przed 1989 rokiem.

Ja szukałem przygód i emocji podobnych do tych, których wcześniej dostarczało mi życie w lesie. W 1990 roku pojawiła się możliwość zmiany pracy i przejścia do służby kryminalnej w policji. Łatwo można było się przemianować z podporucznika na młodszego aspiranta, z możliwością awansu w przyszłości na inspektora. Zdałem więc swoje zawodowe egzaminy wojskowe i przygotowywałem się spokojnie do promocji na pierwszy stopień oficerski. Ale wówczas zjawiło się dwóch tajemniczych gości z Warszawy. Pamiętam, że dowódca batalionu zrobił wtedy zbiórkę kompanii na korytarzu koszarowca i ogłosił, że jeśli są chętni do pracy w Warszawie, to mogą się zameldować u tych panów. Pomyślałem, że chyba jest na bani, skoro mówi o saperach w Warszawie, ale ja i jeszcze pięciu moich kolegów zgłosiliśmy się. Dwóch facetów odstawionych jak filmowi agenci FBI czekało na nas w umówionym miejscu. Przywitali się, spisali dane, po czym razem poszliśmy do świetlicy, by pogadać. Zapytali, czy chcemy służyć w Wojskach Nadwiślańskich w Warszawie, żeby chronić różnego rodzaju ambasady. Okej, szału radości to w nas nie wywołało, ale niech będzie. Następnego dnia wzięli nas na poligon i tam każdy miał przebiec, ot tak, na gwizdek, pięć kilometrów na czas. Nie było sprawy, przebiegliśmy dystans z palcem w nosie. Później sprawdzili sprawność z elementami walki wręcz. Następnego dnia wręczono nam arkusze testów psychologicznych. Wyników nam nie podano. Jednak całą szóstkę zaproszono na konkretny dzień do bazy Wojsk Nadwiślańskich przy ul. Podchorążych w Warszawie w celu podjęcia przez nas pracy… Za tydzień.

2 września 1991 roku, około dziewiątej rano, stawiliśmy się do biura przepustek we wskazanym na skierowaniu miejscu. Zaproszono nas dość przyjaźnie do małej świetlicy. Tam

okazało się, że oprócz naszej szóstki było jeszcze ze trzydziestu innych młodych oficerów, w większości w swoich mundurach wyjściowych, zwykle z WSO Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. My, wtedy jeszcze saperzy, przyszliśmy na luzie, bez mundurów.

W pewnym momencie wszedł do sali poważnie wyglądający gość, podszedł do wiszącej na ścianie mapy Polski, wyjął wskaźnik i wskazując na niej, powiedział: „Tu jest Warszawa, tu są Bieszczady, a my spotykamy się jutro o siódmej rano w miejscowości Rabe". I tyle. Następnie jakiś sierżant wziął nas wszystkich na bok i zaprowadził do magazynu sprzętu i ubrań. Dostaliśmy jakieś tam turystyczne plecaczki i czerwone ortalionowe dresy. Jak się później okazało, po to, żebyśmy byli dobrze widoczni w chaszczach i zaroślach w górach. Dostałem też parę reeboków, chyba chińskich, bo niemiłosiernie śmierdziały tekstyliami i gumą.

Nasza szóstka wyruszyła około czternastej z dworca przy ówczesnym Stadionie Dziesięciolecia, najpierw do Rzeszowa. Stamtąd dorwaliśmy ostatni autobus (spory fart) w Bieszczady, chyba do Leska. Dowiózł nas do pętli w jakimś bukowym lesie. Kierowca wysadził wszystkich ciemną już nocą, ale dla nas nie było rady – musieliśmy iść w kierunku jakichś świateł. Około dwudziestej trzeciej znaleźliśmy przy drodze małego transportowego żuka. Krzątało się przy nim kilka osób. Jak się okazało, byli to miejscowi sadownicy, którzy ładowali skrzynki z jabłkami na poranny targ. Pomogliśmy im, a w zamian za to kierowca pozwolił nam ścisnąć się na pace i obiecał podrzucić jakieś trzydzieści kilometrów w stronę Baligrodu i tego całego Rabe. O drugiej byliśmy już na drodze prowadzącej do miejsca zbiórki, ale zostało jeszcze z pięć kilometrów w głąb gór. Byliśmy już bardzo zmęczeni. O czwartej rano przywitała nas na drodze jakaś ciemna, wysoka postać. Wskazała ręką na kilka namiotów rozstawionych nieopodal na polanie. Zaczęło wschodzić słońce. I tak dotarłem do miejsca pierwszej selekcji, nowo powstającej – jak się później okazało – jednostki specjalnej GROM. Ale wtedy nie miałem jeszcze o tym pojęcia. Ludzie, których tam zastaliśmy, byli podobnie jak my grupą podporuczników z różnych szkół oficerskich z Polski. Na oko z pięćdziesiąt osób. Jak się później okazało, to z tej grupy wybrano trzech oficerów, którzy niezmiennie przez dwadzieścia lat – pomimo różnych przesunięć, zmian składu i zawieruch wokół jednostki – na swoich barkach podtrzymywali ciężar szkolenia i przyszłych działań bojowych. Pierwszego z nich nazywaliśmy „Joda", drugi miał ksywę „Ciemny", trzecim byłem ja. Jedni odchodzili, inni przychodzili – my byliśmy w GROM-ie dwie dekady. Potem przybył jeszcze jeden, z kolejnej selekcji, operator o pseudonimie „Wódz" – człowiek, który dowodził kilka lat później między innymi atakiem GROM-u na platformę Khawar al--Amaya Offshore Terminal w Iraku.

W tamtym czasie w Bieszczadach rodziło się coś, co na długo pozostało solą w oku dawnych generałów Sztabu Generalnego. Ci faceci kompletnie nie rozumieli zmian jakościowych, które właśnie dokonywały się tuż pod ich nosem.

Najważniejszą rolę w organizacji i koncepcji jednostki odegrał wówczas oczywiście pułkownik Petelicki. Człowiek również wychowany w starym systemie, ale umiejący patrzeć w przyszłość zupełnie innym okiem niż jego koledzy z SG. Dlaczego był dla nas tak ważny?

Dlaczego cieszył się takim szacunkiem, pomijając charyzmę, którą obdarzyła go natura? Odpowiedź jest dość prosta. Dużo trudniej jest zerwać z mentalnością panującą w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Wydziale XI Departamentu I MSW i ruszyć do przodu, całkowicie przewartościowując własne życie, niż przyjść już na gotowe, jak to mogą robić polscy oficerowie dzisiaj – w kompletnie innej rzeczywistości, w wolnej Polsce. Petelicki był oficerem przełomu systemów i nie tylko umiał z tamtego bagna się wyrwać, ale i był w tym cholernie autentyczny.

Przed moją selekcją w Bieszczadach w GROM-ie służyli już od mniej więcej pół roku tacy ludzie, jak: „Dzidziuś", „Dżeki", „Przepiórnik", „Zen-Zidan", „Diabeł", „Ułan", „Barry" i jeszcze kilkunastu innych, którzy byli od nas nieco starsi i mieli stanowić w przyszłości trzon taktyki czarnej w Jednostce 2305. Oni właśnie byli naszymi dowódcami sekcji i instruktorami w pierwszych latach jej istnienia.

GROM wprowadził Wojsko Polskie w nową epokę. Brał udział w pierwszej po II wojnie światowej prawdziwej walce, w historycznych akcjach. GROM zmienił myślenie polityków, wojskowych, o kilka pięter podniósł prestiż Polski w środowisku światowych sił specjalnych. Zmienił wzorce mentalne w działaniu zespołu, we współpracy w grupie. Uwolnił oficerów od bezsensownego wykonywania wszystkich zadań za podległych im, źle wyszkolonych żołnierzy. Zmienił sposób szkolenia strzelców wyborowych, taktykę walki w budynkach, w miastach. Pokazał, jak wrócić do korzeni działań nieregularnych, które przecież powinniśmy mieć odziedziczone we krwi jeszcze z powstań narodowych, z AK, z II wojny światowej. Wskazał wreszcie drogę do budowy sił specjalnych w Polsce, jakich wcześniej nie było. GROM zmienił w Wojsku Polskim wszystko.

Pierwsza próba… jeszcze nie ognia

O ósmej ktoś wrzasnął: „Wstawać, zbiórka!!!”. Za chwilę poprawił się: „Wstawać, zbiórka bez sprzętu na drodze!!!”, aż w końcu ryknął: „Wstawać, zbiórka wszystkich natychmiast, kurwa!!!”.

Wygramoliłem się z namiotu i rozejrzałem dookoła. Robiło się coraz jaśniej, ale poranek był chłodny. Z trawy nie wyparowała jeszcze gęsta, ciężka rosa. W kierunku grupki instruktorów po polnej drodze maszerowało kilkudziesięciu ludzi.

Rozpoczęła się ostra selekcja. Na dzień dobry kilku od razu odesłano do domu. Część dość szybko sama zrezygnowała, widząc, że raczej nie o to im chodziło. Kilku spóźniło się na zbiórkę, bo zbyt późno zjawili się w Rabe – oni też zostali odesłani na piechotę tam, skąd przybyli.

No i rozpoczęła się zabawa.

O dziewiątej wszystkim dano mapy z lat pięćdziesiątych, na których oprócz kilku rzek i wzgórz nic nie było aktualne, poza tym każdy z nas dostał kompas, trochę żarcia, butelkę wody oraz – na wszelki wypadek – tabletki do oczyszczania wody ze strumieni. Ruszyliśmy w górski las.

Generalnie była to już druga selekcja do GROM-u przeprowadzona w tamtym roku w Polsce. Nie wiem, jak wyglądała pierwsza, wiosenna, ale ta moja, na jesieni, w pewnym sensie była dziewicza, bo po raz pierwszy została zorganizowana wyłącznie przez polskich instruktorów, już bez pomocy i wskazówek amerykańskich doradców. No i chyba po raz pierwszy przeprowadzono ją z takim rozmachem logistycznym i dla tak dużej liczby chętnych. Więc tym bardziej mam z tego satysfakcję, że ją zaliczyłem, mimo że nie znałem absolutnie żadnych szczegółów i założeń organizacyjnych. Mówiąc między nami – wynik był dla mnie ogromnym zaskoczeniem.

Na granicy sił…

Gdy maszerujesz po górach w grupie, to masz przynajmniej z kim pogadać, podzielić się wrażeniami bądź na przykład udręką z powodu urazu kostki. Wiesz wtedy, że nie jesteś sam. Podczas selekcji do sił specjalnych jesteś absolutnie sam. Walczysz ze swoimi słabościami, z możliwościami swojego organizmu, ale też i ze swoją psychiką. Podczas wysiłku często zadajesz sobie podstawowe pytania typu: „Co ja tu w ogóle robię?”, poza tym masz wątpliwości natury praktycznej: „Czy podołam?”, „Czy wytrzymam?”, „Czy zdążę dojść na czas?”. Dobrze przeprowadzona selekcja prędzej czy później doprowadzi cię do absolutnej granicy wytrzymałości, i to z każdego możliwego punktu widzenia. A to jest właśnie to! To jest ten moment, w którym dopiero możesz realnie odpowiedzieć sobie na pytanie, kim jesteś, i dokonujesz wyboru. Przekonujesz się, czy to właśnie tu jest twoje miejsce, czy też może musisz iść w życiu dalej i szukać dla siebie innego zajęcia.

Selekcja GROM-u to szkoła przetrwania „na żywca”. I choćbyś nie wiem jak się do niej wcześniej przygotował, wszystkiego nie przewidzisz. Ci, którzy przegrywają eliminacje tu, w terenie, na ścieżkach leśnych, na kamienistych, sypkich lub śliskich podejściach pod górę, to często… sportowcy, wyczynowcy. Ludzie na co dzień nie do pokonania w triatlonie. Paradoks? Chyba jednak nie. Selekcja do GROM-u to ciąg niespodzianek i zdarzeń dyktowanych przez naturę, czasem przypadek, czasem przez buntujący się własny organizm, chociaż głównie przez instruktorów.

Trzeba mieć także sporo szczęścia, ale szczęście, jak wiadomo, zwykle sprzyja lepszym. Na własne oczy widziałem, jak mój kolega prawie ukończył swój dzienny etap i gdy już wyluzowany zbiegał truchtem z ostatniej góry, a zostało mu może z pół kilometra, wpadł nagle jedną nogą w dziurę po zmurszałym i przegniłym pniaku. Nie dało się tego przewidzieć ani w porę zauważyć, bo dziura była porośnięta mchem i trawą. Chłopak poleciał do przodu i wyłamał sobie kolano z więzadeł mięśniowych. Wył z bólu, stopę miał wygiętą nienaturalnie do tyłu.

Pozbierano go do karetki, był pozamiatany. Hmm…

Kiedy ja ruszałem na swoją selekcję, miałem dwadzieścia cztery lata. Czułem się silny i wytrzymały. Mówi się czasem, że ktoś jest lekki w nogach – odnosiłem wrażenie, że wtedy taki byłem. Jedyne, co mi przeszkadzało, to to, że byłem niewyspany po dobie podróży z Warszawy do Rabe. Wrażenie zamulenia umysłu jednak powoli mijało, a pomogła, jak zawsze, niezawodna przyjaciółka każdego komandosa – adrenalina, która potrafi na pewien czas oszukać nawet taką cwaniarę jak hipokretyna[5].

Gdy ruszałem w trasę, miałem wrażenie, że znam się na nawigacji i wiem, jak używać kompasu. Rzeczywistość szybko to zweryfikowała. Musiałem się dostosować do niespodzianek, których przygotowano wiele. No i dobrze…

Instruktor selekcji machnął w powietrzu dłonią i dał mi w ten sposób znak, żebym ruszał. Poza kompasem i mapą (bardzo nieaktualną, bo z roku 1957) miałem ze sobą mały czerwony, turystyczny plecak, a w nim butelkę wody, trzy puszki pasztetu i konserwy z czegoś tam jeszcze, nie pamiętam. Do tego oczywiście suchary i tabletki do odkażania wody źródlanej oraz para zapasowych butów – zwykłych, wojskowych, sznurowanych trampek na płaskiej, gumowanej podeszwie, zwanych czasem atramentami (od specyficznego koloru). Zatrzymałem się niewiele ponad trzysta metrów od startu, na rozległej polanie, żeby się namierzyć na zapisane na mapie współrzędne kartograficzne. Tuż przed startem otrzymałem swój pierwszy punkt, do którego miałem dotrzeć, zresztą w bliżej nieokreślonym czasie. Nie wiedziałem też, co będzie potem, nie znałem liczby kolejnych punktów w terenie, na które także musiałbym się namierzyć, no i oczywiście je zaliczyć. O jednym nas poinformowano na instruktażu: gdy zabraknie nam dnia na przejście całej trasy lub się źle poczujemy, to mamy samodzielnie zejść do tutejszego obozowiska. Oczywiście, jak każdy z nas mógł się domyślić, oznaczało to „śmierć” kandydata i koniec zabawy (przynajmniej dla niego).

Puszczano nas w kilkuminutowych odstępach. Nie mogliśmy się grupować czy dalej iść razem – takie zasady. Ten, kogo by na tym złapano, wyleciałby z selekcji.

Patrząc na ustalony dokładnie punkt na mapie, zwróciłem się na wschód. W tym kierunku powinienem iść. Było około godziny dziesiątej rano. Wrześniowe słońce mocno świeciło zza szczytów wzgórz, było dość ostre i raziło w oczy. Ale to dobrze; potrzebowałem czegoś, co mnie rozgrzeje i doda optymizmu. Słońce było więc w tym momencie w sam raz. Rosa i chłodny poranek spowodowały, że już na początku byłem mokry do kolan, a tutejsze łąki o tej porze roku to zwykłe mokradła. Czekał mnie bardzo daleki marsz. Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby jak najskuteczniej się osuszyć, a przede wszystkim nie przemarznąć.

Miałem dwie możliwości: pierwsza to bezpośredni marsz na azymut[6] przy użyciu kompasu, a druga – iść według mapy. Jeśli masz dobrą mapę, to kompas nie jest ci właściwie potrzebny. Najlepiej jednak używać obu metod razem. Ale marsz na azymut jest szybszy, bo idziesz na skróty. Wzgórza w Bieszczadach nie są aż tak strome i wysokie jak na przykład w Tatrach, więc jeżeli się odpowiednio rozkłada siły, da się to zrobić. Jednak takie rozwiązanie potrafi być zgubne, bo jeśli po pewnym czasie zapomnisz o mapie i przestaniesz śledzić szczegóły na przykład przeszkód terenowych, których kompas ci nie pokaże, to potem musisz tracić czas na kolejne namierzanie się i korekcję kursu. Jeśli pilnujesz na bieżąco danych na mapie, to zawsze wiesz, gdzie jesteś, mniej więcej z dokładnością do dziesięciu metrów. Doświadczyłem tego wszystkiego na własnej skórze, i to już na pierwszym punkcie ówczesnej selekcji.

Wycelowałem swój kompas na azymut sto dziesięć stopni i pobiegłem rześko, najpierw trochę w dół, a potem prosto na wzgórze położone jakieś dwa kilometry przede mną. Pokonałem leśne zbocze i pobiegłem dalej, znowu w dół i znów pod górę. Po przejściu

w sumie około pięciu kilometrów zauważyłem wreszcie „moją” górę. Mapę schowałem teraz do plecaka, bo reszta wydawała się już łatwa. Przed samym szczytem zwolniłem trochę. Jeeeest! Jest mój punkt. To musi być tu. Po chwili zauważyłem małe ognisko i instruktora siedzącego przed małym zielonym namiotem. Uśmiechnął się do mnie przyjaźnie. Później był to mój doskonały, choć nieco starszy, druh i kolega o pseudonimie „Diabeł”.

– Cześć! – powiedział pierwszy.

– Cześć! – odpowiedziałem mu entuzjastycznie.

– Pokaż mi swoją mapę i wskaż mi na niej, gdzie teraz jesteś.

– Tutaj. – Pokazałem palcem na planie.

– Nie, stary – odparł, nie tracąc uśmiechu. – To nie jest twój punkt i nie mogę ci podać kolejnych współrzędnych, bo pomyliłeś kolejność, w jakiej powinieneś się tu zameldować.

Gość mnie trochę załamał, ale szybko zresetowałem moje myślenie i rzucając przez ramię krótkie: „No to cześć!”, pobiegłem dalej, jeszcze kilkadziesiąt metrów grzbietem. Po paru minutach zatrzymałem się, usiadłem na świerkowym pniaku i wyjąłem mapę z plecaka. Patrzę to na mapę, to przed siebie i… azymut się zgadza, odległość raczej też. Mogłem pomylić się najwyżej dwieście metrów, w górach o to łatwo, ale żeby szczyt pomylić? To niemożliwe! Przecież następny na tym kierunku jest za jakieś trzy kilometry. Co jest grane…? Rozejrzałem się jeszcze raz wokół siebie. Wstałem, wspiąłem się na jedno z drzew, ale niewiele mi to pomogło. No to chyba się zgubiłem, i to będzie tyle z tej selekcji. Dupa blada. Omal wtedy nie zrezygnowałem. Nie mogłem uwierzyć, że się pogubiłem. Zszedłem z opuszczoną głową na sam dół zbocza i wkroczyłem na gruntową drogę. Podniosłem głowę i jeszcze raz spojrzałem na tę cholerną górę, na której straciłem orientację. Już miałem wracać do bazy, ale coś mnie powstrzymało. Machnąłem ręką: A co mi tam! Pójdę tą drogą jeszcze parę metrów dalej na wschód, do góry, może przynajmniej coś z tej sytuacji da się jeszcze zrozumieć. Szedłem nie dłużej niż dwie minuty, droga łukowato prowadziła jeszcze trochę w górę, a potem dość stromo schodziła na dół, potem znowu się wspinała wokół… kolejnej dużej góry. Miałem wrażenie, że las po mojej lewej stronie na zboczu obrócił się wokół własnej osi. Dziwne… I co zobaczyłem? Pomiędzy tym szczytem, na którym dopiero co spotkałem „Diabła”, a tym dużym w oddali jest jeszcze jeden (!), mniejszy, schowany pomiędzy tamtymi. Idąc od zachodu, nie mogłem go zauważyć! Eureka! – buchnąłem optymizmem i wystartowałem z drogi prosto na stromiznę wzgórza, gdzie oczywiście był instruktor, znany mi później jako „Przepiórnik”, który dał mi kolejne współrzędne na kolejny punkt. Doznałem uczucia, jakby gdzieś z boku ktoś odkręcił mi wentyl, którym wydobył się ze świstem sprężony niepokój. Gdy miałem już iść dalej, „Przepiórnik” zapytał mnie jeszcze krótko, czy wszystko w porządku. Odpowiedziałem mu entuzjastycznie, że nigdy wcześniej lepiej się nie czułem, i pobiegłem dalej. Ale już od teraz używałem zarówno mapy, jak i kompasu. Tak à propos – w górach łatwo pomylić się, jeśli chodzi o pokonany dystans, natomiast na terenach płaskich, na nizinach raczej nie ma z tym problemu, choć z kolei trudno w tym wypadku o charakterystyczne odniesienia co do ukształtowania terenu. Bywa więc, że na płaskim terenie jest trudniej. Przekonaj się kiedyś sam.

Przez pięć dni łażenia od szczytu do szczytu pokonywałem dziennie około dwudziestu kilometrów i – chcąc nie chcąc – „zdobywałem” co najmniej sześć, siedem wierzchołków. Każdego dnia rano zbieraliśmy się, odczytywano listę obecności, lekarz rzucał na nas okiem, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyjemy, i znowu ruszaliśmy w góry. Grupa topniała w oczach. Ludzie rezygnowali w różnym stylu – czasem w milczeniu, czasem złościli się na samych siebie, na pecha, na cały świat dookoła, a czasem pomstowali pod nosem lub głośno, na cały las, że ta selekcja to w ogóle jest do dupy, że wcale nie muszą tu łazić, po tych górach, bo mają przecież lepszą robotę, gdzieś tam, w warsztacie samochodowym u ojca. Byli też „krzywdzeni przez los”, „celowo dręczeni” lub „niesprawiedliwie wyeliminowani, choć przecież byli wspaniali”. Psychika siada pierwsza. Zwykle tak jest.

Ja po pewnym czasie miałem w mięśniach straszne zakwasy, ale wyszedłem z założenia, że gdy jest się młodym, to można je szybko rozbiegać. Tym sposobem, zaciskając zęby, zdobyłem jeden z najwyższych w tej okolicy szczytów – Chryszczatą – górę podstępną, bo o podwójnym jakby grzbiecie. Podczas podejścia wydaje ci się, że już jesteś na szczycie, a to nieprawda, bo nagle spostrzegasz, że musisz jeszcze iść do góry spory kawałek (którego nie dostrzegłeś do tej pory, bo patrzyłeś z innego punktu) i dopiero tam będzie na ciebie czekał instruktor.

Tego dnia było niemiłosiernie gorąco. Wprawdzie tabletki do odkażania wody miałem przy sobie, ale za to nie miałem żadnego pojemnika, żeby nabrać wody ze strumienia czy kałuży. Otworzyłem więc konserwę i zjadłem jej dość słoną, niestety, zawartość. Jak to bywa po słonym, pić mi się chciało jeszcze bardziej, ale w ten sposób uzyskałem puszkę, wprawdzie ze smalcem na bokach, ale kto by tam zwracał uwagę na szczegóły. Nabrałem wody ze strumienia i razem z tym cholernym smalcem wypiłem tyle wody, ile się tylko da. Smakowała jak… Okej, nie będę pisał jak. Bardziej dokuczliwą „atrakcją” był piasek, który dostał się do puszki razem z wodą ze strumienia i od tej pory zgrzytał mi między zębami. Tak więc po takim survivalowym drinku w chwilach dramatycznych nie mogłem nawet porządnie zacisnąć zębów.

Gdy tak szedłem, od czasu do czasu ktoś mnie mijał, ktoś wyprzedzał, ktoś inny zbiegał z góry, na którą ja akurat miałem teraz wejść. Ktoś machał przyjaźnie ręką i zasuwał dalej. To nic niezwykłego. Nie mieliśmy dokładnie tych samych tras. Czasem jednak zdarzało się, że spotykaliśmy się we dwóch lub trzech tuż przed wejściem na ten sam szczyt. Wtedy w odstępach czasowych zaliczaliśmy u instruktora nasze współrzędne. I z tym też nie było problemu, ważne było, żebyśmy nie konsultowali się pomiędzy sobą.

Był jednak pewien gość, który chyba mnie już ze dwa razy minął podczas trasy na Chryszczatą. Wysoki, miał ksywę „Emu”. Pierwszy raz mnie wyprzedził i bez żadnego słowa zniknął. Za drugim razem nieco mnie przestraszył, bo w pewnym momencie myślałem, że to niedźwiedź biegnie z takim hałasem, łamiąc gałęzie obok leśnej ścieżki. Usłyszałem tylko, że z lewej strony coś szarżuje wprost na mnie, rwąc po drodze chaszcze i zarośla. W którymś momencie planowałem nawet wskoczyć na jakieś drzewo, ale niestety okazałem się nie dość szybki, więc zamarłem w bezruchu tuż przed tym „niedźwiedziem”. A to właśnie „Emu” przeciął przede mną ścieżkę z lewej do prawej i po sekundzie znikł głęboko w kniei. Gość

mnie nawet nie zauważył, a przecież szedłem w czerwonym ortalionie! Nieważne, dziękowałem opatrzności, że to jednak nie tutejszy misiek.

Przeszedłem może ze trzysta metrów, a tu znowu hałas z lasu. Tym razem z prawej strony. I znowu „Emu" przebiega przez ścieżkę i znika po drugiej stronie zarośli. Zawrócił jednak po raz kolejny (bo w końcu mnie jednak zauważył) i mówi, ledwo łapiąc oddech:

– Cześć! Ty, słuchaj, nie wiesz może, jak dojść na Chryszczatą?

– Wiem – westchnąłem nieco już tym wszystkim rozbawiony. – Tą ścieżką, którą ja idę teraz, na wprost. Za jakieś czterysta metrów będzie podejście od północy.

– Okej, dzięki, stary!

I zniknął. Pewnie też biegał na azymut i w końcu się pogubił, a jeszcze nie wpadł na to, że mapa to w tym przypadku podstawa. Gdy już prawie wszedłem na tę górę, zobaczyłem (tym razem już nie mogłem uwierzyć własnym oczom), że zbiega z niej „Emu" i krzyczy, że to nie Chryszczata!

– A byłeś na samej górze? – pytam. – Czy jest tam instruktor?

– Nie ma tam nikogo – rozłożył swoje wielkie ręce.

W końcu zaproponowałem, aby poszedł ze mną.

Oczywiście chodziło o ten podwójny garb, którego „Emu" jakoś nie dostrzegł. Gdy jednak, idąc ze mną, zobaczył drzemiącego przy ognisku instruktora, znowu wyrwał do przodu, żeby zameldować się jako pierwszy. Niestety, ten dzień dla sympatycznego biegacza był tu akurat ostatnim.

Ja natomiast, mimo że coraz bardziej zmęczony, czułem jednocześnie coraz większą wprawę w znajdowaniu wyznaczonych do zaliczenia szczytów. Kiedy mogłem – podbiegałem pod górę, kiedy było to niemożliwe – wolno się wdrapywałem, zdarzało się nawet, że po pionowym gliniastym urwisku. Zwykle można było takie podejście zaliczyć od łagodniejszej strony, ale ja wymyślałem spontanicznie, że tym razem wdrapię się właśnie tędy, na skróty, bo właściwie czemu by nie. Czasem nawet instruktor na górze dziwił się, z której strony go „podszedłem", ale cóż – zakazu nie było.

Szedłem teraz znów na azymut i parłem jak taran przez lasy bukowe, świerkowe oraz różnorakie chaszcze. Przeskakiwałem przez różnej szerokości strumyki i rwące potoki. Któregoś dnia zapędziłem się nawet w zupełną dzicz. Dookoła wysokie, gęste drzewa, przez które słońce przedostawało się z trudem, przeszywająca cisza i, pamiętam, jakiś dziwny niepokój, który instynktownie podpowiadał mi, że coś jest nie tak. Byłem pewien, że coś lub ktoś jest za moimi plecami. Obejrzałem się i spojrzałem mocno w górę. Słońce mnie od tamtej strony oślepiało, ale w końcu go dojrzałem – potężny wilk stał i obserwował mnie ze zbocza góry. Po chwili dołączył do niego jeszcze jeden i następny… Niedobrze. Pewnie idą za mną już dłuższy czas. Mało tego, pewnie po mojej drugiej stronie też już są. Jeśli pomyliły mnie z jakimś jeleniem, to najpewniej teraz sprawdzają, czy wart jestem ich wysiłku i czy zjedzą mnie na miejscu, czy może jednak będę daniem na wynos. Coraz bardziej nabierałem przekonania, że mam ostro przechlapane. Wziąłem do ręki kawał gałęzi i zacząłem mocno uderzać w pień bukowego drzewa. Zacząłem krzyczeć, żeby spieprzały (ciekawe, czy

znalazłbyś lepszy sposób, nie mając broni). Szefową gromadki była najprawdopodobniej wilczyca, która długo i uważnie mi się przyglądała, niewiele robiąc sobie z mojego pokrzykiwania. W pewnym momencie powoli odstąpiła do tyłu, a za nią po kolei uczyniły to pozostałe wilki, jeden po drugim. Nie byłem pewien, czy to już koniec. Więc zacząłem biec, robiąc przy tym możliwie największy hałas, ale poślizgnąłem się na gliniastym podłożu, zjechałem chyba z dziesięć metrów w dół i o mały włos nie nadziałem się na czubek uschniętego, zwalonego świerka. Miałem szczęście, bo szarobiały czubek drzewa był zakończony ostro jak włócznia, zaschnięty i twardy jak stal. Gałęzie go tak podtrzymywały, że był wycelowany prosto we mnie. Gdy tak zsuwałem się w dół prosto na niego, ledwo zdążyłem się odbić mocno w bok. Ale i tak o niego zawadziłem i rozerwałem ortalion, fundując sobie krwawą pręgę na prawym boku. Byłem po pachy umazany błotem i krwią. Bólu wtedy nie czułem, jednak gdy już dotarłem do obozu, w nocy, w namiocie prawie nie spałem. Wszystko mnie bolało, wszystko mnie swędziało, ale pozostał już tylko jeden dzień…

Kiedy ostatniego dnia schodziłem z ostatniego szczytu, skąd niedaleko było już do obozowiska, poznałem jeszcze jednego, do tej pory nieznanego mi instruktora – olbrzyma z dużymi wąsami, przekornie nazywanego później „Dzidziusiem”. Po miesiącu okazało się, że to on został moim pierwszym dowódcą sekcji szturmowej w GROM-ie. Hmm… i weź takiemu podskocz, człowieku. A było tak.

Podszedłem, już wyluzowany, do definitywnie ostatniego, górzystego punktu mojej trasy na selekcji. „Dzidziuś” miał minę raczej bez wyrazu, twardą i zasadniczą. Zapytał mnie, czy wiem, gdzie jest baza. Odpowiedziałem, że wiem. „No to idź teraz do bazy”. Było późne popołudnie, zadanie dobiegało końca, wszyscy już schodzili z gór, zarówno kandydaci do GROM-u, jak i instruktorzy. Pomyślałem sobie, że nie będę tym razem zbiegał po stromiźnie do asfaltowej drogi u podnóża góry, tylko zupełnie spokojnie sobie zejdę wytyczonym akurat tu szlakiem górskim. Taka trasa była o kilometr dłuższa, ale po co tuż przed metą ryzykować kontuzję. Wyszedłem na główną drogę. Obok niej, w dole, szumiał rwący potok. Gdy podszedłem już pod wzgórze, na którym stały nasze namioty, przeprawiłem się jeszcze przez rów i płynący w nim strumień, żeby wreszcie odhaczyć się na mecie. Ale w połowie mojej mozolnej wspinaczki po otwartej łące nagle poczułem bodnięcie od tyłu w bark. Odwróciłem się zdziwiony, a to olbrzym „Dzidziuś” (pewnie musiał pójść na skróty) dopadł mnie jeszcze tutaj. Miał w ręku kawał drewnianego drąga, który służył mu chyba jako podpora, coś jak dzisiejsze *walking sticks*. Walnął mnie i zaczął popędzać: „Hej, młody, dawaj, dawaj pod tę górę, czas się liczy!”. Zaskoczony, wyrwałem jak strzała pod tę górę. Pewnie dlatego później wziął mnie do swojego zespołu. Jeśli chodzi o bieganie, raczej nigdy nie wymiękałem. Podczas służby lubiłem „Dzidziusia” i dobrze mi się z nim współpracowało. Tak widocznie chciał los.

Po moim spektakularnym finałowym wejściu na szczyt polany instruktor sprawdził jeszcze dane, zabrał ode mnie kompas i mapę i skierował w stronę dziewczyny w wojskowym mundurze, która zaproponowała wodę w plastikowym kubku. To była Monika, która pilnowała, żebyśmy nie wpadli w przesadną euforię i natychmiast poszli do naszych na-

miotów.

W namiocie nie było jeszcze wszystkich, był natomiast Marek zwany „Skałą” – później też snajper. Nie wiem, jak on to robił, ale zawsze pierwszy zaliczał wszystkie trasy.

Zapadał zmrok. Odpoczywaliśmy, rozmawialiśmy, ale coś wisiało w powietrzu. Któryś z chłopaków dawał do zrozumienia, że słyszał o jakimś nocnym maratonie. Wprawdzie wpadło mi to w ucho, ale byłem tak zmęczony, że szybko zasnąłem. Chyba jeszcze przez sen dotarła do mnie w pewnym momencie głośna rozmowa zza namiotu. Otworzyłem oczy i usłyszałem wystrzały z pistoletu. Patrzę na zegarek – dwudziesta trzecia. Spałem ze trzy godziny. Dobre i tyle.

„Wstawać! Wszyscy! Zbiórka na drodze. Brać plecaki i szybko na drogę!!! Ruszać się, kurwa! Co tak wolno?!”

Wypełzliśmy z namiotów. Dookoła zimna noc, pełno gwiazd na niebie. Umysły pracujące resztkami sił. Ustawiono nas na głównej, asfaltowej drodze, na podejściu do bazy. Powiedziano nam, że teraz czeka nas marsz „stąd do rana”. Odległość, jaką mieliśmy pokonać, oczywiście była „tajna”. Zasada była prosta – musieliśmy takim półbiegiem, mając na sobie plecak z wodą i z tym, co tam nam wolno było wziąć do środka, maszerować przed siebie, trzymając się głównej drogi. Nie wolno nam było iść w grupie ani rozmawiać. Naszym zadaniem było iść od punktu do punktu, od jednego samochodu terenowego do następnego. Terenówki były rozstawione na skrzyżowaniach co pięć, dziesięć, czasem co dwa kilometry. Map ani kompasów tym razem nie wydano. Marsz ten obliczony był raczej na wytrzymałość niż na myślenie, chociaż…

Pierwszą przeszkodą, jaką napotkałem na trasie, był potok. Płytki, ale woda była w nim potwornie zimna i niebezpiecznie rwąca. Zdjąłem buty i spodnie i trzymając ten dobytek w rękach, przeszedłem pierwszy bród. Ubrałem się, poszedłem kawałek dalej i zobaczyłem kolejną rzekę. No i co, mam tak co chwilę się rozbierać? Tym razem wszedłem w wodę, tak jak stałem. W marszu wyschnę – trudno. Następnie pokonałem już trzeci z kolei bród, ale w pewnym momencie spojrzałem do góry i ujrzałem w ciemności, że nade mną jest stalowy, kratownicowy, stary most kolejowy! Pewnie na tamtych poprzednich też były takie kładki. Nie mogłem sobie wybaczyć, że teraz stoję tu mokry i patrzę na most nade mną. Oczywiście okazało się, że przede mną były jeszcze trzy kolejne rzeki i nad każdą był most. No cóż – człowiek uczy się na błędach.

Szedłem chyba całą wieczność. Podeszwy butów już odpadły całkowicie i zostały mi tylko atramenty – te płaskie trampki wojskowe, które wziąłem do plecaka. Ostatnie dziesięć kilometrów przeszedłem właśnie w nich. Zaczęło świtać. W oddali zobaczyłem wyłaniające się z ustępującej ciemności postacie moich kolegów, zarówno tych, którzy szli przede mną, jak i tych idących za mną. Wyglądaliśmy jak zombie. Kilometr przed metą rozpoznałem żwirownię, którą nieraz mijałem podczas ostatnich paru dni biegania na orientację. Za chwilę ujrzałem przed sobą instruktorów, którzy dopingowali mnie na mecie: „Dawaj, dawaj!”. No i wszedłem na metę, ledwo przebierając nogami.

– Gratulacje! – usłyszałem gdzieś z boku. – Ukończył pan marszobieg w dobrym czasie.

Zaliczył pan!

Po chwili skierowano mnie znów do dobrze znanego mi namiotu. Przemyłem wodą paznokcie u stóp. Właściwie to ich nie miałem, bo zrobiły mi się granatowe już czwartego dnia selekcji i zdjąłem je sobie, tnąc żyletką warstwa po warstwie, żeby krew spod spodu odpłynęła i ból w końcu ustąpił.

Gdy dotarliśmy tego ostatniego dnia rano do mety, okazało się, że chodząc gdzieś tam dookoła pasm górskich, przeszliśmy ponad czterdzieści kilometrów! Tyle co maraton, z tą różnicą, że po pięciu dniach mordęgi w górach. Oczywiście nie wszyscy dali radę, kilku nawet pomyliło drogę i szukano ich do samego południa następnego dnia.

Gdy próbowałem się jakoś domyć, była już ósma rano. Godzinę później znowu usłyszałem wezwanie na zbiórkę. Wtedy po raz pierwszy spotkałem Sławomira Petelickiego.

Każdy się boi…

Wszedłem do namiotu. Siedziało w nim trzech instruktorów oraz Sławomir Petelicki.

– Czy nie boi się pan oddać życia, gdy zajdzie taka potrzeba? – spokojnie zapytał pułkownik, jakby od niechcenia, ale jak się później okazało, był to jeden z najbardziej istotnych momentów podczas selekcji.

– Każdy się trochę boi, panie pułkowniku – odparłem. – A bywa, że niektórzy przeraźliwie płaczą już od kołyski.

Nie wydawało mi się wtedy, żebym tym trafił w dziesiątkę, ale jakiś czas potem dowiedziałem się, że tak właśnie było. Tu potrzebowano chłopaków nie tylko wytrzymałych fizycznie, biegaczy, siłaczy czy kafarów prosto z siłowni. Pułkownikowi zależało na bystrych oficerach, z dystansem do siebie, z wyobraźnią i z pozytywnym podejściem do życia.

Aż trudno uwierzyć, ale na dwadzieścia osób, które zaliczyły cały marsz przez Bieszczady, tylko osiem przeszło pozytywnie krótką i – jak się wydaje – raczej nieskomplikowaną rozmowę z Petelickim. Resztę odesłano z powrotem.

Kiedy już było po całej tej mordędze, usiedliśmy przy ognisku z tymi, którym udało się zostać, żeby – co chyba dość ludzkie – porozmyślać o naszym sukcesie. Podeszli do nas Petelicki i instruktor o ksywie „Diabeł”. Temu facetowi wyjątkowo dobrze dobrano pseudonim. Twarz miał z lekka trójkątną, nos szpiczasty, uszy trochę wywinięte do tyłu i w górę, oczy przyjazne, ale lekko przekrwione. „Diabeł” wyglądał jak… diabeł. Naprawdę nazywał się Leszek Drewniak i został przez nas wszystkich zapamiętany jako bardzo barwna postać. Oprócz tego, że był oficerem GROM-u, jako pierwszy człowiek w Polsce otrzymał mistrzowski stopień dan w karate Shotokan i położył ogromne zasługi w rozwoju tej dyscypliny sportu w naszym kraju. Mówiono nawet, że to on założył najwięcej sekcji karate, zanim jeszcze Bruce Lee zaczął wywijać rękami i nogami na ekranach naszych kin. Leszek „Diabolo” kilkanaście lat po tamtej naszej pierwszej selekcji zmarł nagle, niespodziewanie i w tajemniczych okolicznościach. W noc poprzedzającą jego pięćdziesiąte szóste urodziny znaleziono go martwego na klatce schodowej przed jego własnym mieszkaniem. Nigdy do końca nie wyjaśniono przyczyny śmierci.

Jednak tego wieczora, kilkanaście lat wcześniej, Petelicki i „Diabeł” przysiedli się do nas. Pułkownik trochę pogawędził o swojej służbowej przeszłości (co, jak się później okazało, miał w zwyczaju), aż wreszcie powiedział: „Będziecie najlepszymi na świecie »operatorami«, będziecie mieli najlepszy sprzęt, będziecie umieli jeździć każdym pojazdem i strzelać z każdego rodzaju broni na świecie”. Nie mógł być jeszcze wtedy tego pewien, ale

wiem, że mocno w to wierzył. I miał rację! Nie do wiary…

Nowe metody. Nowe „zabawki”

Po rozmowie z pułkownikiem Petelickim, która odbyła się pod namiotem w Bieszczadach, ósemka wybranych została przewieziona autokarem do bazy GROM-u w Warszawie. Pozostali musieli, niestety, wracać na własną rękę. Nie ma co owijać w bawełnę – mieli przechlapane. Nie dość, że byli cholernie wyczerpani psychicznie i fizycznie tygodniową selekcją, to jeszcze guzik z tego wyszło i nikogo nie obchodziło, jak wrócą do domu z kompletnej dziczy.

Nam z kolei jeszcze raz pogratulowano, a potem dostaliśmy ustawowo należny urlop. Gdy wróciłem do mojego leśnego domu, ojciec, patrząc na mnie jak na ducha ojca Hamleta, zapytał wprost, kto mi to zrobił. Z bólu i zakwasów w mięśniach ledwo powłóczyłem nogami, żeby na przykład dojść do werandy przed domem. Bolało mnie wszystko, byłem chyba o połowę chudszy, ale wewnątrz czułem się naprawdę *cool*. Dostałem robotę, o jakiej marzyłem, i choć nie wiedziałem, co mnie z tej okazji czeka, to jakoś oczami duszy czułem, że będzie jak nigdy dotąd. No i sprawdziło się!

W październiku 1991 roku stawiłem się ponownie w Warszawie. Tym razem z siedziby jednostki GROM przewieziono wszystkich na teren Akademii Sztabu Generalnego, później przemianowanej na Akademię Obrony Narodowej. Zakwaterowano nas w miejscowym dwukondygnacyjnym budynku koszarowym.

Całą trzydziestkę – a tylu było pierwszych komandosów GROM-u – zgrupowano na ostatnim piętrze. Gdy wszedłem, kręciło się tam już kilku facetów, których jeszcze nie znałem. W pewnym momencie jeden z nich wywołał mnie po nazwisku i po chwili się okazało, że jestem przydzielony do jego sześcioosobowej sekcji szturmowej. Powstały wtedy pierwsze cztery takie grupy. Dowodzili nimi: „Dżeki”, „Dzidziuś”, „Przepiórnik” i „Diabeł” – wszyscy w randze kapitana. Jednocześnie zorganizowano wokół tego wszystkiego grupy zabezpieczenia logistycznego i wsparcie bojowe.

Rozpoczęła się seria szkoleń, bardzo ekstensywnych, bez ograniczeń i ram czasowych. Niekiedy ćwiczyliśmy – naprawdę się nie ochrzaniając – sześć godzin dziennie, ale bywało, że i po dziesięć, dwanaście godzin, a jak dowódców naszło, to i całą dobę. W dzień i w nocy.

Pierwsze ćwiczenia ewidentnie kładły nacisk na sprawność fizyczną. Dużo biegaliśmy i trenowaliśmy walkę wręcz. Często na przykład zatrzymywaliśmy się przy pryzmach metrówek drzewnych i każdy z nas z taką kłodą na plecach robił przysiady, skręty tułowia i inne wymyślne ćwiczenia. A potem znów bieg, czasem lekki trucht, czasem sprint, i tak do upadłego. Dobrze czułem się w biegach, byłem lekki i wytrzymały, wychowałem się przecież w lesie, co zaczęło procentować.

Któregoś dnia przyleciał na Okęcie transport broni, amunicji i sprzętu z USA, a z nim amerykańscy instruktorzy z CIA, byli weterani wojny wietnamskiej i kilku facetów z Delta Force. Rozejrzeli się najpierw trochę, jak to tu jest w tej Polsce, a potem zrobili z nas szturmowców z *Gwiezdnych wojen*. Nie żartuję. Kiedy wydali nam sprzęt, dokładnie tak się poczułem. Wprawdzie kamizelki nie były białe ani plastikowe, ale na nas zrobiły ogromne wrażenie, wyglądały, jakby przywieźli je kosmici. Można było sobie je regulować, wszędzie było miejsce na dodatkową amunicję, granaty, radiostację i tak dalej. Dostaliśmy też czarne kaski typu Pro-Tec, w tamtym okresie charakterystyczne dla antyterrorystów, broń firmy Heckler & Koch, o której już trochę mówiłem, pierwsze MP5 w różnych wersjach, pistolety Browning HP, no i noże szturmowe piechoty morskiej. Szczególnie zainteresowała mnie wtedy jeszcze jedna zabawka – długi karabin snajperski Remington 700, kaliber .308.

Codziennie rano ładowaliśmy sprzęt na przydzielone nam mercedesy terenowe, jednak jechała tylko broń – my biegaliśmy cztery kilometry na poligon i strzelnicę. Nasz poligon nie był może zbyt rozległy, ale rozmieszczono na nim kilka fajnych sektorów do grzania z broni na krótkie i dłuższe dystanse, strzelnicę dla granatników gazowych i bojowych, czerwony domek ceglany do treningu różnych sposobów wchodzenia przez okna, do piwnic i na dach. Najbardziej przykuwała jednak uwagę nieduża, ukryta za wałami z piasku budowla z opon, poukładanych na kształt parterowego budynku, bez dachu, z kilkoma pomieszczeniami w środku imitującymi strefy pokojów, łazienek, przedsionków i elementów korytarzy. To był pierwszy w Polsce i chyba w ogóle w tej części kontynentu *killing house*. Może dlatego, że byliśmy pierwszymi w Europie Środkowej, którzy nawet na ćwiczeniach od razu strzelali na ostro. W ogóle od samego początku nie używaliśmy amunicji ślepej, tak jak to robiono w pozostałych jednostkach w Polsce podczas treningów z taktyki. Strzelaliśmy dosłownie koło siebie, a opony wypełnione po brzegi piaskiem miały zatrzymać rykoszety. Magazynki mieliśmy załadowane ostrą amunicją, byliśmy po wyczerpującym wysiłku fizycznym, ale nie mogliśmy pozwolić, żeby drgnęła nam ręka albo zawiodło oko. Bywało, że Petelicki siedział w samym środku, kiedy tam ganialiśmy z karabinkami MP5. Tak budowaliśmy wzajemne zaufanie do siebie – najpierw w sześcioosobowych teamach, a później w całym zespole grup szturmowych.

Kiedy taki dwudziesto-, trzydziestoosobowy „pociąg” ustawiał się do „czyszczenia” ciągu pomieszczeń, to naprawdę robiło wrażenie. Gdy ruszał do przodu, był praktycznie nie do zatrzymania przez jakichkolwiek – na razie udawanych – terrorystów, o czym zresztą prawdziwi terroryści parę lat później boleśnie się przekonali. Tak tworzyła się pierwsza nowa taktyka walki w terenie zurbanizowanym na krótkim dystansie, taktyka czarna – której poświęcę osobny rozdział – z angielskiego zwana CQB.

Na poligonie, kilkanaście metrów od domku z opon, ciągnął się przez mniej więcej trzysta metrów małpi gaj, czyli tor przeszkód. Jeden z amerykańskich instruktorów próbował go pokonać – przyznał potem, że jeszcze tak zmyślnego i trudnego toru w życiu nie widział. No, wiadomo, Polak potrafi. Pamiętam, cieszył się jak dzieciak, gdy wisiał głową w dół na jednej z linowych drabinek prowadzących od drzewa do drzewa, pokonywał kilka przeszkód po

kolei, w dodatku w swoim garniaku. Tego dnia był ubrany w garnitur, bo po prostu wizytował ten tor. Wisiał i wykrzykiwał: „Chłopaki! Jeszcze niedawno byliśmy wrogami, a teraz mogę tu, w Polsce, ćwiczyć razem z wami. To jest coś wspaniałego!”.

Pierwsze szkolenia w Close Quarters Battle, taktyce czarnej. Wizyta prezydenta Lecha Wałęsy na poligonie. Stoję drugi od prawej strony. Pośrodku pułkownik Sławomir Petelicki. 1992 rok

Części młodych czytelników pewnie dość trudno zrozumieć tamte czasy, ale kiedy ten gość w garniturze wisiał do góry nogami w naszym małpim gaju, nie byliśmy jeszcze nawet w PfP (Partnership for Peace), czyli Partnerstwie dla Pokoju, nie mówiąc już o NATO, do którego wstąpiliśmy dopiero w 1999 roku.

Taktyka

Jeśli zajrzysz do encyklopedii, to wyczytasz tam, że taktyka to „…część sztuki wojennej obejmująca teorię i praktykę prowadzenia walki przez jednostki różnych rodzajów wojsk”. No, ładnie, tyle że niezbyt wiele z tego wynika.

No to może inna definicja z innego źródła: „…sposób, metoda postępowania mająca prowadzić do określonego celu. Działanie według określonego planu”. Lepiej, ale to nadal tylko definicja.

Gdyby mnie poproszono o wyjaśnienie w jednym zdaniu, co to jest taktyka, również musiałbym się uciec do uproszczenia, ale powiedziałbym mniej więcej coś w tym stylu: Taktyka to umiejętność nie tylko trzymania się wcześniej skonstruowanego planu, ale przede wszystkim umiejętność odpowiedniego używania najbardziej przydatnej dla żołnierza wojsk specjalnych części ciała, czyli… mózgu.

Liczba zmiennych, które decydują o powodzeniu akcji, czasem jest bardzo duża. Najistotniejsze dla sukcesu są więc umiejętność szybkiego wyciągania wniosków podczas akcji, zdolność błyskawicznego przystosowania się do sytuacji, improwizowania, wykorzystania swoich najlepszych cech i umiejętnego uderzenia w najsłabszy punkt przeciwnika.

Taktyka ma bardzo długą historię. Nie jesteśmy jedynymi stworzeniami na Ziemi, które z niej korzystają, ale jesteśmy, jak do tej pory, ponoć najbystrzejsi – nie mam pojęcia, jak to jest z tą słynną inteligencją delfinów, ale o tym może kiedy indziej. Wiemy, że na przykład wilki, lwy czy likaony umieją świetnie organizować się w stadach, rozdzielać między siebie role i współpracować przy polowaniu. Wiemy, że zwierzęta potrafiły to robić już wiele milionów lat temu. Jesteśmy niemal pewni, że welociraptory (rodzaj drapieżnego teropoda – dinozaura) były niezwykle inteligentne i polowały, przydzielając sobie wzajemnie role w tak precyzyjny sposób, że dzisiaj wręcz trudny do uwierzenia. Ale wyścig po władzę na Ziemi wygraliśmy my. W przeciwnym razie to nie my zbudowalibyśmy miasta i państwa na wszystkich kontynentach (gdzie pchnęliśmy w ruch cywilizację, obsadzając tam najpierw swoich królów, a później prezydentów i premierów), ale dinozaury, delfiny (gdyby chciało im się wyjść na ląd) czy na przykład… małpy, jak w znanej wszystkim książce Pierre’a Boulle’a. My, ludzie, jako jedyni jesteśmy w stanie dokładnie coś zaplanować lub rozpracować, zbudować narzędzia, przewidzieć kłopoty, wreszcie w wyjątkowo precyzyjny sposób niszczyć. Są z tym teraz spore kłopoty, bo niszcząc (a potrafimy to rzeczywiście najlepiej, z różnych, jak wiadomo, powodów – dla zysku, dla władzy, dla przyjemności), być może

zaczynamy unicestwiać samych siebie. Ale to tylko mała dygresja. W tej książce opowiadam o ludziach, którzy dzięki swoim umiejętnościom, profesjonalizmowi i latom ciężkich treningów bronią osób, które same nie mogą lub nie potrafią się obronić, a nie o ludziach, niebędących w stanie dostrzec spraw sięgających dalej niż tylko czubek ich własnego nosa i na przykład uśmiercają „płuca" naszego świata, jakie stanowi Puszcza Amazońska, lub robią takie numery jak niegdyś w Czarnobylu. Okej, powróćmy jednak do taktyki.

Taktyka w siłach specjalnych odpowiada na dość proste pytanie: co zrobić, żeby w konkretnej sytuacji, w określonych warunkach zaskoczyć przeciwnika tak, by zanim zorientuje się, co jest grane, było już po akcji. W siłach specjalnych rozróżniamy trzy typy takiego działania: taktykę zieloną, taktykę czarną i taktykę niebieską.

Trochę o każdej z nich opowiem, ale trzeba pamiętać o jednej ważnej rzeczy – każda akcja jest inna. Można znać zasady, być fenomenalnie przeszkolonym, umieć zajść, najść, zorganizować zasadzkę albo inną akcję bezpośrednią, zaatakować ze śmigłowca, uderzyć artylerią, przygotować odpowiedni *sniping*, ale wszystko to na nic, jeśli będziemy to robili bez głowy. Trzeba być elastycznym. W siłach specjalnych nie ma nic „na sztywno". Dlatego nie każdy żołnierz nadaje się do takich jednostek jak GROM. Powiem więcej – mało kto się nadaje. Dlatego jest nas tak mało. Pierwszy skład był, jak mówiłem, zaledwie trzydziestoosobowy. Nigdy nie podaliśmy do publicznej wiadomości, ilu nas dokładnie było oraz w jaki sposób byliśmy zorganizowani, i niech tak zostanie. Ale warto przypomnieć, że GROM nie składa się tylko z operatorów (komandosów), ale także z nie mniej ważnych żołnierzy pododdziałów wsparcia operacyjnego i zabezpieczenia logistycznego: sztabowców, analityków rozpoznania i wywiadu, informatyków, elektroników, specjalistów od materiałów wybuchowych (EOD – Explosive Ordnance Disposal, czyli takich dodatkowych saperów, oraz MOE – Method of Entry, czyli specjalistów od między innymi wybuchowego wdzierania się do szturmowanych pomieszczeń), a także pozostałych techników wszelkich specjalności potrzebnych do działań, które wykonuje GROM.

Zacznę od taktyki zielonej. Nazwa pochodzi od charakterystyki terenu, na którym działamy; w tym wypadku chodzi o lasy, łąki, pola, doliny, góry, czyli mówiąc krótko – o walkę w otwartym terenie. Nie w domach, blokach czy piwnicach, tylko na wolnym powietrzu. Co prawda zadanie takie jak na przykład utrzymanie jakiegoś miasta też wchodzi w zakres taktyki zielonej, bo to również teren otwarty, ale jeśli w którymś momencie będzie chodziło o wyjęcie jakiegoś terrorysty z bunkra czy kryjówki w miejskim bloku, to to już będzie taktyka czarna, o której trochę później.

Widziałeś pewnie nie raz na filmach – skauci, rangersi z kamuflażem na twarzach, poruszający się w lesie tak cicho, że są w stanie podejść na dwa metry do jelenia, zanim zwierzę w ogóle zajarzy, że coś się dzieje. Ucząc się „zielonej", wpajamy sobie, jak reagować na wymianę ognia w takim terenie, jak zastawiać pułapki, zasadzki planowe i doraźne, jak stosować tak zwany marsz ubezpieczony, jak naprowadzać atak powietrzny na cel, gdzie rozmieścić snajperów i jak kierować ich ogniem, poza tym ćwiczymy walkę w transzejach, przy użyciu moździerzy i oczywiście walkę wręcz.

Jest taki rodzaj akcji, którą nazywamy „rajd”. To nic innego jak szybko i zgrabnie przeprowadzony oraz bardzo precyzyjnie zaprogramowany atak. Planujemy tu dokładnie drogę dojścia do obiektu ataku, działanie w miejscu, gdzie jest przeciwnik, i zlikwidowanie go. Mamy też dobrze przemyślaną drogę wycofania, żeby w jak najkrótszym czasie rozpłynąć się w powietrzu.

Z kolei zasadzki jedno- lub wielopunktowe to miejsca, w których z zaskoczenia staramy się niszczyć siły rozpoznawcze wroga. Najważniejsze nie jest jednak wysłanie ich do „lepszego świata”, ale przede wszystkim zdobycie danych rozpoznawczych. No, oczywiście efekt psychologiczny wywołany takim agresywnym i zdecydowanym działaniem nie pozostaje tu bez znaczenia.

W taktyce zielonej, oprócz rajdów i zasadzek, mieści się jeszcze jeden typ zadań, w których specjalizują się tacy jak my – to rekonesans specjalny, czyli „spacer” w terenie, na którym dosłownie w każdej chwili możesz zostać zastrzelony, rozerwany przez minę na bardzo wiele kawałków lub wysadzony w powietrze na przykład przez granat. W najlepszym wypadku możesz wpaść w zasadzkę, o której wspomniałem parę linijek wyżej. Na taki teren można zostać zrzuconym z samolotu – należy wtedy pamiętać, żeby zabrać ze sobą spadochron i mieć go na plecach, gdy otworzą się drzwi… A już na poważnie, to są dwa typy zrzutów powietrznych (oczywiście tych wysoko wyspecjalizowanych, nie mówimy tu o zwykłym spadochroniarstwie): HALO oraz HAHO. HALO jest dla wyjątkowych kozaków, którzy skaczą z bardzo dużej wysokości i otwierają spadochron tuż nad ziemią, właściwie w ostatniej chwili, a wszystko to po to, żeby nikt ich nie zauważył. HAHO to też skok z dużej wysokości, ale na dość szybko otwartym spadochronie. Chłopcy wtedy szybują i sami nakierowują się na miejsce, gdzie mają wylądować, najczęściej daleko od rejonu, w którym pożegnali się z samolotem.

Czasem bywa tak, że to, czym lecimy (samolot albo śmigłowiec), może wylądować stosunkowo blisko celu – wtedy mamy do czynienia z akcją z przyziemienia środka lotniczego. Jest jeszcze zjazd „na małpę”, czyli zjazd na linach, które zwisają z helikoptera, na przykład nad dżunglą. To bywa przygodowe, bo liny ze względu na wysokość drzew mogą mieć długość nawet stu metrów i wtedy trzeba zjeżdżać ze sprzączkami alpinistycznymi. Można też oczywiście dotrzeć na miejsce pieszo (trudne, wymagające nieprawdopodobnej kondychy i wiedzy snajpera-zwiadowcy). Taki marsz to zwykle trzydzieści kilometrów w jedną stronę. W zimie stosowany jest przerzut na nartach. Tu nie ma filozofii. Zakładamy narty, odpowiednie stroje maskujące i zasuwamy do miejsca, gdzie mamy działać.

No i jeszcze mały problem – jak wrócić? Najczęściej – jak napisałem parę zdanek wyżej – piechotą. Ale czasem tak się nie da. Wtedy przylatuje po nas śmigłowiec, do którego niekiedy również trzeba dojść, i to daleko.

To są metody infiltracji i eksfiltracji (wejścia i wyjścia), które stosujemy podczas akcji. Jak się to wszystko właściwie robi? Nie da się oczywiście, solidnie opisać tematu w jednej książce. Żeby dowiedzieć się tego wszystkiego dokładnie, poczuć sprawę, wytrenować umysł i ciało, by „pamiętało”, co, kiedy i jak, trzeba po prostu zostać komandosem. Postaram się

jednak w rozdziałach o szkoleniach trochę przybliżyć te sprawy. Sądzę, że po tej lekturze będziesz o tym wiedział znacznie więcej niż po obejrzeniu jakiegokolwiek filmu amerykańskiego o rangersach czy sealsach. Najlepsza jest jednak praktyka. Ona mówi najwięcej. Zróbmy więc teraz tak: na razie przerwę pisanie o teorii, żeby opowiedzieć o czymś, co jest typowym przykładem taktyki zielonej. Cofnę się do lutego 2002 roku. Miejsce… – niestety nie mogę go zdradzić.

Z moim dobrym kumplem i świetnym żołnierzem Tallasem Thomenym byliśmy na rozpoznaniu snajperskim. A teraz rozsiądź się wygodnie i poczuj, jakbyś był w kinie. To nie jest historia, którą skonstruowałem na podstawie faktów. Cała opowieść jest faktem. A było tak.

Thomeny

Dwóch snajperów w strojach maskujących z leśnym kamuflażem powoli i spokojnie przestawiało dłoń za dłonią nisko przy ziemi, jak przyczajone pumy, kontrolując, co jest przed nimi. W takich momentach nie chodzi o pełną obserwację przedpola, ale o równowagę i zespolenie z przyrodą. Trzeba słuchać, wąchać i dosłownie odczuwać „tętno” ziemi.

– Zrób ostrożnie kilka zdjęć i zmywamy się – mruknął Thomeny. – Teraz.

Pstryknąłem, jak kazał.

– Wycofujemy się do naszego gniazda.

Tuż po wschodzie słońca wróciliśmy do małej bazy, czyli do naszego legowiska na kępach, między bagnami. Teren dookoła nas porośnięty był pojedynczymi brzozami i olchami, ale nieco dalej, na skraju bagna, rozciągał się na niewielkich wzgórzach już bardziej gęsty, wysoki, liściasty las.

– Idź spać – szepnąłem do Thomeny’ego. – Potrzymam wartę przed wejściem do legowiska. Potem przejrzymy zdjęcia.

Dotknąłem palcami siatki maskującej snajperskiego kapelusza, jakbym chciał sprawdzić, czy dalej tam jest, i włączyłem swój „radar”. Nasłuchiwałem, wyszukiwałem ciemnych plam, wciągałem trawiasty zapach otoczenia. Ze zmęczenia co pewien czas przysypiałem na chwilę. Podczas czuwania na akcji nie zawsze jest komfortowo. Teraz mogłem wygodnie usiąść w dużej kępie wysokiej bagiennej trawy albo na korzeniu brzozy, który wystawał z powłoki próchnicy i mchu ponad grząską, czarną, błotnistą ziemią. Dookoła latało mnóstwo niecierpliwych moskitów i muszek, ale mój snajperski kombinezon był szczelny, a siatka na twarzy doskonale się w tej sytuacji sprawdzała.

W stanie półświadomości, w jakim zwykle odpoczywa snajper, miałem wrażenie, że czuwam. Jednak czasem wydawało mi się, że śnię, chociaż ciągle widziałem naszą – pokrytą lekko wygniecioną trawą – ścieżkę, która prowadziła do pagórków i dalej, do dużego dębowego lasu. Nagle pojawiła się przede mną mgła, w której coś drgnęło. Sitowie jakby lekko się podniosło i przesunęło. Tym razem umysł mnie oszukał. To jednak tylko sen. Wiedziałem, że nic nie mogło znaleźć się bezszelestnie tak blisko mnie. Odetchnąłem z ulgą, ale i z satysfakcją. Może umysł czasem był w stanie na chwilę mnie oszukać, ale na pewno nie instynkt i czujność.

Twarz miałem spoconą, komary latały wściekle i trudno było oddychać przez tę cholerną siatkę. To było nawet okej, bo nie pozwalało zbyt mocno zasnąć. Przymknąłem znów powieki, a tu ciągle wraca ten obraz z mgły. Otwieram oczy, patrzę na trawę i… nic szczególnego się

nie dzieje. Znów zamykam oczy, ale tym razem sen pokazuje mi, że kępa trawy nie jest zgnieciona, a powinna być. Natychmiast otwieram oczy i okazuje się, że tej trawy w ogóle już nie ma! Tym razem widzę wyraźnie płaski kształt, lekko parujący wilgocią i ludzkim potem… Spojrzałem na swój karabin leżący niżej przede mną, pistolet miałem na pasie z tyłu. Pozostał jeszcze nóż, tuż pod ręką. Snajper jest kilkadziesiąt metrów przede mną. Powoli czołga się w moim kierunku. Pewnie doskonale wie, że jest już blisko, ale mnie nie widzi. Nie mogę narobić hałasu – na pewno w pobliżu jest jeszcze drugi snajper. Muszę go namierzyć, ale zanim to zrobię – nas tu nie ma i nigdy nie było. Musimy być cicho tak długo, jak to tylko możliwe. Misja jest ważniejsza niż nasze tyłki.

Delikatnie sięgnąłem po karabin, cały czas obserwując przedpole. Wykręciłem się spokojnie za brzozę i delikatnie wsunąłem w trzcinnik. Podłoże było miękkie, delikatne. Podpełznąłem do bazy. Założyłem swój plecak. Przycisnąłem mojemu kumplowi usta ręką i pokazałem palcami na mojej szyi, przecinając ją kilkakrotnie w powietrzu, że mamy na sobie trackerów. Thomeny otworzył szerzej oczy, wziął śpiwór i karabin, po czym bezszelestnie wycofaliśmy się o jakiś kilometr, żeby przeczekać do nocy. Nikt nas nie zauważył.

Po zachodzie słońca obeszliśmy nasz obiekt od północy, od strony lasu. Zrobiliśmy jeszcze kilkadziesiąt zdjęć. Rano przeglądamy je, a tu ciągle nic. Nic szczególnego na nich nie widać. Ale gdzieś coś musi być; z danych wywiadu wynika, że cel ma tu swoją bazę. Co prawda jakieś wozy od czasu do czasu jeżdżą tutejszą piaszczystą drogą, ale żaden się nie zatrzymuje.

Thomeny dłuższy czas przygląda się jednemu ze zdjęć.

– Popatrz – mówi do mnie wreszcie. – Widzisz ten czerwonawy element? Coś jakby brunatny kawałek kory na drzewie, ale daje odblask.

– To nie kora! – Uśmiecham się, dopiero teraz dostrzegając, co trzeba. – To nie drzewo, to lotka rakiety. Patrz na te drzewa. – Zaczynam rysować palcem po zdjęciu. – Doskonale ją maskują.

Wreszcie mamy to, czego szukaliśmy. Przez to oślepiające słońce dopiero teraz dostrzegliśmy, o co chodzi na tym cyfrowym zdjęciu. Idziemy sprawdzić, jak sprawa wygląda w rzeczywistości.

Słońce świeci i piekielnie grzeje. Nasze maskałaty są cholernie ciepłe. Pot zalewa oczy i miesza się z farbą maskującą czoła. Thomeny chwilę myśli i wreszcie mówi do mnie:

– Robimy tak: przedostajemy się do tamtego skrawka pola kukurydzy. – Pokazuje palcem. – Stamtąd powinniśmy mieć dobry widok na te rakiety. Plecaki zostawiamy tutaj. Idziemy niezależnie, każdy swoją ścieżką. Jakby co, to działamy na własną rękę i spotykamy się awaryjnie w naszej bazie z innymi snajperami, trzy kilometry na kierunku *silver*. Okej?

– Okej.

– Przed nami gruntowa droga, a to niedobrze. Za dużo na niej piasku. Założymy duże skarpety na buty, może nie zostawimy śladów. Trzymaj się.

Zniknął, zostałem sam. Czołgam się. Mam co najmniej dwie godziny, żeby pokonać dwieście metrów. Strasznie gorąco, no i te muszki. Włażą, skubane, prosto do nosa. Podsuwam się do jakiejś plamy z piasku i nagle dostrzegam żmiję wygrzewającą się na

słońcu. Nie dalej niż pół metra przede mną. Ostrożnie podsuwam się bliżej, ale nie ucieka, a powinna. Uparta jakaś. Wyjmuję nóż, przymierzam dokładnie i wbijam czubek ostrza w jej łeb. Szybki koniec.

Czołgam się dalej, przesunięcie za przesunięciem, prosto do przodu, ale jest coś, co mi nie pasuje. Słyszę dobiegający z oddali odgłos jakiegoś popiskującego radośnie psa i za mną wyraźny tętent na drodze. Obracam głowę i widzę przewodnika z psem, owczarkiem alzackim. Przez trawę obraz jest trochę niewyraźny, ale oni są tuż-tuż, na moim kierunku. Pies jest niespokojny, kręci się wkoło, najwyraźniej, skurczybyk, mnie wyczuł. Niedobrze, katastrofa. Spojrzałem szybko przed siebie i zobaczyłem dużą plamę cienia rzucanego przez wysoki dąb, prawie już na niej jestem, a szczęśliwie ten cień zmierza na mnie. Do pola kukurydzy mam jeszcze ze trzydzieści metrów, ale nie mogę się podnieść, bo trawa jest za niska. Skoro jednak pies mnie jeszcze nie oszczekuje, to znaczy, że mam jakąś szansę, bo generalna zasada jest taka: jeśli usłyszysz szczekanie takiego psa, to już po tobie.

Przesunąłem się nieznacznie do przodu, rozsunąłem stopy szeroko od siebie, piętami do ziemi, aż zabolało w kostkach, ręce na boki, twarz policzkiem przy ziemi, karabin wzdłuż ciała i lekko do przodu. Cofając jedną rękę, poprawiłem siatkę maskującą nad sobą. W ten sposób powstała taka plama ciemnozielonego czegoś, w połowie znajdującego się już w cieniu drzewa. Z tyłu, na moich butach – już tylko ogniste słońce. To złamało mój kontur, a zarys sylwetki niesymetrycznie podzieliły liście drzew odbite z różnych wysokości na trawie. Wiedziałem, jak to zrobić. Z nogawki kombinezonu wyjąłem spray z gazem pieprzowym i dmuchnąłem dwa razy przed siebie. Okropne, ale to nic. Wszystko trwało może osiem, dziesięć sekund. Wzrok miałem nisko, na wysokości trawy, tyle że w cieniu, i dzięki temu mogłem widzieć zielonego ludzika z psem. Nagle pojawił się jeszcze jeden patrolowiec w stroju podobnym do snajperskiego. To był chyba ten sam, którego widziałem na bagnach.

Thomeny'ego nie miałem w zasięgu wzroku, ale ci trackerzy chyba go jeszcze nie namierzyli. Nagle spostrzegłem, że goście idą prosto na mnie. No to koniec, wszystko na nic – z psem nie wygram. Leżę mocno przy ziemi i „nie ma mnie". Myślę sobie, że maskowanie mam dobre, nie raz przecież je testowałem w Polsce na zbieraczach grzybów. Bywało, że niemal przechodzili po mnie, ale jakoś nigdy mnie nie zauważyli. Kiedyś na treningu czołgałem się z pięćset metrów, gdy na mojej drodze, na pniaku, nagle przysiadło dwóch zmęczonych łażeniem po lesie grzybiarzy. Jeden z nich wyjął flaszkę i zaczęli się zaprawiać, a ja straciłem nadzieję, że zejdą mi z drogi. Pomyślałem sobie wtedy, że wypróbuję moje maskowanie, i mruknąłem do nich grubym głosem krótkie, przytłumione „Daj łyka!". Byłem nie dalej niż trzy, cztery metry od nich, i to na otwartym terenie, chociaż na ściółce leśnej. Podnieśli głowy na wprost, trochę zdziwieni i chyba przerażeni, że ziemia do nich gada. Na wszelki wypadek pozbierali się dość pospiesznie i odeszli, oglądając się niepewnie za siebie.

Tu było inaczej. Ci goście z psem na pewno sobie nie pójdą, bo to zawodowcy. Mam przerąbane. Pies mnie napocznie, a dwa zielone ludziki będą mnie miały jak na widelcu. Pomyślałem jednak, że cały czas jest szansa, że pies mnie nie zobaczy. Taką sytuację też już miałem, na ćwiczeniach w Polsce. Z Markiem – chłopakiem z GROM-u, snajperem jak ja –

obserwowaliśmy pewien budynek. Leżeliśmy tam ze dwie doby, wkopani do połowy w ziemię, a tu nagle jakiś spacerowicz z buldogiem wyszedł sobie na leśną ścieżkę na spacer. Ten buldog od razu nas wyczuł i zaczął szczekać tak głośno, jakby go napadło stado wilków. Właściciel nie reagował, tylko gwizdał, żeby go uspokoić. Był na ścieżce nie dalej niż trzydzieści metrów od nas i pewnie myślał, że pies szczeka na jakiegoś zwierzaka. Nas oczywiście nie widział. Co z tego, skoro buldog zaczął zasuwać w naszą stronę i już oczami wyobraźni widziałem, jak za chwilę zrobi jeden skok i przeżre mi kark. Spoglądam na Marka, a on wyciąga powoli wielki jak kosa nóż. Wtedy dopiero się zorientowałem, że pies nie szczekał na mnie, tylko na niego, więc Marek miał ograniczone ruchy z tym nożem. Sięgnąłem szybko po swój i kiedy ten cholerny pies stanął łapami na moich plecach, odwróciłem się szybko, co buldog odebrał ze sporym zdziwieniem, bo wyraźnie zaskoczyło go, że coś, czego nie widział, wynurzyło się nagle spod ziemi. Wzrok miał tak głupi, że ciężko to sobie wyobrazić. Machnąłem nożem w powietrzu. Zwierzak odskoczył jak sprężyna i z wielkim piskiem i przerażeniem uciekł do właściciela. Dostał biedak jeszcze smyczą po pysku, chyba za nieposłuszeństwo, po czym obaj spacerowicze zniknęli nam z oczu.

Ale tu, przy tym polu kukurydzy, nie musiało tak być. Myślę, że Thomeny łatwo by ich zdjął, zanim wezwaliby posiłki, ale teraz nie było to możliwe. Pomyślałem więc: Okej, ja wpadnę, ale Thomeny zrobi swoją robotę. Trudno, coś za coś.

Na razie pies biegał dookoła, raz bliżej mnie, raz trochę dalej, ale nic nie wskazywało, żeby mnie wyczuł. Chwilowo jest dobrze. Kiedy już pomyślałem, że wszystko gra, jeden z zielonych ludzików zaczął iść prosto w moją stronę, zatrzymał się nie dalej niż dwa metry ode mnie i zaczął się odlewać. Skończył, zawołał psa i odszedł w stronę drogi, do tego drugiego gościa. Usłyszałem tylko, jak ten drugi burknął:

– Oni muszą tu gdzieś być!

Odczekałem jeszcze pół godziny. Nie spieszyłem się. Poczułem dziwne otępienie. Być może nagły spadek adrenaliny spowodował, że na chwilę trochę odpłynąłem.

Kiedy dotarłem do kukurydzy, byłem już właściwie w domu. Pełne maskowanie. Przez kolejne pół godziny nasłuchiwałem, gdzie może być Thomeny. Zupełna cisza, tylko lekki wieczorny wiatr.

Ten pas kukurydzy to było jedenaście rzędów, szerokich na jakieś sto metrów. Podczołgałem się do skraju pola. Trzymałem głowę przy samej ziemi i zobaczyłem pełny obraz naszego obiektu rozpoznania. Wszystko jak na dłoni: dwa pojazdy z wyrzutniami mniejszych rakiet i dwie rakiety w stelażu, skośnie wycelowane w niebo. To właśnie one miały czerwonobrunatne lotki – jedną z nich sfotografowaliśmy z Thomenym od południowej strony, ze wzniesienia rozciągającego się po drugiej stronie drogi. No i jeszcze dwie ciężarówki z radarami siatkowymi na tylnym członie. Był też pies z tymi dwoma zielonymi ludzikami. Poza tym kręciło się czterech gości z obsługi. Jeden z nich właśnie szedł do leśnego sracza. Zacząłem rysować. Kartka papieru z ołówkiem, szybki szkic i dane metryczne zebrane przez lornetkę. Thomeny pewnie zrobił kilka zdjęć.

Dobrze. Zrobiło się szaro, czas było wycofywać się tą samą drogą, którą tu przybyłem.

Odciągów i min, jak do tej pory, nie było widać. Miałem biały papier toaletowy, żeby je awaryjnie oznaczyć na wypadek nocy. Papier w takich warunkach wręcz świeci. Z Thomenym nie miałem łączności. Radio zostawiłem w plecaku – taki był plan. Wycofywałem się już trochę szybciej. W połowie drogi zauważyłem szarą sylwetkę mojego partnera. Koordynacja jak w zegarku. Wycofywaliśmy się razem. Obaj wiedzieliśmy, że godzinę przed zachodem słońca trzeba zniknąć, bo światło teraz jeszcze nam sprzyja. Skok przez drogę i byliśmy przy plecakach.

– Jest fart. – Uśmiechnął się Thomeny. – Mamy wszystko, zwijamy się.

Nad ranem przybyliśmy do bazy pozostałych snajperów. Po drodze pokonywaliśmy jeszcze wiele przeszkód terenowych, na przykład coś, co nazywamy z angielska *wait a minutes*. To takie kłącza z odrostami, coś jak polskie jeżyny w lesie. Gdy w nie wleziesz, zatrzymują cię, bo nie jesteś w stanie przerwać ich ciałem, musisz wtedy trochę się cofnąć, żeby nabrać impetu, bo czasem nie da się ich obejść. To trudne, gdy się czołgasz. Szczególnie wtedy, gdy teren jest nimi bardzo gęsto porośnięty. Nie mówiąc już o rosie nad ranem. Gdy jest mokro – normalnie tragedia.

Razem ze wszystkimi snajperami wycofaliśmy się jeszcze dziesięć kilometrów, do miejsca, skąd zabrał nas blackhawk.

Kolejna już misja rozpoznawcza odbyła się tydzień później. Były dwa kierunki do rozpoznania. Tym razem przydzielono mnie do innego Amerykanina. Thomeny poszedł z kimś innym. I w czasie tej akcji, dzień później, zginął zastrzelony przez przeciwnika. Nie najlepiej zniosłem to psychicznie. Dobrze znałem chłopaka.

A ja… miałem dużo szczęścia.

Taktyka niebieska

Taktyka niebieska, podobnie jak zielona, zyskała nazwę od koloru środowiska, w którym jest stosowana. Co prawda woda w rzeczywistości jest przezroczysta, ale ludzie jakoś tak się umówili, że jest niebieska. Niebo, na które patrzymy za dnia, również wydaje nam się niebieskie, choć tak naprawdę to nieprzenikniona czerń! Odpowiednie załamanie promieni słonecznych powoduje złudzenie błękitu zarówno na niebie, jak i na przykład na morzu. Taktyka niebieska nie odnosi się co prawda do nieba, ale za to ściśle dotyczy wody. A więc działań na obiektach pływających, a także nadbrzeżnych, prowadzenia rozpoznania wybrzeży, morskich operacji anty- i przeciwterrorystycznych, jak również „mokrych" technik przerzutu grup specjalnych.

Podobnie jak w przypadku taktyki zielonej najlepiej pokazać to wszystko na przykładach. A więc znów rozsiądź się wygodnie, bo ponownie cofnę się w czasie, żeby opowiedzieć, jak to wygląda w rzeczywistości, dokładniej – na przykładzie działań z 2003 roku w Zatoce Perskiej.

Zatoka Perska, pełna moc silników strumieniowych łodzi szturmowej RIB.
Aura tuż po pustynnej burzy piaskowej

Dzienny patrol GROM-u i sealsów na łodziach bojowych w porcie Umm Kasr, południowy Irak. 2003 rok

W Zatoce Perskiej

Kuwejt, Doha, wojskowy port morski nad Zatoką Perską, przełom 2002 i 2003 roku

Zdjąłem plecak ze sprzętem z mojego samochodu terenowego, chwyciłem go za szelki, machnąłem nim nad głową i zarzuciłem na plecy. Poranek był chłodny, ale słońce już przebijało się przez lekkie zamglenie nad Zatoką. Zamknąłem drzwi terenówki i zacząłem iść wzdłuż amerykańskiej bazy wojskowej, właściwie dopiero budowanej, urządzanej na polu wysypanym białymi kamieniami. Tymczasowa baza Sił Specjalnych USA – NSW Navy Special Warfare – SEALs (Foki) – była ogrodzona i zabezpieczona trzema srebrzystometalicznymi zwojami drutu kolczastego, czyli tak zwaną concertiną. Takie bazy jak ta nazywaliśmy wysuniętymi. Były budowane szybko i sprawnie na terenie w pobliżu nieprzyjaciela. Były dobrze zabezpieczone i miały wyglądać niegościnnie.

Na pierwszy rzut oka niesamowity obraz. Jak w pszczelich plastrach, na drewnianych paletach leżą pomalowane na szaro-zielono nowiutkie, błyszczące w porannym słońcu pociski i głowice artyleryjskie. Było ich całe mnóstwo, setki, może nawet tysiące. Z olbrzymiego amerykańskiego okrętu wojennego, zacumowanego przy nabrzeżu portowym, specjalnymi dźwigami wyładowywano jedną po drugiej palety z potężną amunicją, a następnie przewożono je wózkami widłowymi i układano w stosy. Naprawdę robiło to wrażenie i wyglądało jak przygotowanie do prawdziwej, realnej wojny. Jeszcze kilka tygodni temu nie znałem szczegółów, ale już wtedy wiedziałem, że nudno nie będzie.

Zawsze, kiedy przyjeżdżałem, miałem za zadanie zameldować się przy MARK-u V. MARK V to typ łodzi odrzutowo-strumieniowej, sztywno- lub twardokadłubowej, w odróżnieniu od mniejszej, szturmowej łodzi miękkokadłubowej RIB (Rigid Inflatable Boat lub Rabbred Inflatable Boat). Oba typy wyposażone są w najnowocześniejszy sprzęt do nawigacji na morzu, zwykle z oprogramowaniem komputerowym typu FalconView, połączonym z odczytem satelitarnym GPS. Charakterystyczne radary i anteny GPS widać od razu, bo są umieszczone na przodzie łodzi, na trójkątnym, wysokim wsporniku. Większość z nich pomalowana jest na szaroniebieski, stalowy kolor. To po prostu najlepszy kamuflaż bojowych łodzi, jaki możemy zastosować na morzu. W porcie, po którym szedłem, zacumowano sporo takich łódek. Na masztach niektórych oprócz flag amerykańskich powiewały także i nasze – polskie.

Opowiem, jak wyglądał mój przykładowy dzień na początku 2003 roku.

Dla mnie, czyli typowego szczura lądowego, zadania na morzu były, delikatnie mówiąc, ryzykowne, ale dzięki temu bardzo emocjonujące. Wprawdzie szkolono mnie także w taktyce

niebieskiej, ale woda raczej nie była moim ulubionym środowiskiem działań, zwłaszcza tych bojowych. Tym bardziej że dopiero co wróciłem z prawie rocznego szkolenia w Fort Bragg w Stanach, z kursu Zielonych Beretów dla komandosów, który dotyczył wyłącznie działań lądowych, czyli taktyki zielonej.

Szturman GROM-u tuż po „desancie” na błotnistą plażę w porcie w Iraku. 2003 rok

Od listopada 2002 roku zacząłem jednak stacjonować w Camp Doha, w olbrzymiej, odgrodzonej wysokim murem z betonowych bloków bazie wojskowej w Kuwejcie. Zadania były proste. Mieliśmy pływać na tak zwane rajdy morskie, kilkadziesiąt mil na Zatokę Perską, w celu patrolowania jej północnej części w ramach misji „Maritime Interdiction Operations" (lub „Maritime Naval Interdiction Operations") i „Leadership Interception Operations", czyli MIO i LIO. Chodziło o przeciwdziałanie przemytowi do Iraku oraz z Iraku ropy naftowej przez terrorystów z Al-Kaidy, wspierających reżim Saddama Husajna.

Większość chłopców z naszej trzydziestki, która była tutaj w Kuwejcie, pochodziła z zespołu bojowego GROM, typowo wodnego. W przeciwieństwie do mnie byli to ludzie morza, szkoleni wcześniej przez amerykański Navy SEALs i brytyjski SBS. Okej, zadania grup specjalnych takich jak GROM to raczej rzadko są wczasy. Zadanie, jak każde inne, trzeba było wykonać.

Byliśmy zżyci z Amerykanami. To świetni szturmani, sternicy łodzi, nawigatorzy i strzelcy wielkokalibrowych pokładowych pięćdziesiątek. My mieliśmy stanowić grupę uderzeniową, abordażową. Wiesz, gdy ogląda się filmy o piratach rzucających haki w celu sczepienia się z burtą statku przeciwnika, kiedy idą w ruch różnego rodzaju drabiny: sztywne, giętkie, linowe i tak dalej – no, to o to mniej więcej chodzi. I niewiele się w tej kwestii zmieniło od wieków. Okazuje się, że w warunkach, kiedy wszystko się porusza i buja na wodzie, to tylko taki prymitywny, czasem wręcz historyczny sprzęt najlepiej się sprawdza. Abordażu mieliśmy dokonywać między innymi przy użyciu miękkokadłubowych łodzi.

Wspólne działania GROM-owców i sealsów w trakcie „czyszczenia” wraków statków, gdzie niejednokrotnie kryli się snajperzy armii Saddama Husajna. 2003 rok

Dla nas najcenniejsze było to, że sternicy, nawigatorzy i dowódcy sekcji szturmowych mieli wtedy jedyną w swoim rodzaju możliwość praktycznej wymiany swoich doświadczeń bojowych z sealsami z Boat Groups, czyli Grupami Sterników Wodnych. Niezależnie od historyczności tego, o czym wspomniałem wcześniej, nasi chłopcy obserwowali najnowsze techniki. Mieli okazję zobaczyć, co się zmienia w tym biznesie, a co nie, gadali do upojenia na temat taktyki, no i szlifowali przy tym fachowy język angielski. Na przykład podczas działań pada zdanie w stylu: *„when you PID IED call EOD then immediatelly RTB or go to RP”*. No właśnie, i bądź teraz zdrów, i rozszyfruj to przez radiostację, gdy dookoła szum i zgiełk. A oznacza to: „gdy zidentyfikujesz pozytywnie minę pułapkę, wezwij pirotechnika, po czym wracaj do bazy lub punktu wyjścia”. I tyle. Takie szkolenie w realu jest najlepsze z możliwych. Bez chrzanienia o metodach ćwiczebnych czy sztucznych scenariuszach typu: grupa czerwonych napada na grupę niebieskich. Kupa śmiechu.

I jeszcze jedna sprawa. Tu „biała taktyka”, jak z przekorą i z sarkazmem nazywali przesadną biurokrację nasi szturmowcy, wkurzała wszystkich. Obkładanie się w Polsce tonami papierów sztabowych czasami naprawdę nie miało sensu. Najczęściej polegało to na produkcji w nadmiarze bezsensownej dokumentacji, nic niewnoszącej do szkolenia

komandosa, a tylko obarczającej go niepotrzebnymi kłopotami i stresem. Podam wam przykład, bo w papierkach można było znaleźć takie kwiatki: „…jeśli w działaniu skończył się magazynek do amunicji, to trzeba go schować do kieszeni, żeby go nie zagubić, bo należy się z niego rozliczyć w kraju…”. Tak, aby w kwitach pasowało. A kiedy zaginęła wymienna lufa karabinu maszynowego, bo nieszczęśliwie podczas silnego sztormu w nocy zerwała się felerna kotwa zabezpieczająca i cały zasobnik ze sprzętem zespołowym wpadł do morza, to już wiedzieliśmy, że najlepiej byłoby od razu strzelić sobie w czachę, by uwolnić się od późniejszego wysłuchiwania „mistrzów białej taktyki”…

W czasie akcji naprawdę jest co robić. Pamiętam, jak jeden z wysokich rangą Amerykanów został podczas takiego sztormu zmiażdżony przez burty statku i łodzi pontonowej. Wiadomo – nieźle się napocisz, zanim zrobisz w nocy szeroki sus z burty RIB-a na zwisającą luźno w powietrzu drabinkę sznurową, rozwieszoną jak krata na burcie wojennego krążownika, nad wzburzonymi falami. A to wszystko, żeby w nocy pokonać ze dwadzieścia, trzydzieści metrów do góry i wejść na pokład krążownika. To tak, jakbyś w ciemnościach patrzył z dołu na szczyt dachu dziesięciopiętrowego wieżowca. Może się zdarzyć, że zakręci ci się w głowie i nie trafisz na właściwy moment, a wtedy wpadasz między burty, prosto do wody. Warunki taktyczne niekiedy naprawdę są skrajne, a jak wiemy, *shit happens* („złe rzeczy się zdarzają”), i to nawet najlepszym. Kogo w takim momencie obchodzi jakaś pieprzona zapasowa lufa karabinu? Przecież chodzi o ludzkie życie!

Co prawda praktykowana w naszym kraju przez lata „biała taktyka” okazała się totalną porażką, jednak uważam, że nie można ludzi ją stosujących obarczać winą za absolutnie wszystko, co najgorsze. Zanim weszliśmy do NATO i zanim powstał GROM, raczej ciężko im było zakładać, że żołnierze polscy będą kiedyś działali dalej niż na przykoszarowym poligonie. Świadczy o tym fakt, że kiedy zdarzyła się sytuacja z zatonięciem tej całej wymiennej lufy, żandarmi odpuścili lot z Warszawy nad Zatokę Perską „w celu wydobycia dowodu z dna morza, ze względu na powstałą znaczną szkodę w mieniu wojskowym”. Uff…

Jak wyglądał taki wypad na Zatokę? Nasza grupa pakowała się na dwa MARK-i V z dwoma RIB-ami na pokładach, przymocowanymi z tyłu, z możliwością szybkiego i sprawnego zwodowania. Każdy znał swoje miejsce. Jak mówiłem, woda nigdy nie była moim żywiołem, ale wśród naszych, którzy właśnie na tym się głównie znali, czułem się nieźle. Jakoś bez bólu wskoczyłem w ten temat i raczej nie miałem specjalnych problemów.

Podróż łodzią bywała zwykle dość nużąca. Zawsze wyglądało to tak samo, trwało dwie, trzy godziny, od pięćdziesięciu do stu mil od brzegu. Jednak w pamięci, co naturalne, utkwiły mi pierwsze wyprawy, szczególnie taka, która odbyła się w styczniu 2003 roku. Płynęliśmy w nocy, gdzieś daleko, nie miałem pojęcia dokąd. Niebo było wyjątkowo czyste, gwiazdy świeciły wyraźnie i ostro, było dość ciepło. Do tego cały czas mocno i równo pracowały jety (czyt. dżety), czyli silniki strumieniowe łodzi, które dostarczały na tył kadłuba gorące powietrze, mieszające się ze słodkimi spalinami z pary wodnej i oleju napędowego. Dodatkowo przez cały czas oblewały nas bryzgi słonej wody morskiej. Nie uwierzysz, ale czasem do dziś czuję ten smak w ustach – sól zmieszana z gorącym powietrzem i smrodem

spalin. Razem z Andrzejem – pseudonim „Wódz” – siedzieliśmy na metalowym wsporniku, na zewnątrz, tuż za kabiną. W milczeniu gapiliśmy się na dwa długie pasy wzburzonej białej piany wody, jak z węży strażackich wyrzucanej przez „odrzutowce” z tyłu łodzi. Po obu stronach rufy tkwiły na statywach ciężkie karabiny maszynowe, po dwa na prawej i na lewej burcie. A przy nich stali w gotowości strzelcy, konkretnie sealsi. Zawsze po wypłynięciu trochę dalej w Zatokę w pewnym momencie zaczynali niesamowicie głośno tłuc z tych karabinów donikąd – wykonywali procedurę *test fire*, czyli próbę ognia, żeby nic nie było w stanie ich zaskoczyć, gdy przyjdzie już do bezpośredniej walki na morzu. Byłem przyzwyczajony do wielu rodzajów karabinów maszynowych, ale te tutaj naprawdę robiły wrażenie. Co za zasięg! Jaka siła rażenia! Niełatwo było wtedy zrobić na mnie wrażenie, a to robiło!

Co jakiś czas łodzie podskakiwały na falach, unosiły się na chwilę, by po sekundzie opaść i przytłumić bulgoczący ryk silników. I w takich to podskokach płynęliśmy całe wieki, gdzieś w otchłań nocnego morskiego horyzontu.

Siedzieliśmy zwykle w milczeniu. Nie było sensu gadać, bo silniki wyły, a woda i karabiny powodowały, że było zbyt głośno nawet na gadkę przez radiostację. Przyznam się, że czasem sobie myślałem: Ludzie, co ja tu robię? Jeszcze niedawno biegałem po lasach Karoliny Północnej, polowałem na jelenie, ćwiczyłem taktykę zieloną i w Stanach, i u nas, a teraz zapieprzam tymi cholernymi łodziami nie wiadomo gdzie i nie słyszę własnych myśli. Ale patrząc z drugiej strony, przecież nie było tak źle, adrenalina i wrażenia – niesamowite. Zwykli ludzie musieliby sporo zapłacić za okazję przeżycia takich wrażeń, a ja mam je tu i teraz, i to za darmo!

W takich chwilach sporo myślałem też o rodzinie, która czekała na mnie w domu, gdzieś tam, w Europie Środkowej, trzy tysiące kilometrów stąd. Dla żołnierza to trudne momenty, szczególnie gdy za chwilę z ciemności może wyskoczyć łódź pełna pirackich terrorystów lub innych świrów strzelających do wszystkiego, co pojawi się na ich drodze – często zupełnie przypadkowo, ze strachu, w samoobronie. Pewnego razu, gdy akurat kotłowały się we mnie tego rodzaju myśli, „Wódz” spojrzał na mnie, sięgnął gdzieś pod połę swojego mokrego, poklejonego białą solą poncha, po czym wydobył coś, co trzymał w zamkniętej dłoni. Szturchnął mnie lekko w rękę, żebym nadstawił swoją dłoń. Patrzę – cukierek! W kontekście tego, co działo się dookoła – swąd, ciemno, ogłuszający hałas, sytułejszyn z cyklu: „nie wiadomo, co się za chwilę stanie” – mój dowódca daje mi… cukierka. Pomyślisz, że to niby nic, ale wiesz co? – do dziś to pamiętam. Taka drobna rzecz, a dzięki niej ponure myśli gdzieś odpłynęły, a smród z silników jakby zelżał. W sytuacjach zagrożenia, niepewności, stresu czy nawet lęku najważniejsze są drobiazgi. Możesz mi wierzyć na słowo.

Takie wypady miały swój głęboki sens z jeszcze jednego powodu. Nieco wcześniej, w grudniu 2002 roku, amerykański admirał Robert Harward wpadł do nas do bazy Camp Doha w Kuwejcie, żeby wysondować, czy zechcemy, jeśli zajdzie taka potrzeba, wesprzeć ich Foki z NSW – jako równoprawni partnerzy – w akcji, która na razie była ścisłą tajemnicą. Zaproszenie takie było dla nas niemałym wyróżnieniem, a przede wszystkim świadczyło

o uznaniu dotychczasowej współpracy z amerykańskimi komandosami za wzorową. Jak się później okazało, chodziło o atak na platformę przeładunkową na Zatoce Perskiej, na kierunku portu Umm Kasr w Iraku. 22 marca 2003 roku otrzymaliśmy zgodę z Polski na udział w wojnie pod komendą admirała Boba Harwarda. Uwaga! – zgoda ta dotarła do nas na dzień (!) przed rozpoczęciem naszej operacji na morzu. Dawała ona podstawę do udziału Sił Specjalnych NSW i GROM-u w wojnie (jeszcze o tym szerzej napiszę kilka rozdziałów dalej). Do tej pory właściwie tylko trenowaliśmy i nie mieliśmy jasności, w jaki sposób zostaniemy użyci. Tu czy może w drugim wariancie, czyli przerzucie wiele mil morskich od Zatoki Perskiej, do Dohy w Katarze, gdzie na wybrzeżu mielibyśmy pilnować naszego polskiego okrętu ORP Kontradmirał Xawery Czernicki. Mówię o okręcie wsparcia logistycznego, przebudowanym w Stoczni Marynarki Wojennej w Gdyni do roli okrętu dowodzenia siłami obrony przeciwminowej. Najprawdopodobniej mieliśmy wspierać nurków z formacji specjalnej Polskiej Marynarki Wojennej Formoza, którzy tam stacjonowali od kilku miesięcy i pilnowali statku, nawiasem mówiąc, wyposażeni w dość fajne pistolety PM typu RAK[7]. Stali jak wartownicy, na zmianę, na wybrzeżu przed statkiem, chyba tylko po to, żeby może ktoś go nie ukradł? Mieliśmy tam być piątym kołem u wozu. Uzgodniliśmy w Kuwejcie z „Wodzem” – dowódcą naszego kontyngentu GROM – że mamy swoją dumę i dobrze by było, żebyśmy wrócili do Polski nie na tarczy, tylko z tarczą, tym bardziej że GROM zawsze szedł do przodu i z reguły się nie cofał – w takim duchu wyszkolił nas generał Sławomir Petelicki. Zawsze podejmowaliśmy najwyższe ryzyko i gotowi byliśmy iść w bój razem z naszymi chłopakami. Podwładni komandosi wywierali nawet na nas presję, bo chcieli tej roboty z Amerykanami, więc gdyby zostali odstawieni do kraju z niczym, to serca by im popękały. Przez ostatnie dziesięć lat się szkolili nie po to, aby pajacować na paradach, tylko żeby w końcu się sprawdzić, a właśnie pojawiła się na to szansa. Byliśmy odpowiedzialni za ich morale, więc pomyślałem wtedy sobie: Komandos to komandos, a nie polityk. Jeśli tylko Warszawa pozwoli nam wziąć udział w tej wojnie, to czeka nas historyczny punkt zwrotny w pierwszych od ponad pięćdziesięciu lat działaniach Polskich Sił Zbrojnych. Niezależnie od tego przechodziła mi przez myśl również historia – szlak bojowy Polskich Sił Zbrojnych dowodzonych przez generała Andersa w 1943 roku, w Iraku, w czasie II wojny światowej. Jak wiemy, polscy żołnierze ochraniali zagłębie Mosul–Kirkuk, żeby nie zniszczyli go Niemcy. Jak się później okazało, my także w tych miastach musieliśmy załatwić kilka spraw, choć przeciwnikiem był zupełnie kto inny.

Jeszcze o tym napiszę w tej książce, ale trochę później.

Taktyka czarna

Taktyka czarna w wykonaniu oddziałów takich jak GROM, mówiąc najkrócej, jest skierowana przede wszystkim przeciwko terrorystom, w bezpośrednim dystansie, w terenie zabudowanym. Nie mylmy tego z tym, co jest napisane w kodeksie drogowym. Tu „teren zabudowany" oznacza rzeczywiście teren zabudowany. Taktyka czarna to zbiór technik obejmujących walkę w budynkach, na korytarzach domów, piwnic, fabryk, na dworcach kolejowych i lotniskach, ale i na ulicach, między zabudowaniami. Amerykanie stworzyli dwa podstawowe pojęcia dotyczące walki w terenie zurbanizowanym: MOUT (Military Operations on Urban Terrain), z reguły w wykonaniu konwencjonalnym lub czasem w ramach specjalnych operacji, oraz wspomniana już wcześniej CQB.

Pierwszy skrót oznacza operacje militarne na terenie zurbanizowanym. W tym konkretnym przypadku chodzi o szersze pojęcie i bardziej konwencjonalne, czyli o prowadzenie walki w celu zdobycia i utrzymania na przykład wioski, instalacji przemysłowej, czy nawet całego miasta lub strategicznie ważnej jego części. Obecnie takie operacje specjalne – przeciwterrorystyczne – prowadzone są na przykład na wschodzie Ukrainy, w Donbasie.

W taktyce czarnej jednak funkcjonuje zasadniczo ten drugi termin. Oznacza on walkę w bezpośrednim kontakcie z terrorystami na terenie zurbanizowanym w określonych dzielnicach, w budynkach. Takie działania prowadzone mogą być również w ramach większych operacji specjalnych, z angielskiego zwanych *cordon and search* (C&S). Planowane są one, w zależności od potrzebnych sił i środków, często w połączeniu z wojskami lekkiej piechoty, takimi jak rangersi czy marines. Jednak CQB dotyczy głównie „czyszczenia", czyli sprawdzania i eliminowania zagrożenia ze strony terrorystów już w samych pomieszczeniach, korytarzach, przedziałach pojazdów lub samolotów (ang. *quarter* – kwatera, pomieszczenie).

Każde z tych pojęć ma ściśle określoną teoretycznie i dokładnie opisaną metodykę działania, która ujmowana jest w SOP (Standing Operating Procedures). Każdy SOP opracowywany jest na inną infrastrukturę obiektu będącego celem i na inny sposób ataku.

Terroryści to nie są honorowi przeciwnicy, którzy przestrzegają jakichkolwiek zasad. To najczęściej fanatyczni mordercy, nieszanujący życia nie tylko tych, którzy staną na ich drodze, ale – co najgorsze – także niewinnych cywili. W starciu z nimi nie ma negocjacji. Trzeba ich po prostu jak najsprawniej wysłać do piekła, ale także (co jest znacznie ważniejsze) oswobodzić ewentualnych zakładników przetrzymywanych przez terrorystów.

Mamy tu do czynienia z dwoma rodzajami akcji. Pierwszy to poszukiwanie miejsca pobytu

potencjalnych terrorystów, namierzanie i potwierdzenie lub zaprzeczenie (w radiu usłyszysz w języku sojuszników: *confirm or deny*) w celu wyeliminowania lub zatrzymania (Amerykanie powiedzą: *kill or capture actions*). Najczęściej, choć nie zawsze, nie mamy w tym wypadku kłopotów z zakładnikami. Drugi rodzaj akcji to bezpośredni, jak to nazywamy, „punktowy" marsz szturmowców do miejsca lub pomieszczenia, w którym przetrzymywani są zakładnicy, jeśli znamy ich dokładną lokalizację. Czyli jest to akcja mająca na celu przede wszystkim oswobodzenie zakładników, a następnie zlikwidowanie lub pojmanie terrorystów. Teren pod takie akcje, jak wcześniej już wspomniałem, zwykle jest uprzednio przygotowywany i zabezpieczany przez inne jednostki. W Polsce również mamy zawodowców, którzy są w tym bardzo dobrzy, na przykład 1. Pułk Specjalny Komandosów w Lublińcu. Chodzi tu o odpowiednie wyizolowanie konkretnego obszaru, i to w taki sposób, aby terroryści się nie zorientowali, jak mamy zamiar ich zaatakować, a najlepiej, żeby w ogóle się nie zorientowali, że za chwilę ktoś spuści im manto. Poza tym, jeśli jest to możliwe, takie jednostki przygotowują dane, dzięki którym jesteśmy w stanie uderzyć szybko, precyzyjnie i skutecznie.

Każda akcja jest inna, ale są zasady, według których postępujemy niemal zawsze. Najpierw trzeba wejść do budynku, a to czasami nie jest takie proste. Czasem trzeba wysadzić drzwi, kraty lub inne zabezpieczenia, czasem podłożyć punktowo ładunek i dojść do celu przez jakąś piwnicę lub garaż. Bywa, że musimy zjechać na linach z dachu i uderzyć z góry. Kiedy już dostaniemy się do środka (na razie nie mówimy o uderzeniu z dachu), trzeba jak najszybciej zabezpieczyć odpowiednio korytarz, potem klatkę schodową, pomieszczenia i tak dalej. Na każde z tych miejsc jest opracowana odpowiednia taktyka.

Pierwszą zasadą w takich akcjach jest to, że jeśli zdobędziemy jakiś teren (kawałek korytarza czy klatki schodowej), to nie wolno nam się już do końca z niego wycofać. Zawsze staramy się wezwać przez radio wsparcie lub przynajmniej pozostawić kogoś z własnych sekcji szturmowych, żeby ubezpieczał to raz zdobyte miejsce czy strefę. Jeśli odpuścimy – może być po akcji. Dlatego w każdym zdobytym sektorze zostawiamy kogoś, kto stanowi takie zabezpieczenie. Jeśli za nami idzie pozostała część grupy, to odpowiednio się przeorganizowujemy, ale zawsze ktoś musi trzymać zdobyty teren. Dlatego z tyłu może iść nawet nieco słabiej przeszkolone wsparcie, bo chodzi już tylko o utrzymanie poszczególnych sektorów.

Kiedy już wejdziemy, przejmiemy przedsionek, klatkę schodową i na przykład windę, w dalszej kolejności najczęściej czeka nas korytarz. Tu zachowujemy się nieco inaczej niż w przedsionkach czy na schodach. Wzdłuż takiego korytarza zwykle znajdują się pomieszczenia (jak na przykład w hotelu). W zależności od tego, czy są one tylko po jednej stronie, czy po dwóch – taktyka jest odmienna. Inaczej się ustawiamy, inaczej ubezpieczamy i inaczej wymieniamy pozycje. Nadrzędną zasadą jest to, że nawet metr takiego korytarza nie może pozostać poza obserwacją. Musimy widzieć wszystko, bo w każdej chwili, właściwie znikąd może pojawić się terrorysta. Mało tego – musimy nie tylko mieć wszystko pod stałą obserwacją, ale cała przestrzeń musi być zabezpieczona tak zwanym potencjalnym ogniem,

czyli mówiąc po ludzku – w każdej chwili musimy być gotowi do strzału w dowolnym kierunku. Tak ustawiamy szyk. Strzela ten, na którego muszce pojawi się cel. Cała zabawa polega na odpowiedniej rotacji. Jeśli ja i na przykład ty idziemy pierwsi i w pewnym momencie odchodzimy – ja na prawo, ty na lewo, nasze „cienie" muszą natychmiast zająć nasze pozycje. Z kolei ci, którzy są za nimi, zajmują ich pozycje i tak dalej.

Wejście do pomieszczenia też ma swoją taktykę, uzależnioną od tego, czy jest to pokój, kuchnia, schowek czy na przykład łazienka. Siły specjalne tym się charakteryzują, że ich żołnierze mają we krwi elastyczność i improwizację. To trochę jak w wysokiej klasy drużynie piłkarskiej. Jeśli napastnik znajdzie się nagle z tyłu, bo gonił zawodnika, którego krył – na jego miejsce natychmiast wskakuje obrońca, aby zatkać dziurę, i przez chwilę staje się tym napastnikiem. Płynna wymienność pozycji jest podstawą. Nie ma nic na sztywno. Musisz działać stosownie do sytuacji. Oczywiście dzielimy role jeszcze przed akcją. Wyznaczamy, kto idzie pierwszy, kto otwiera drzwi, kto osłania, i walimy w drani. Ale grupa zawsze jest przygotowana na sytuację, że coś może pójść nie według planu, i niezależnie od tego, jak sprawy się ułożą, zwykle da sobie radę. Tym, jak już mówiłem, różni się wyszkolony oddział specjalny od zwykłych chłopaków w mundurach. My musimy wiedzieć, jak wejść, gdy drzwi są zamknięte, jak wejść, gdy nie są zamknięte; jak założyć ładunek, żeby nie zrobić krzywdy zakładnikom; co zrobić, kiedy na przykład ty zakładasz ładunek, a tu drzwi się nagle otwierają i koleś w arafatce staje w progu; czy założyć ładunek na zawiasy, czy na zamek; czy założyć ładunek implozyjny, czy wypychający. Wszystko to przewiduje odpowiednia taktyka. Są ładunki tarczowe, elastyczne, liniowe sztywne lub miękkie. Każdy w ekipie musi mieć swój ładunek, bo zawsze ich brakuje. Nigdy nie wiadomo, ile przeszkód będziemy musieli wysadzić. Tak więc każdy nie dość, że jest uzbrojony w ważącą parę kilogramów broń i sprzęt wyłomowy, to do tego jeszcze objuczony jest ładunkami wybuchowymi. Wyobraź sobie teraz, co się dzieje, kiedy coś się nie uda i dojdzie do niekontrolowanego wybuchu. Masakra.

W Iraku zabudowa jest dość charakterystyczna. Działaliśmy tam z reguły na zasadzie *cordon and search* (wiem, dużo tego angielskiego, ale to wiedza pochodząca przede wszystkim od Amerykanów i Anglików, poza tym wojnie z terroryzmem przewodzą Stany Zjednoczone, więc rozkazy są wydawane po angielsku). Piechota morska izolowała całe dzielnice, żeby później siły specjalne mogły wejść i zrobić *searching*, czyli przeszukanie – oczywiście w naszym rozumieniu tego słowa.

Taktyka czarna nie obejmuje wyłącznie budynków. Czasem to autobusy, pociągi (w tym metro), tramwaje, trolejbusy, samochody i oczywiście samoloty. Dla każdego z tych środków publicznego transportu opracowano swego czasu inną taktykę. Musimy wiedzieć, jak taki pojazd zatrzymać; jak się do niego dostać; jak nie dopuścić do tego, by wjechał tam, gdzie mógłby narobić poważnych kłopotów; jak zmusić go, by wjechał tam, gdzie najłatwiej będzie się do niego dobrać. Wszystko zależy od tego, czy terroryści osłaniają się zakładnikami, czy nie. Jeśli tak, to musi to być operacja wykonana z chirurgiczną precyzją. Jeśli nie ma zakładników, to możemy sobie pozwolić na większą „jazdę". I teraz zależy – czy atak będzie nagły i z zaskoczenia, na przykład zza rogu budynku, by zasypać ogniem wszystkie sektory

naraz, czy może z innego pojazdu, albo z powietrza. Możemy także przygotować odpowiednią zasadzkę. Wtedy blokujemy terrorystów i przykładowo śmigłowce zniżają lot, a następnie atakują pierwszą ciężarówkę jadącą na czele ich kolumny. Terroryści się wysypują, snajperzy z ukrycia, z boków drogi lub z dachów zdejmują ich, my zabezpieczamy i przejmujemy „wrażliwy" ładunek. Jeśli warunki miejskie na to nie pozwolą, zamiast używać śmigłowców zajeżdżamy im drogę albo wręcz walimy w nich ciężkim pojazdem. Jak się wysypią – sprzątamy bałagan; jak nie – wyjmujemy ich ze środka i w zależności od tego, jaki jest priorytet, likwidujemy lub próbujemy przejąć ich żywych na przesłuchania.

Jeśli dranie jadą samochodem osobowym, to tylko pozornie jest łatwiej. Zasada jest taka: kiedy już zatrzymamy wóz i ich dopadniemy, każdy z „pasażerów" musi mieć przy głowie osobną lufę. To ważne: niezależnie od tego, czy to terrorysta, czy zakładnik – każdy ma mieć lufę aż do chwili zakucia w kajdanki czy całkowitego obezwładnienia. Więc jeśli kiedykolwiek wpadniesz w kłopoty w Iraku, Afganistanie, czy nawet w Polsce, nie dziw się, że kiedy będą cię odbijać, to nie tylko terroryści, ale także ty, aż do końca akcji, będziesz mieć przy głowie gnata. Wywleką cię z samochodu, rzucą na glebę, a wyjaśniać będą na końcu. Może niezbyt to subtelne, ale z pewnością najbezpieczniejsze.

Terroryści, jak wiemy, bardzo lubią samoloty i lotniska. Wszyscy znają wydarzenia z 11 września 2001 roku – samoloty wbijające się w wieże World Trade Center, Pentagon, słynny tragiczny lot 93.

Z samolotami terroryści „zaprzyjaźnili się" o wiele wcześniej. Jeden przykład: w Wigilię Bożego Narodzenia 1994 roku porwano maszynę Air France, lot 8969. Incydent trwał pięćdziesiąt cztery godziny. Zakończył się trzema ofiarami śmiertelnymi i wieloma rannymi. Akcja komandosów GIGN (mówiłem o nich parędziesiąt stron temu) trwała siedemnaście minut. W tym czasie wystrzelono ponad czterysta pocisków. W 2010 roku prasa sporo pisała na temat francuskiego filmu *Szturm*, poświęconego właśnie tamtym wydarzeniom.

Mała uwaga – jeśli komuś się wydaje, że samolot, choćby niewielki, można odbić, jak na filmach, kilkuosobową drużynką (tak jak to próbowano ćwiczyć w latach osiemdziesiątych na warszawskim Okęciu siłami miejscowej grupy ochronnej), to oznacza, że jest po prostu nieodpowiedzialny lub nie ma pojęcia, o czym tu właśnie mówimy. Samolot to najtrudniejszy obiekt do odbicia z rąk terrorystów. Z prostego powodu. To nic innego jak długa, najczęściej metalowa rura, do której przyczepiono skrzydła oraz – co dla tych rozważań najważniejsze – zbiorniki na wiele ton paliwa. Jeśli paliwo wybuchnie podczas akcji, to nie będzie już co zbierać. Samolot składa się z tak dużej liczby łatwopalnych, sztucznych materiałów wkomponowanych w kadłub i wyposażenie, że w przypadku nawet niewielkiej eksplozji może on doszczętnie spłonąć w kilkanaście minut (!) razem z pasażerami, niezależnie od tego, czy stoi na lotnisku, czy leci.

Należy więc przede wszystkim nie dopuścić do tego, żeby kokpit przejął ktoś, kto najwyraźniej ma nieco inne plany niż piloci i pasażerowie. Sporo ostatnio w tym kierunku już zrobiono. Coraz częściej linie lotnicze zatrudniają ukrywających się wśród pasażerów oficerów bezpieczeństwa, którzy są tak wyszkoleni, aby mogli zdusić w zarodku takie

zagrożenia. Przyłożono się do tego i widać, że goście w większości wypadków znają się na robocie, bo po ataku z 11 września coraz mniej słychać o „spektakularnych” porwaniach statków powietrznych. Na szczęście.

Ale co w sytuacji, gdy facet z gnatem, który miał pilnować pasażerów, zatrzasnął się na przykład w kiblu, a terroryści opanowali samolot? Aby porządnie zaatakować statek powietrzny z nieproszonymi gośćmi na pokładzie, należy już na etapie planowania założyć, że w akcji musi wziąć udział minimum kilkudziesięciu świetnie wyszkolonych szturmowców, a do tego z pewnością będzie jeszcze potrzebne wsparcie grupy młodszych stażem operatorów, nazywanych drabinowymi. Bywa, że do całej zabawy potrzeba nawet do dziesięciu drabin (wszystko zależy od gabarytów samolotu). Niektóre z nich są bardzo wysokie. Jeśli na taką drabinę wejdzie jednocześnie pięciu do siedmiu komandosów, dwoje ludzi nie wystarczy, żeby ją stabilnie utrzymać przypartą do kadłuba. Zdarza się, że cała sekcja szturmowców, która wysoko na drabinie pozostaje w gotowości do otwarcia drzwi samolotu, razem z drabiną spada na plecy na betonową płytę lotniska. Średnia frajda.

GROM wciąż jednak stosuje swoje techniki podejścia i wejścia do samolotu. I nie chodzi tu tylko o drabiny. Ciągle jest jeszcze w stanie zaskoczyć terrorystów, a oto głównie chodzi.

Nasza historia szkolenia i wymiana doświadczeń z innymi grupami w tym zakresie sięga początków lat dziewięćdziesiątych. Współpracowaliśmy z najlepszymi jednostkami na świecie, w tym z amerykańską Delta Force, brytyjskim SAS czy niemieckim GSG 9. W sytuacji kryzysowej z samolotem niezwykle ważną rolę odgrywają negocjatorzy. Ich zadaniem jest, oczywiście, zrobić wszystko, żeby terroryści za wszelką cenę opuścili samolot, choćby na innym lotnisku w innej części świata. Oczywistość – ale jak tego dokonać? To sztuka warta całej nowej książki, więc tutaj rozważania na ten temat sobie na razie daruję.

Pierwsze treningi w odbijaniu zakładników na Okęciu w Warszawie. Stoję po prawej stronie

Jeśli negocjatorzy nie dadzą rady – kolejni są snajperzy. To takie „oczy” dowódcy sił szturmowych, przygotowujących się do odbicia samolotu. Snajperzy będą obserwować i namierzać swoje cele. Będą rozmieszczeni wokół samolotu, na budynkach i na płycie lotniska. Czasem mogą być też w stanie zakończyć kryzys przez… no wiesz co. Jeśli oczywiście są odpowiednie warunki, widoczność i strzały można oddać niemal jednocześnie do wszystkich napastników. Taka okazja zdarza się rzadko, ale się zdarza.

Na szkolenie szturmowców i snajperów pod kątem ataku na samolot przeznaczano w GROM-ie sporo czasu. Począwszy od 1992 roku, GROM-owcy są częstymi gośćmi na warszawskim lotnisku.

Wrócę teraz do czarnej taktyki lądowej.

W zależności od typu obiektu, który atakujemy, wybieramy odpowiednią broń. Kiedy zajmujemy taki cel jak hotel, w którym są długie korytarze, i spodziewamy się, że tam rozegra się główna walka, dobieramy spluwy o dłuższej lufie, na przykład HK416 albo M4. Jeśli zbóje zaryglowali się w małym pomieszczeniu i to tam będziemy sprzątać, to bierzemy krótkie karabinki MP5.

Jeśli wiem, że muszę dostać się do kabiny pilotów w samolocie – powiedzmy, że już po walce w korytarzu dla pasażerów – używam wyłącznie pistoletów, dajmy na to dwóch

glocków. Dlaczego dwóch? Każdy komandos podczas akcji ma dwa egzemplarze broni. Niezależnie od tego, czy to będzie broń długa i krótka, czy dwa krótkie pistolety. Jeśli pierwsza nawala, musi natychmiast mieć dostęp do drugiej.

Ważną sprawą jest szybka zmiana magazynka. Każdy z nas ćwiczy to do upojenia. Ale jeszcze ważniejsza jest współpraca w grupie. Jeśli skończyła ci się amunicja albo coś się zablokowało, krzyczysz natychmiast: „Zacięcie!", i schodzisz na kolano. Nawet jak cię nie usłyszą, to zobaczą, że to zrobiłeś, i następny z grupy błyskawicznie dochodzi do ciebie i przejmuje twój sektor, dopóki nie zmienisz magazynka lub całej broni i nie krzykniesz: „Gotów!". Mocno łapiesz partnera za nogę, na wypadek gdyby nie usłyszał, i dopiero wtedy może on zająć się wyłącznie swoim sektorem i odpuścić twój. Kiedyś zastanawiano się, czy nie powinniśmy zgłaszać gotowości podniesieniem ręki do góry. Wtedy nie było jeszcze, jak to jest dzisiaj, masek panoramicznych, dzięki którym łatwiej dostrzec, co jest grane. To się jednak nie sprawdziło. Kiedy gość przede mną przeładowuje magazynek, ja muszę cały czas prowadzić ogień w jego sektorze i zdarzyło mi się kiedyś, że kolega podniósł rękę, a ja strzeliłem mu między palcami (na szczęście!). Gdybyśmy mieli mniej szczęścia, to bym mu wykasował co najmniej dwa palce. Takie wypadki z podnoszeniem rąk zdarzyły się kilka razy, więc zrezygnowaliśmy z tego, ale niestety złe nawyki wrastają w człowieka i trudno je potem wytępić. Jak coś wejdzie w krew – ciężko się od tego odzwyczaić w sytuacjach dynamicznych.

W taktyce czarnej używa się również broni gładkolufowej, to jest remingtonów 870. To rodzaj… hmm… dubeltówki z amunicją sproszkowaną, zwykle porcelanową, co jest przydatne na przykład przy forsowaniu drzwi. Walisz z dubeltówki w zamek albo w inny słaby punkt i dalej już prowadzisz akcję, używając broni regularnej. Dlaczego mówimy o tym „broń gładkolufowa"? Każda broń regularna (karabiny bojowe, pistolety, nawet rewolwery) ma wydrążoną w lufie spiralę (gwint), dzięki której pocisk tak naprawdę leci nie – jak nam się czasem wydaje – ruchem jednostajnie przyspieszonym, bez żadnej rotacji, tylko… biegnąc w stronę celu, wiruje, co nadaje strzałowi precyzji. Pocisk z pistoletu leci z grubsza z prędkością tysiąca dwustu kilometrów na godzinę. Żeby jego trajektoria była jak najbardziej przewidywalna, musi on obracać się podczas lotu wokół własnej osi. Wtedy przecina powietrze z większą energią, a siły wytworzone wokół pozwalają mu lecieć prosto do celu. Z kolei broń gładkolufowa nie ma tej spirali i – jak sama nazwa wskazuje – jej lufa jest gładka. Taka broń nie służy do precyzyjnych strzałów, tylko do… rozwalania przeszkód, ale z bliskiej odległości. Z dubeltówki nie trafisz porządnie nawet z pięćdziesięciu metrów, chociaż ze względu na rodzaj amunicji (sproszkowana) masz z pewnością szansę „napocząć" jakiś większy cel częścią masy śrutowej. Muszę przyznać, że znam gościa, który jednym strzałem z takiej lufy upolował dwie kaczki naraz. Ale na poważnie – dokładność strzelania z dubeltówki jest kompletnie inna niż w wypadku broni precyzyjnej. Dla przykładu – w 2012 roku dwóch australijskich snajperów z drugiego Commando Regiment tamtejszej Delty zlikwidowało jednego z przywódców talibskich w Afganistanie z odległości 2815 metrów, a więc z blisko trzech kilometrów! Strzelali z karabinu wyborowego M82A1 Barrett 12,7

milimetra (mamy takie w GROM-ie). Pocisk leciał, uwaga… sześć sekund! I trafił! To nie był odosobniony przypadek. W 2009 roku w tej samej prowincji (Helmand) brytyjski kapral Craig Harrison zdjął dwóch talibów, strzelając z karabinu L115A3 LLR firmy Accuracy International, z odległości 2475 metrów. To bardzo duże odległości. Fenomenalny rekord świata w biegu na trzy kilometry, niepobity od blisko dwudziestu lat, wynosi siedem minut dwadzieścia sekund i sześćdziesiąt siedem setnych sekundy i należy do Kenijczyka Daniela Komena. Tyle tylko, że Komen biegł na stadionie, bez przeszkód, jedynie w stroju sportowym, wsparty wieloletnim lekkoatletycznym treningiem. Żołnierz z pełnym ekwipunkiem, jeśli nawet nie napotkałby specjalnych przeszkód, musiałby zużyć na dotarcie do celu minimum pół godziny. Wspomniani Australijczycy czy Craig Harrison dorwali drani wystrzelonym pociskiem, który leciał kilka sekund. Takie możliwości daje nowoczesna, precyzyjna broń.

Powróćmy do forsowania drzwi. Tu warto powiedzieć o paru szczegółach, które czasami są mylone nawet przez osoby interesujące się siłami specjalnymi. Na przykład element taktyki, jakim jest dowodzenie. Kto tak naprawdę jest dowódcą podczas akcji? Ano ten, który wchodzi do strefy zagrożenia jako pierwszy. To nie zawsze ta sama osoba, która jest nominalnym dowódcą oddziału. Chłopak, który wszedł pierwszy do pomieszczenia, staje się automatycznie dowódcą – to jest ta elastyczność, o której już mówiłem w poprzednich rozdziałach. Dlaczego właśnie ten człowiek? Bo on pierwszy ocenia sytuację, on najwięcej widzi i to on może najszybciej i najbardziej trafnie wydać tam niezbędne rozkazy. Tak więc pierwszy decyduje, co zrobimy dalej, aż do momentu, gdy wyjdziemy z opanowanego pomieszczenia. Druga sprawa: nigdy nie wbiegamy do środka, jak to czasem bywa na amerykańskich filmach, tylko zawsze wchodzimy. Nawet jeśli drzwi są otwarte. Niemal w każdym przypadku – niezależnie od tego, czy kogoś wyczuwamy w środku, czy nie – rzucamy granat hukowo-błyskowy. Jeśli kolesie, których bazę atakujemy, będą ukryci gdzieś wewnątrz, to z pewnością na jakiś czas trochę zaprzątnie to ich uwagę. Granat z reguły rzuca „dwójka”, czasem też „trójka”. Dopiero po tym może wejść pierwszy ustawiony tuż przed drzwiami (dowódca akcji w pomieszczeniu). To wszystko jest idealnie zgrane i tak naprawdę proste, ale – jak z pewnością nawet w zwykłym życiu już niejednokrotnie się przekonałeś – rzeczy proste bywają najtrudniejsze. I do odkrycia, i do wymyślenia, a bywa, że i do wykonania. Najciemniej jest pod latarnią – jak mówi wyświechtane przysłowie. Siły specjalne tym się między innymi różnią od reszty służb, że traktują to powiedzonko na poważnie.

Elastyczność, wymienność pozycji, o czym zawsze mówimy, jest jedną z najważniejszych cech oddziału specjalnego. Jak „jedynka” widzi, że „dwójka” nie ma w dłoni granatu, to go wali w łeb, żeby sobie łaskawie przypomniał, co trzeba; a jak z jakichś powodów „dwójka” straci granat, to wymienia się z „trójką”, i to trwa dosłownie sekundy. Potem, po akcji, taka „dwójka” bez granatu staje przed dowódcą sekcji i drugi raz dostaje w łeb, i jeśli nie ma bardzo dobrego wytłumaczenia, dlaczego nawalił, to wypada z oddziału, bo selekcja trwa cały czas. Jeśli nawet cię wybrano, ale później nawalasz, możesz w tempie gazeli wylecieć na wieczny urlop, bo zagrażasz kolegom. Znam takich, którzy wylatywali po pięciu, sześciu latach. Tacy ludzie jak my muszą umieć się zgrać – charakterem, mentalnością, różnego rodzaju

cechami, które potem są decydujące w momentach ekstremalnych. Jeśli ktoś ewidentnie odstaje, musi odejść, bo oddział specjalny to nie klub dyskusyjny, gdzie roztrząsamy wiekopomne problemy ludzkości, tylko zgrana grupa doskonale wyszkolonych ludzi, którzy podczas akcji muszą być jak jedno ciało, jak jeden mózg.

I tak jak w wypadku taktyk niebieskiej i zielonej, powrócimy teraz do prawdziwego życia. Podczas czytania o opisanej poniżej, autentycznej akcji, w której uczestniczyłem, zwróć uwagę, na ile rzeczywistość może odstawać od teorii i jak ważne są doświadczenie i praktyczny trening. Dlatego każdy z nas pamięta, że stajemy się komandosami sił specjalnych nie wtedy, kiedy nam się tak zacznie wydawać, ale wtedy, kiedy przekona się o tym sam przeciwnik.

Każdy może być „pierwszym”

Irak, 2004 rok

Poprawiam delikatnie monokular noktowizora opuszczonego z hełmu na prawe oko. Lewym spoglądam w dal, dostrajam sobie wzrok. To dość niekomfortowe uczucie, gdy widzisz dwa różne obrazy. Ten jasnozielony w noktowizorze trochę przekłamuje i nieco oddala. Stoję pomiędzy dwiema sekcjami szturmowymi. Jedna z nich po chwili rusza powoli zza moich pleców i mija pierwszą ekipę ustawioną przed niskimi schodami prowadzącymi do drzwi budynku. Wszystko na razie jest zgodne z planem. Chłopcy będą wchodzić na piętro z tyłu budynku, na balkon. Mają ze sobą aluminiową drabinkę. Jest także trzecia sekcja. Właśnie do nas „docisnęli”, nieco dłużej zeszło im na wysokim, dwumetrowym murze otaczającym posesję.

Jak do tej pory wszystko idzie dość gładko. Czuję trochę potu na skroniach, ale to normalne – nie jest zbyt gorąco, ale adrenalina robi swoje. Lewą dłonią, w nomeksowej rękawiczce, nadal próbuję dostroić ostrość noktowizora. Niebo jest pogodne, wypełnione gwiazdami i rozświetlone gdzieś zza budynków pełnią księżyca. Tu, na zewnątrz, jest dość widno, bije poświata miasta.

Korzystając z chwili, podnoszę swój noktowizor do góry, na kevlar. Sekcja szturmanów przed nami powoli, jak jeden organizm, przechodzi przez mały murek dobudowany kaskadowo do rogu budynku. Chłopcy poruszają się cicho, miękko, na lekko ugiętych nogach. Jak duchy. Głowy schowane w hełmach kevlarowych, karabinki M4 skierowane ukośnie. Trochę przeszkadza im drabinka, którą niemal bezszelestnie przesuwają do przodu. Znakomicie kryją swoje sektory ubezpieczenia okrężnego. W prawym uchu dopięte słuchawki radiotelefonów. Oliwkowe, a czasem czarne kombinezony i kamizelki taktyczne doskonale ich maskują. Hmm… takie pancerne komando, którego nic nie jest w stanie cofnąć choćby o krok. Są zgrani, fenomenalnie wyszkoleni, mają do siebie zaufanie, funkcjonują tak, jakby byli elementami zwartej, jednolitej konstrukcji.

Mamy też wsparcie z innych „pancernych”. Tuż za nami, na ulicy, na razie w pewnej odległości. Nie słychać silników hummerów, ale wiemy, że tam są. No i niebo, które również nie jest puste – ledwie słyszalny gdzieś w oddali pomruk skrzydlatej fortecy: Herculesa C-130 Gunship. Snajperzy w śmigłowcach krążą dwa kilometry stąd, ale o tym wiemy tylko my. Cisza, nie słychać dosłownie nic. Przez radio nikt teraz nie nadaje. To dobrze, nie ma takiej potrzeby, a musimy się skupić na tym, co za chwilę pojawi się przed nami za progiem budynku.

Każdy może być „jedynką”. Nieważne, gdzie jesteś ustawiony w szyku sekcji, ale ważne, żebyś miał świadomość, jakie z tego powodu wykonujesz zadanie. To się będzie zmieniać. Jeśli sytuacja i liczba pomieszczeń będą tego wymagały, to niemal na pewno chłopak z końca ustawi się do wejścia jako drugi, co z reguły oznacza, że wejdzie jako pierwszy. I co wtedy? Nic. Żaden problem. Jeśli jesteś w tym momencie tą „jedynką”, to dowodzisz. Krótko mówiąc, akcja jest twoja. Wydajesz innym szturmowcom polecenia i decydujesz, czy jest już czysto, czy jeszcze nie. Nie ma, a przynajmniej nie powinno być, w sekcji słabszych szturmowców. Nawet jeśli masz gorszy dzień, musisz się spiąć. Cały wic polega na tym, żeby to wszystko schować gdzieś głęboko w głowie i jęczeć dopiero po skończonej akcji, w barze, przy piwie, nie teraz.

Każda sytuacja jest inna. Wszystko jest dynamiczne. Musisz działać według wyćwiczonego schematu, ale także być gotowym do natychmiastowej reakcji na to, co może ci za chwilę wyrosnąć przed oczami. To będzie kolejna walka w pomieszczeniach, na krótkim dystansie, która nazywa się, jak pamiętasz, CQB.

Taktyka czarna dla rekruta wcielonego do sekcji szturmowej, nawet jeśli zaliczył on roczne szkolenie, jest czymś, czego nie może się nauczyć bez praktyki, bez intensywnego działania w macierzystej sekcji szturmowej. Zresztą szkolenie wstępne obejmuje wiele dziedzin, a CQB jest tylko jego częścią. W prawdziwej, cztero- czy sześcioosobowej sekcji selekcja, jak już pisałem, trwa niemal cały czas. I tak naprawdę dopiero podczas wspólnego przygotowania do zajęć, planowania i wreszcie w momencie, kiedy już strzelamy na ostro – wszystko wyłazi na wierzch. Koledzy wybaczą ci drobne błędy, ale gdy oddajesz strzały niekontrolowane, niepotrzebne lub zbyt często niecelne, nie pozwolą ci zostać. Stawka jest zbyt wysoka. Terroryści strzelają do ciebie, by zabić, a obszary ich mózgów odpowiedzialne za poczucie humoru są w całkowitym zaniku. Możesz mi wierzyć. Rekrutom odradzałbym także przesadne wyrywanie się do przodu, cwaniakowanie, gwiazdorzenie, w czym wręcz specjalizują się „sportowcy” z cywila, jakoś cudem i przypadkowo wcieleni do sekcji. Nikt cię nie zgnoi za dobry żart, ale odporność na krytykę bardzo ci się przyda. Koledzy z oddziału wybaczą ci, jeśli jesteś trochę słabszy fizycznie lub jeśli masz gorszy dzień, ale na tym taryfa ulgowa się kończy. Dlaczego? Patrz kilka zdań wyżej.

I coś, czego pewnie się nie spodziewałeś – kilka słów na temat… urody. Przyjęło się u nas mówić, że im jesteś brzydszy, tym ładniejszy. Zresztą i tak przez większość czasu mamy na głowie hełm, a twarz skrywamy pod maską z nomeksu. W przeciwieństwie do artystów estrady, których głównym zadaniem jest się wyróżnić – my robimy wszystko, żeby w naszym przypadku było odwrotnie. Nas szkolą tak, byśmy byli jak najmniej widoczni. Uczymy się kamuflażu, niepozorności, umiejętności zlewania się z otoczeniem, niezależnie od tego, czy chodzi o las, dżunglę, góry, czy tłum ludzi w bliskowschodnim mieście. Jeśli potrzebujesz publiczności i oklasków – wybierz selekcję do konkursu Eurowizji, a nie selekcję na komandosa sił specjalnych.

W każdej taktyce z założenia liczy się przede wszystkim pełne zrozumienie sytuacji, w której przyjdzie ci działać. I wbrew pozorom nie jest to komunał. Tym się różnimy od czterech pancernych, nawet bez psa, że musimy oprócz najbliższego zadania na hurra –

w wypadku którego wystarczy na przykład tylko przygotować się do ataku z tak zwanej rubieży wyjściowej, by zająć, powiedzmy, rubież na wprost, oddaloną o jeden kilometr, po drodze eliminując przeciwnika – poznać także zadania dalsze, a to jest już bardziej skomplikowane. Musimy umieć sprawnie analizować, zdając sobie sprawę z tego, jak w rzeczywistości złożona jest cała operacja przeciwterrorystyczna, często nazywana misją CT (Counter Terrorism). Zakres zadania lub operacji trochę wybiega poza znaczenie słowa „misja". Tak to już jest. Dowódca sekcji, ale i pozostali szturmowcy muszą umieć zaplanować misję przydzieloną im przez sztab, i to bardzo precyzyjnie, logicznie, ze zrozumieniem każdej jej fazy i etapu. Dla rekrutów bywa to dość stresujące. I nie chodzi tu wcale o to, że wymagania każą planistą się urodzić. Liczba wariantów i sposobów wykonania zadania, różnorodność sprzętu i wyposażenia, drobiazgowość, a potem pewność siebie, z którą trzeba to wszystko umiejętnie i przekonywająco przedstawić przełożonym (nieraz po kilku nieprzespanych nocach) – bywają wykańczające. Ale można się tego nauczyć. Często miałem wrażenie, że już lepiej zacząć i iść na żywioł, niż tak ciągle planować i planować. Oczywiście gdy z czasem nabierasz doświadczenia, przekonujesz się, że to bez sensu. Plan, niezależnie od tego, jak upierdliwa to potrafi być robota – jest podstawą. W dodatku najczęściej jest tak, że czasu masz zbyt mało na filozofowanie czy jakikolwiek odpoczynek, a planowanie to nie tylko omówienie szczegółów między sobą, w sekcji, ale też rozpisanie tego wszystkiego na papierze, odpowiednich tablicach czy w komputerze. To trochę tak jak w agencji reklamowej, gdzie tworzy się na przykład strategię wprowadzania na rynek produktu. Tyle tylko, że tam nikt do nikogo nie strzela. Przeważnie…

Wojskowy rozkaz składa się z pięciu punktów: 1) sytuacja, 2) zadanie, 3) realizacja, 4) zabezpieczenie i wsparcie, 5) dowodzenie i łączność.

Działania przeciwterrorystyczne wymagają od cholery doświadczenia i zanim będziesz potrafił rozpisać odpowiednią koncepcję OPORD-u (rozkazu wojskowego), minie trochę czasu. Strzelać potrafi niemal każdy, ale jeśli chodzi o planowanie, to tu zaczynają się schody. Starym wyjadaczom obraz nowo przydzielonej misji często od razu układa się w głowie i tylko dokładają oni do niego nowe, wynikłe z rozwoju sytuacji elementy. Rozpoczynamy od ataku doraźnego, natychmiastowego, w taktyce czarnej poprzedzającego zawsze atak planowy. W CQB w każdym przypadku i tak trzeba być gotowym niemalże na wszystko. Bardziej niebezpieczni od terrorystów są tylko dziennikarze. Jeśli nie będziemy na czas gotowi do wejścia, a zaczną ginąć zakładnicy, nikogo nie będzie obchodziło, że mieliśmy „przejściowe", „obiektywne" kłopoty. Zmiotą nas w mediach, a przełożonych i – często niemających pojęcia o robocie – ministrów nie będzie interesowało to, czy wszystko dobrze zaplanowaliśmy, tylko czy finał jest szczęśliwy. Bierzemy za to kasę i mamy być gotowi zawsze.

Aby zostać dobrym planistą, przydałoby się skończyć – jeśli wystarczy na to czasu – któryś z dodatkowych kursów: może rozpoznawczy, może radiotelegraficzny, może pirotechniczny (saperski), a może z patrolingu. Najważniejszy jest jednak kurs planistyczno-sztabowy. Nie wszyscy podoficerowie (sierżanci i chorążowie) muszą go zaliczyć, ale w praktyce powinni się nauczyć zasad pracy podgrup sztabowych, takich jak na przykład S1, S2, S3, S4… i czasem

tak aż do S10. Każdy z tych „esów” albo „jotów” (J1, J2… itd.) ma przypisane sobie funkcje, na przykład kadrowe, wywiadowcze, logistyczne, w zależności od szczebla sztabu.

Znasz te sytuacje, często powtarzane w filmach fabularnych, kiedy komandosi trenują na sucho, czyli powtarzają najbardziej skomplikowane sekwencje operacji do momentu, aż wryją się w mózg. Taka jest prawda. Tak samo robimy w rzeczywistości. Jak wykombinować, żeby rozkaz był zarazem dokładny i jak najbardziej elastyczny? Po prostu trzeba bardzo często zadawać sobie pytanie: „A co będzie, jeśli…?”. Plany B, C i D zawsze dają, co oczywiste, większą pewność i gwarancję, że wszystko skończy się okej.

Jest jeszcze ocena ryzyka, jednak w operacjach, w których są nie tylko terroryści, ale i zakładnicy, raczej trudno na poważnie mówić o bezpieczeństwie komandosów. Te operacje są z natury cholernie trudne i bardzo ryzykowne. W taktyce zielonej możemy sobie stosować metody czy taktyki, które rzeczywiście to ryzyko zminimalizują, ale w CQB za bardzo nie da się tego zrobić, co nie oznacza, że nie należy tego próbować.

Oprócz zrozumienia własnej roli w tej całej zabawie należy także umieć zrozumieć rolę pozostałych szturmowców oraz – co nie mniej ważne – zadania innych sekcji towarzyszących naszym działaniom. Jest tego wszystkiego dość dużo. Ktoś kiedyś spytał, ile czasu potrzeba, żeby być dobrym. Po trzech, czterech latach można o tym zacząć mówić. Ale niekiedy tego czasu potrzeba znacznie więcej.

To była mała dygresja. Czas wrócić do omawianej akcji. Czeka nas kolejne CQB. Choć z zasady szkolony byłem w taktyce czarnej, do „czyszczenia” pomieszczeń, to jednak moim głównym przeznaczeniem były działania snajperskie, w nich czułem się najlepiej, właściwie mam je we krwi.

Przez kilkanaście lat byłem przeciwterrorystą. Szkoliłem się w wielu miejscach i walczyłem w wielu operacjach na świecie, mających na celu ratowanie życia zakładników. Właziłem po drabinach do samolotów, plątałem się na linach sięgających do łodzi, wywijających hołubce na kilkumetrowych falach morskich, do platform wiertniczych, rozwalałem łokcie o metalowe występki balustrad na promach pasażerskich. Krótko mówiąc, było tego sporo. W tym wypadku czuję jednak, że jest to jedno z moich ostatnich wejść. Minęło trochę lat, czas biegnie, kiedyś trzeba pomyśleć o odpoczynku, czyli na przykład o pracy w rozpoznaniu. To też niegłupia robota. Zobaczymy. Na razie pomagam moim młodszym średnio o dziesięć lat kolegom, wspieram ich i motywuję tym, że w ogóle z nimi jestem. Dla niektórych to pierwsze bojowe zadania. Znają mnie, mają do mnie zaufanie. Będzie dobrze. Przypominam sobie moje początki, pierwsze akcje GROM-u (człowiek z czasem staje się sentymentalny). Pamiętam, jak dostałem swoje pierwsze wyposażenie przeciwterrorystyczne. Sprzęt był zupełnie nowy i raczej nieznany polskim żołnierzom. Pierwsze buty typu GSG 9 oraz czarne, skórzane, miękkie, jednoczęściowe kombinezony i oliwkowe nomeksy (też kombinezony, ale raczej dla pilotów). Oprócz maskującego koloru ważne było również to, że dobrze przepuszczały powietrze, a my raczej nie mieliśmy w planach serii turniejów szachowych, tylko to, do czego byliśmy szkoleni, więc ta ich cecha miała naprawdę duże znaczenie. Przy takiej dynamice działania ekwipunek jest bezcenny. Gdy tętno ci skacze, krew krąży dość szybko, a organizm

mocno się poci, to ważne jest, żeby oczu nie zalewał słony i gryzący pot. Oczywiście materiał musi być ognioodporny i nie może przylepiać się do skóry, w razie gdybyś się zapalił.

Na początku nosiliśmy lekkie, czarne, sportowe kaski Pro--Tec. Miały nas one chronić nie przed pociskami terrorystów, ale raczej przed przeszkodami, odpryskami ze ścian, spadającymi cegłami czy meblami. Teraz raczej wszyscy mają hełmy kevlarowe, niemalże w pełni chroniące przed pociskami małego kalibru.

Do ochrony dłoni mieliśmy cienkie rękawiczki nomeksowe, z fajnym, przyjemnym podbiciem skórkowym. Bardzo dobrze można było w nich wyczuć spust karabinka. Snajperzy zwykle, ze zrozumiałych powodów, wycinają otwór w rękawiczce, na palcu wskazującym, a w wypadku tych rękawiczek często nie było to nawet potrzebne.

Oprócz samego umundurowania zawsze wkładam jeszcze ochraniacze na kolana i oczywiście kamizelkę kuloodporną – dopiero na nią zakładam tę taktyczną. Jest wiele modeli kamizelek taktycznych i kuloodpornych. Którą należy wybrać? To zależy. Jeśli będziesz musiał pokonać dłuższy dystans marszem, powiedzmy powyżej paru kilometrów, to kamizelka kuloodporna będzie ci tylko przeszkadzała. Zbyt dużo waży, kręgosłup ci nie wytrzyma i kiedy przyjdzie co do czego, po takim marszu nie będziesz przydatny w walce. Dlatego w taktyce czarnej nie planuje się dłuższych dystansów do pokonania pieszo. Cała wycieczka to zwykle nie więcej niż trzysta metrów do wejścia do obiektu. W walce CQB ważne są oba rodzaje kamizelek. Jedna służy do pasywnej obrony, druga ma pomieścić sprzęt i środki do walki. Czasem do kamizelki kuloodpornej dodatkowo wkłada się płyty stalowe lub lżejsze, kevlarowe, chroniące przed pociskami karabinowymi. Przed kałasznikowem względnie chronią, niestety, tylko stalowe. Szturmowcy często wkładają je wyłącznie na przód, bo te dodatkowe z tyłu mogą już bardzo ograniczać ruchy i utrudniać precyzyjne strzelanie. Najpopularniejszym obecnie rozwiązaniem jest połączenie w jedną kamizelkę zarówno kevlarowych komponentów, jak i kieszeni, uchwytów i noszaków, charakterystycznych dla kuloodpornej kamizelki taktycznej. W akcjach na morzu dochodzi do tego wszystkiego specjalny kołnierz wokół szyi, zwisający od przodu, mocowany do pleców na cienkich, wytrzymałych taśmach. To nic innego jak nowoczesne koło ratunkowe, które otworzy się niemal natychmiast, gdy wpadniesz do wody. Czy zdoła utrzymać cię na wodzie z tym całym obciążeniem, które masz przy sobie? Jeśli nie ważysz dwustu kilo – powinno.

Kamizelka taktyczna tak właśnie się nazywa, ponieważ to w niej umieszczasz niemal cały sprzęt bojowy potrzebny ci w operacjach przeciwterrorystycznych. Najczęściej są to: mały radiotelefon, granaty hukowo-oślepiające, panoramiczna maska przeciwgazowa, dodatkowe magazynki z amunicją, różnorakie materiały wybuchowe, opaski plastikowe służące jako kajdanki, opatrunki, no i zwykle dość duży nóż szturmowy. Okej, już oczami duszy widzę, jak wielbiciele Rambo szeroko otwierają oczy, bo zapomniałem o jednym z najważniejszych elementów ubioru taktycznego – o pasie bojowym! To taka mała kamizelka taktyczna, tylko w wydaniu liniowym. Najlepiej służy, gdy zdejmiemy z siebie całe wyposażenie i pójdziemy na przykład przygotowywać zasadzkę. Wtedy wypinamy pas z głównej kamizelki. No, nie zawsze da się ją tak łatwo wypiąć; to zależy od modelu. Dlatego stosowane są osobne pasy

taktyczne z szelkami – ale to raczej już w taktyce zielonej. Powiem szczerze: wolałbym, żeby tego pasa w ogóle nie było, bo przeszkadza, jest twardy i mało elastyczny. Jednak ta jego cecha to konieczność, bo pas nie może pęknąć, gdy któryś z chłopaków będzie cię ciągnął rannego, wyciągał z płonącego pomieszczenia albo pomagał ci wpakować się na pokład śmigłowca. Taki pas może fajnie wygląda, ale to nic wygodnego. W większości wypadków trzeba go jednak mieć. No i teraz kłopot, bo gdy trzeba zjechać po linie, to dość trudno jest podpiąć karabińczyk do uprzęży, ponieważ taktyczny pas bojowy zakrywa taśmę nośną alpinistycznej uprzęży biodrowej. Te dwa elementy trochę się wykluczają. Poza tym pas bojowy uwiera, gdy się schylasz, no ale coś za coś.

Z kolei osobisty skórzany lub parciany pas nośny to taka perełka w wyposażeniu. Umieścić na nim można parę rzeczy, na przykład latarkę lub leathermana. Jest bardzo wygodny i wygląda *cool*. Co jest jednak jego głównym zadaniem? Wiadomo – podtrzymuje twoje spodnie bojowe!

Wracając do kamizelki taktycznej – można jeszcze z tyłu podpiąć do niej camelback z wodą, ale mówiąc szczerze, to już lekki przerost formy nad treścią, szczególnie podczas „czarnych” akcji. Tu działasz szybko, nie dłużej niż godzinę, więc po grzyba ci dodatkowe obciążenie? Zwykle na akcję dostaniesz jeszcze jakąś tam część sprzętu wyłomowego, na przykład trójząb, strzelbę gładkolufową, lekki młot wyważeniowy, dodatkowy ładunek tarczowy lub liniowy. I dopiero teraz bierzesz do ręki swój największy atut, czyli broń. Czasem karabinek, czasem pistolet maszynowy. Twój wybór – musisz umieć go dokonać.

W odróżnieniu od taktyki zielonej tu nie potrzebujesz plecaka. Masz zrobić swoje i ewakuować się za pomocą pojazdu, śmigłowca, no, czasem też pieszo, w sytuacjach awaryjnych, ale w takich wypadkach to już raczej czeka cię zabawa w przetrwanie i przemieszczanie się z punktu do punktu, aż cię wreszcie ktoś ewakuuje. Ulubiony motyw z amerykańskich filmów.

Okej, teraz już naprawdę wracam do dzisiejszej akcji.

Akcja

Szturmowiec stojący przede mną lekko klepie mnie, czy raczej ściska w ramię. Nie odwracając się, klepię chłopaka przede mną. To znak, że wszyscy jesteśmy gotowi. W tej chwili jedna osoba z sekcji odrywa się od szyku i po sekundzie jest już pod drzwiami. To szturman z ładunkiem wybuchowym. Po chwili cofa się nieco i klęka na jedno kolano. Cały skład naszych dwóch sekcji powoli rusza do przodu. Tempo nadaje szturmowiec prowadzący. Mijam klęczącego sapera. Widzę, że trzyma w ręku detonator *claymore*.

W słuchawce odzywa się szeptem dowódca całości:

– Do wszystkich sekcji. Gotowość… 5, 4, 3, 2, 1. *Go! Go! Go!*

Nasze wejście poprzedza silny, ale punktowy wybuch na drzwiach. To standard. Tak zaczyna się prawie każda akcja przed walką w pomieszczeniach.

Pierwsza szóstka „rozpyla się” na parterze, druga mija mnie i po schodach, już w środku budynku, idzie w górę, pomija piętro i kieruje się wprost na poddasze, a potem na dach. Piętro, po kolejnym wybuchu, „czyści” już w tym momencie trzecia sekcja. W kilka sekund jesteśmy wszędzie, w całym budynku. Dookoła szkło z wybitych od wybuchu szyb, pełno słodkiego i syntetycznego w zapachu dymu. Zmieniam szturmowca stojącego w przedsionku, rzucam okiem na pokój po mojej lewej stronie. Dwóch naszych błyskawicznie go zajmuje. Nagle słyszę odgłosy walki w pomieszczeniu za moimi plecami. Wpadam tam i włosy stają mi dęba na głowie. Ktoś z tutejszych leży bez ruchu na dywanie, GROM-owiec trzyma na muszce innego terrorystę, który z kolei siedzi na podłodze. Szturmowiec nie może pomóc koledze, bo drugi z łobuzów wypycha tego kolegę przez okno. Chłopak zaparł się rękami, ale już ledwo się trzyma. Palce zsuwają mu się już poza framugę. Z okna jest ze cztery metry na dół. Jeśli sukinsyn zdoła go wypchnąć, to nasz złamie sobie kark. Gdzie jest jeszcze jeden nasz do ubezpieczenia?! Szybko orientuję się, że właśnie walczy na zewnątrz, poniżej, na dachu przyległego budynku, gdzie zagonił łobuza, któremu teraz wybija z głowy terroryzm! A tutaj tumult, odgłosy walki na śmierć i życie; resztki zerwanych firanek sprawiają wrażenie, jakby powiewały, choć nie ma najmniejszego wiatru. W jednej chwili rzucam się w stronę skurwiela, żeby ratować naszego. Nie mogę teraz strzelać, bo obaj są w jednej linii i zbyt blisko siebie. Wyszarpuję łobuzowi kołnierz z tyłu koszuli. Wielki facet. Czuję, jak w mojej ręce materiał trzeszczy w szwach. Zbieram w ułamku sekundy jeszcze więcej siły i udaje mi się mocnym ciosem w łeb zdjąć go z naszego chłopaka. Chwila walki i mamy gościa na podłodze. Szturmowiec „z okna” przejmuje kontrolę nad przeciwnikiem, który przed chwilą próbował go zabić. Zostawiam ich. Na górze wszyscy są już skuci kajdankami albo…

w niebie (piekle?). Wracam na swoją pozycję, do drzwi w małym przedsionku, przy okazji sprawdzam, co u kolegów obok w pokoju. Przez sufit nie słychać już odgłosów walki na górze. Widzę, że w pomieszczeniu obok jeden ze szturmowców trzyma na muszce karabinka M4 kolejnego terrorystę. Drugi przeszukuje pokój. Niby wszystko okej, ale siedzący na łóżku fanatyk przemawia w obcym języku (nie był to chyba ani arabski, ani kurdyjski) do stojącego przed nim GROM-owca, jakby się naćpał. Zaczyna nucić jakąś modlitewną melodię. Zła wróżba. Po chwili przewraca się na to łóżko i na chwilę zakrywa twarz dłońmi. Nagle sięga jedną ręką pod poduszkę i świruje, że chce nam coś pokazać. I rzeczywiście chce. Ułamek sekundy i widzimy, jak trzyma granat tuż przed nami! Niemal jednocześnie walimy w gościa z M4. Z przodu, na klatce piersiowej, facet zalicza z pozoru niewielkie otwory, ale z tyłu te same pociski wyrywają mu pół pleców. W jednej chwili duża plama krwi zalewa prześcieradło. Przeszukujący GROM-owiec zagląda ostrożnie pod resztę poduszek, a tam kilkanaście granatów zaczepnych RG-42. Pewnie miały posłużyć do obrony przed nami, gdybyśmy ich nie zaskoczyli we śnie. Tym razem jednak uratowaliśmy dupska. My zawsze robimy w nocy. Oni o tym wiedzą, ale przecież kiedyś trzeba spać.

Reszta akcji toczy się już bez przeszkód. Znikamy.

Przez radio dowódca szturmu składa mi meldunek sytuacyjny, a ja przekazuję go do bazy. Czarna robota jest po prostu czarna. Emocje musisz odłożyć na bok. Albo ty, albo twój przeciwnik – nie masz wyboru.

Jeszcze raz przypominam sobie ważne zdanie: komandosem nie stajesz się wtedy, gdy tak o sobie pomyślisz, tylko wtedy, kiedy twój wróg poczuje, że tak jest.

Pierwsza zagraniczna misja

Cofnę się o dziesięć wiosen, aby wrócić do momentu, kiedy tak naprawdę zaczęło się to, z czego GROM jest tak znany i w czym, jak na razie, nie tylko zresztą w naszym kraju, jest najlepszy.

Rok 1994. Koniec września. To już trzeci okrągły rok służby w GROM-ie. Jak każdego dnia wróciłem do domu z jednostki. Popołudnie nie zapowiadało niczego szczególnego, kiedy zabrzęczał pager. W ciągu półtorej godziny muszę być w pełnej gotowości z powrotem w jednostce. Zdążyłem tylko powiedzieć żonie, że jeszcze na trochę muszę wrócić, i pojechałem. Ale nie spodziewałem się, że dowódca zespołu bojowego, który właśnie wezwał nas na odprawę, oświadczy nam, że jedziemy… na Haiti.

Haiti… – pomyślałem. – No, trochę egzotycznie. To chyba z nimi na mistrzostwach świata dwadzieścia lat wcześniej, w 1974 roku, wygraliśmy w piłkę 7 : 0. Skoro jednak teraz byli tam potrzebni tacy goście jak my, z pewnością nie chodziło o sportowy rewanż.

GROM stawał się już w tym czasie jedną z najlepszych elitarnych jednostek specjalnych nie tylko w Europie, ale i na świecie. A trenowali nas naprawdę najlepsi. Mały przykład:

Amerykańscy instruktorzy niedługo wcześniej wyselekcjonowali z GROM-u dziesięciu, według nich, najlepszych strzelców i utworzyli elitarną grupę snajperską, którą uważali za ścisłą czołówkę w Europie. Dziesięciu facetów. Przy okazji miło się dowartościowałem, bo byłem jednym z nich, ale co najważniejsze – szkolił nas jeden z najlepszych amerykańskich snajperów Delta Force, weteran wojny w Wietnamie, sierżant Lawrence Freedman (nazywany Larrym), który później niestety zginął w Somalii. Wydarzenia te dość dobrze oddał znany film *Helikopter w ogniu*.

Trenowaliśmy z Larrym bardzo dużo. W mieście, w lesie, w szczerym polu, na bagnach i na suchych wrzosowiskach, zimą i latem, po prostu wszędzie, gdzie się dało. Moją specjalizacją był wtedy karabin Remington 700, kaliber 7,62 milimetra, z celownikiem optycznym Leopold. Dystans do jednego kilometra. Byłem niezły do siedmiuset metrów, ale najlepiej radziłem sobie na czterysta metrów. Z tej odległości raczej zawsze trafiałem w wybrany cel. Mówiąc krótko – każdy w naszej jednostce w swojej specjalności naprawdę parł do przodu w tempie, jakiego nikt się w kraju postkomunistycznym nie spodziewał. Byliśmy gotowi, co nie oznacza, że gotowi byli decydenci.

Około miesiąca zapoznawano nas z sytuacją na Haiti, z tym, jakiego typu mają tam kłopoty i po co tam jedziemy. Ale też przynajmniej miesiąc trwały idiotyczne kłótnie między MSW i MON, o których nie chce mi się nawet pisać, bo właśnie w 1994 roku, gdy Bill Clinton

zaproponował Lechowi Wałęsie wysłanie na Haiti polskich komandosów, po raz pierwszy do wszystkich dotarło, że my w ogóle mamy tych komandosów. Nikt nie wiedział, jak wykombinować przepis, który pozwoli jednostce specjalnej podlegającej Ministerstwu… Spraw Wewnętrznych (!) wyjechać na drugi koniec świata i tam paradować z MP5. Ktoś wpadł na pomysł, żeby GROM na czas misji przeszedł spod MSW pod MON. 28 września sekretarz stanu w MON Jerzy Milewski wyszedł do dziennikarzy i ściemnił, że na Haiti poleci taka sobie „grupa operacyjno-manewrowa żandarmerii wojskowej funkcjonującej w ramach MSW". W MSW dostali oczywiście piany, bo uważali, że jesteśmy tacy strasznie tajni, że taka gadka nas totalnie zdekonspiruje. Rząd już jednak zdecydował, że lecimy. Tyle tylko, że jakoś nie zdecydował, kto ma za to zapłacić, no i ministrowie obu resortów zaczęli kłócić się, czyj budżet tym obciążyć. W końcu jednak jakimś cudem dopasowano nam odpowiedni sprzęt, uzbrojenie, zafundowano serię niezbędnych badań oraz szczepień, by pod koniec października wyekspediować nas na Dominikanę. Dlaczego najpierw tam? Zaraz powiem.

Kiedy już załatwiono sprawę kasy, politycy znaleźli nowy temat do kłótni: co zrobić wizerunkowo z tym strasznie tajnym GROM-em, skoro już wszyscy o nim wiedzą. Skończyło się na tym, że pożegnał nas na Okęciu tłum dziennikarzy, a ustawieni byliśmy pod słońce, w ciemnych okularach, żeby było tajemniczo i na bajerze. W dodatku rząd nie był w stanie załatwić wojskowego transportowca, więc polecieliśmy dopiero następnego dnia, po cywilnemu, normalnym samolotem rejsowym do… Londynu, później do Nowego Jorku, a dopiero stamtąd na Dominikanę.

Zakwaterowano nas w amerykańskiej bazie, wśród baraków kontyngentów policyjnych i wojskowych z bardzo wielu krajów, które – jak to się mówi – „realizowały mandat koalicji z USA" w ramach misji na Haiti, noszącej nazwę „Uphold Democracy", pod dowództwem amerykańskiego generała porucznika Davida C. Meade'a z Task Force 190.

Po raz pierwszy w życiu spotkałem tyle egzotycznych mundurów, i wyjściowych, i bojowych, policyjnych i wojskowych. Byli tam ludzie z Beninu, Gwatemali, Indii, Pakistanu, Wysp Świętego Józefa i cholera wie, skąd jeszcze. No i oczywiście Amerykanie. A polecieliśmy na Dominikanę (kraj sąsiadujący z Haiti), żeby się zaaklimatyzować i zgrać ze służbami innych państw pod kątem ostatecznej misji po drugiej stronie wyspy.

Misje pokojowe mają swoją specyfikę. Trzeba bardzo uważać, żeby nie przekroczyć swoich uprawnień, szczególnie dotyczących zasad użycia siły. Jedna głupia wpadka, nie takie machnięcie spluwą i kłopoty gotowe. A przecież chodziło przede wszystkim o to, żeby nie prowokować tubylców do niepotrzebnej agresji.

Mimo że byliśmy dobrze przeszkoleni i wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać, musieliśmy być czujni, bo zawsze mogło się zdarzyć coś nieprzewidywalnego. Standardowe zadania były proste: ochrona oficjeli przybywających na wyspę, poza tym w razie potrzeby udzielanie pomocy medycznej ludności cywilnej, reagowanie na sytuacje konfliktowe i oczywiście permanentne wsadzanie nosa między drzwi, bo maczety, noże, a także broń palna były tu na porządku dziennym.

Dla nas, młodych GROM-owców, była to pierwsza tego typu misja. Po raz pierwszy

zetknąłem się tam z amerykańskimi komandosami z Zielonych Beretów, którzy pomagali nam przez cały czas trwania tej misji. Niektórzy znali nawet trochę język polski (może mieli przodków w naszym kraju?). Byli w porządku. Dopiero kilka lat później przyszło mi zrozumieć, jak ciężkie szkolenie przeszli w Fort Bragg w Karolinie Północnej, żeby zostać amerykańskimi komandosami. Z prostej przyczyny – ja również przeszedłem to szkolenie, tyle że w 2001 roku, zresztą jako pierwszy żołnierz z Polski.

Na początku listopada 1994 roku wylądowaliśmy na lotnisku w Port-au-Prince – stolicy Haiti. Pamiętam piekielny żar lejący się z nieba (powyżej czterdziestu stopni w cieniu) i niesamowitą, parzącą wręcz wilgoć, która w nas buchnęła, kiedy tylko otworzyła się rampa samolotu transportowego Hercules C-130, znanego szerzej pod nazwą Dack, czyli kaczka, ze względu na charakterystyczny dziób kadłuba, naszpikowany zresztą sprzętem radarowym, łącznościowym i noktowizyjnym.

Lotnisko w stolicy Haiti to plama asfaltu z małym, blaszanym, przerdzewiałym hangarem, który robi za tutejszy port lotniczy, udekorowany na górze napisem: WELCOME TO PORT-AU-PRINCE.

Kiedy nieco przyzwyczaiłem się do tej temperatury, przykuły moją uwagę dziwne czterokołowe motory, na których amerykańscy żołnierze jeździli z jednego końca lotniska na drugi. To oczywiście były quady, które u nas w Polsce wojsko nabyło dopiero kilkanaście lat później, ale wtedy nikt w naszym kraju nie miał o nich pojęcia. Ciekawe było też cmentarzysko wycofanych z użycia samolotów pasażerskich – zarośnięte trawą, leżące jeden obok drugiego, czasem złamane w pół tkwiły do wiecznego nigdy tuż za pasem do kołowania.

Czekaliśmy chyba ze trzy godziny na naszych łącznikowych, dzięki czemu zdążyliśmy się tak opalić, że jeszcze chwila, a nikt nie odróżniłby nas od tubylców. Przyjechali w starych, zielonych, terenowych chevroletach, chyba najbardziej benzynożernych samochodach, jakie w życiu spotkałem. Amerykanie nie mają pojęcia o oszczędzaniu paliwa.

Po godzinie jazdy po mieście dotarliśmy do naszej bazy. Nie mieszkaliśmy w dużej bazie amerykańskiej, tylko w starym hoteliku turystycznym dwadzieścia kilometrów za miastem. Mówiąc „hotel”, trochę przegiąłem. Może kiedyś nim był. Teraz trudno tu było znaleźć działające gniazdko, nie wspominając o klimatyzatorze. Nie przeszkadzało nam to – chrzanić, nie przyjechaliśmy na wczasy. Pokoiki nie były złe, dało się tu wytrzymać. W tym czasie w Polsce spaliśmy w ruskich namiotach – i dawaliśmy radę.

Najfajniejsze było lazurowe Morze Karaibskie, nad którym były te nasze koszary. Korzystając z pierwszej wolnej chwili, poszedłem na molo. Było drewniane, miało kształt kwadratu i było w dość dobrym stanie. Wychyliłem się za barierkę i… absolutny odjazd! Idealnie czysta, lazurowobłękitna woda. Pływały w niej tropikalne ryby w różnych kolorach, na przykład czerwone czy żółte w białe paski – jakbym nagle wylądował w scenerii jak z pocztówki z egzotycznego kraju.

Następnego dnia pułkownik Petelicki zarządził zbiórkę na placu koszarowym, czyli… dziedzińcu hotelu. Uroczyście wciągnęliśmy polską flagę na maszt. Potem zaczęła się zasadnicza odprawa. Pułkownikowi najbardziej zależało na naszym bezpieczeństwie.

Stanowczo naciskał, aby niepotrzebnie nie wplątywać się w ryzykowne sytuacje, nie szukać kłopotów, trzymać się tego, po co tu przyjechaliśmy. Wtedy opinia publiczna w kraju nie była przyzwyczajona do takich misji. Gdyby stało się cokolwiek niedobrego, to byłby to doskonały pretekst do tego, żeby nas stąd natychmiast wycofać, a i pewnie od razu rozformować. GROM, jak mówiłem, drażnił generałów z MON. Kiedy decydenci debatowali, czy nasi komandosi będą gotowi za pół roku, czy za rok, Petelicki przygotował nas w trzy tygodnie, co doprowadziło ich do szału. Zresztą poza wszystkim innym mieliśmy tu pomagać Haitańczykom, a nie straszyć kogokolwiek.

Petelicki nakazał także zrobić z ośrodka, w którym mieszkaliśmy, poprawnie ufortyfikowaną bazę wojskową. Trzeba było tu i ówdzie umocnić stanowiska obronne i wystawić na rogach uzbrojone warty z bronią. Pomysł, żeby w narożnikach wzmocnić otaczający nas mur workami z piaskiem, nie był zły, tyle że tu nigdzie nie było piasku. Wybrzeże było kamieniste, a dookoła nas rozciągało się klepisko z twardej, wypalonej słońcem gliny. Nigdzie nie dało się nawet wbić łopaty. Następnego dnia zorganizowaliśmy więc wypad po piach, ale jechaliśmy chyba ze czterdzieści kilometrów wzdłuż nabrzeża wyspy, zanim znaleźliśmy w końcu małe wyrobisko, gdzie napełniliśmy nasze worki. To nie było wcale proste. Pracowaliśmy wtedy cały dzień, jak skazańcy w kamieniołomach.

W naszej „bazie” rozłożyliśmy jeszcze dodatkowo concertinę na murze i po paru dniach kurort nad Morzem Karaibskim przeistoczył się w dość dobrze chronioną bazę wojskową. Ostatni raz polskie wojska były na Haiti, gdy na rozkaz Napoleona Bonaparte tłumiły kreolską rebelię. Ale teraz byliśmy tu my, w zupełnie innym celu.

Wtedy w Polsce mało kto orientował się, o co chodziło w konflikcie na Haiti, a i dzisiaj Polacy raczej niewiele o tym wiedzą. Może więc warto krótko przypomnieć, na czym polegały kłopoty. W 1990 roku pierwszym wybranym w demokratycznych wyborach prezydentem Haiti został Jean-Bertrand Aristide – polityk, ale także były ksiądz, teolog wyzwolenia. Teologia wyzwolenia to – w dużym uproszczeniu – doktryna rozpowszechniana przez niektórych księży katolickich, głównie w Ameryce Środkowej i Południowej, głosząca teorię odwiecznej walki klas i przedstawiająca Chrystusa jako rewolucjonistę przynoszącego wyzwolenie i ogólnospołeczny egalitaryzm. Łączenie marksizmu z chrześcijaństwem średnio się spodobało Janowi Pawłowi II, więc zdecydowanie zabronił księżom katolickim głoszenia tej ideologii. I tak pierwszy wybrany przez naród prezydent Haiti przestał być księdzem. Sęk w tym, że dość szybko przestał być także prezydentem, bo obaliła go junta wojskowa (wiesz, każdy szanujący się kraj w Ameryce Łacińskiej ma jakąś juntę), która wprowadziła dyktaturę lub – jak kto woli – reżim wojskowy z niejakim Raoulem Cédrasem na czele. Walka o przywrócenie władzy Aristide’a trwała dość długo, bo aż do 1994 roku, kiedy to Stany Zjednoczone doprowadziły do obalenia (lub przekupienia, jak twierdzą nieoficjalne źródła) Cédrasa. Wtedy Aristide wrócił do kraju, by objąć urząd, bo choć USA nie były zachwycone chrześcijańskim marksistą na tym stanowisku, to jednak doceniły, że został wybrany legalnie i demokratycznie przez własnych obywateli. Na Haiti sytuacja społeczno-polityczna była w tym momencie mocno rozchwiana, więc Aristide poprosił ONZ o pomoc. I z tej właśnie

okazji pojawiliśmy się na wyspie między innymi my.

Haiti – wyspa piekielna

Na Haiti dzień zaczyna się nagle, w ciągu jednej minuty, i równie nagle się kończy. Właściwie nie ma poranka ani wieczora. Słońce wschodzi gwałtownie, kończąc noc w mgnieniu oka. A i w nocy księżyc jest dziwnie przepołowiony, nie w pionie, jak u nas, tylko w poziomie. Fascynujący widok.

Oficjalnie GROM miał ochraniać ważne osobistości, ale nasze codzienne zadania polegały głównie na patrolowaniu ulic Port-au-Prince i utrzymaniu w miarę normalnego rytmu życia Haitańczyków. Rozładowywaliśmy lokalne konflikty, staraliśmy się łagodzić napięcia pomiędzy miejscową ludnością, a czasem po prostu usuwaliśmy korki na skrzyżowaniach. - Haitańczycy dostali w ramach pomocy międzynarodowej trochę darmowej ropy, więc masowo zasiedli za kierownicami rzęchów, które trudno by było Europejczykowi nazwać samochodami, i zaczęli jeździć. Niestety, nie mieli najmniejszego pojęcia o jakichkolwiek przepisach, więc pruli, jak chcieli – raz z prądem, raz pod prąd, żeby tylko się przepchać dalej. Na skrzyżowaniach tworzyło się (wiem, że trudno w to uwierzyć) kilka pasów ruchu na teoretycznie jednopasmowej jezdni – trzy, cztery, a czasem nawet i pięć pasów! Istnym cudem było przejechać przez skrzyżowanie i na koniec mieć w samochodzie całe lusterko. No i nauczyliśmy się jeździć na tak zwane lusterko, czyli tak wykorzystywać każdą możliwą lukę, żeby się przebić naszym pick-upem. A ponieważ było ciasno, to czasem wyciągaliśmy dłonie i składaliśmy lusterka, żeby ich nie urwać czy nie uszkodzić w razie otarcia o samochody jadące obok. Trzeba było uważać, by przy tym nie stracić i łapki z paluszkami. Krótko mówiąc, jazda na lusterko to umiejętność poruszania się w minimalnej odległości od innego pojazdu i w ogóle od innej przeszkody znajdującej się z boku, na przykład ściany. Weszło mi to w krew i mam to do dzisiaj. Przydało się później w Polsce… he, he.

Stolica Haiti była w tym czasie miastem bardzo niebezpiecznym. Tubylcy strzelali do siebie z byle czego, siekali się nawzajem maczetami, obrzucali granatami. Wszystko po to, żeby odebrać drugiemu rower, koszulę czy worek z kaszą. Więc zszywaliśmy im rany po nożach, składaliśmy do kupy po postrzałach; jak się dało – staraliśmy się temu wszystkiemu zapobiegać. Ludzie ci byli potwornie biedni, niszczeni latami przez bezwzględny reżim. Mówiono nam na szkoleniu, że tu czas zatrzymał się jakieś czterdzieści lat temu, i to w stosunku do regionu, nie mówiąc już o jako tako cywilizowanym świecie.

Któregoś ranka, kiedy jechaliśmy z kolegami na patrol na drodze na przedmieściach, zatrzymaliśmy się, żeby przepuścić kobietę niosącą na głowie koszyk. Była zupełnie naga. Przeszła przed maską naszej terenówki, patrząc mi prosto w oczy. Do dziś pamiętam ten

spokojny, chłodny, zgaszony wzrok. Ona po prostu nie miała nawet na ubranie. Kobiety często tu były okradane, gwałcone, bite.

Ranny Haitańczyk. Nasz patrol po ulicach Port-au-Prince

Innym razem, podczas patrolu w uboższej dzielnicy Port--au-Prince, usłyszeliśmy krzyki, i to całej grupy kobiet. Dojechaliśmy do tego miejsca. Kobiety krzyczały i nerwowo wymachiwały rękami, próbując wytłumaczyć nam, że potrzebują pomocy. Kłopotem okazał się wielki, chociaż chudy jak szczapa Murzyn. Zaczęliśmy z nim negocjować, ale nic do niego nie docierało. Był tak nieprzemakalny, że koniec końców musieliśmy go rzucić na glebę, skuć kajdankami i odstawić do miejscowego aresztu, zorganizowanego przez chłopaków z Indii. Kobiety się uspokoiły.

„Dziki", „Bisu", „Ciemny" i ja jako jedyni znaliśmy wtedy trochę niemiecki i angielski, więc po pewnym czasie przydzielono nas do współpracy z amerykańską MP (Military Police) z 10. Dywizji Piechoty Górskiej – mieliśmy „wzmocnić wspólne polsko-amerykańskie relacje i usprawnić wymianę informacji na temat tutejszej sytuacji". A tak już bez metafor – zostaliśmy wyekspediowani do ochrony VIP-ów. Konkretnie znaleźliśmy się w grupie zajmującej się bezpośrednią ochroną głównodowodzącego całą operacją na Haiti generała Davida Meade'a. Dzień w dzień jeździliśmy o piątej rano do bazy amerykańskiej i tam dołączaliśmy do Amerykanów z MP. Ich było też czterech: „Kraus", „Gruby Bob", „Roger" i „Harry". Byli okej. Pamiętam, jak kiedyś czekaliśmy na przylot Williama Perry'ego – sekretarza obrony USA, który wizytował misję na Haiti. Staliśmy w kordonie ochronnym na amerykańskich hummerach i właściwie nic się nie działo. Oczywiście pułkownik Petelicki też tam był, ale bezpośrednio na płycie, wśród witających. Zerknąłem na „Krausa", który jak zwykle coś tam żuł, a że nie za bardzo było co robić, więc choć do tej pory specjalnie się tym nie interesowałem, postanowiłem go zapytać, co to takiego. Przez moment jakby nie usłyszał. W końcu nie wytrzymałem i mówię wprost:

– Może dałbyś mi spróbować tego, co tam żujesz?

– *No problem. Take some*.

No to otworzyłem małe, okrągłe, brązowe pudełko, które mi dał, wyjąłem trochę tego, co tam było, i zacząłem żuć. Wreszcie, nie za bardzo wiedząc, czemu ma to służyć, połknąłem świństwo, i niestety był to duży błąd. „Kraus" jakoś nie był uprzejmy mnie ostrzec, że tego się nie łyka. W kilka sekund byłem tak nawalony, jakbym duszkiem wypił całą butelkę wódki. „Gruby Bob" ze zdumienia miał oczy jak pięciozłotówki, ale „Krausa" to cholernie bawiło. Rechotał tak, że myślałem, że się w końcu udławi ze śmiechu. Wreszcie nieco spoważniał i rzucił do mnie konspiracyjnym szeptem:

– Wyłaź z hummera, twój dowódca tu idzie.

Nadludzkim wysiłkiem zebrałem wszystkie dostępne mi siły, żeby stoczyć się jakoś z hummera i wylądować przed Petelickim. Utrzymanie pionu sprawiało mi cholerną trudność, ale to był najmniejszy z problemów. Pułkownik przyprowadził ze sobą jakiegoś innego amerykańskiego oficjela, aby przedstawić mu żołnierza w polskim mundurze, który „dzielnie" wykonuje swoje zadania w ochronie generała Meade'a. Nie wiem, jakim cudem udało mi się przyjąć zasadniczą postawę, a nawet zasalutować, ku własnemu zaskoczeniu wcelowując palcami we właściwe miejsce patrolowej czapki. Dalej już zaczęły się schody, bo nie dość, że ledwo ich widziałem, to jeszcze miałem podwójny, zamazany obraz przed sobą i nie mogłem

znaleźć sposobu na to, jak przechwycić wyciągniętą dłoń Petelickiego, żeby się przywitać. Stara prawda zaprawionych w boju mówi: jeśli widzisz podwójnie – celuj w środek. Tak też zrobiłem. I udało się! Obawiam się, że reszty już nie pamiętam… Gdy wróciłem do mojej ekipy, wszyscy dusili się ze śmiechu. A ja plułem i parskałem, bo chciałem się pozbyć świństwa. Przynajmniej tego, co zostało mi w ustach. Jeszcze przez godzinę byłem nawalony jak meserszmit.

Mało kto pamięta, że zwyczaj żucia tego typu tytoniu przyjechał do Polski z nami, GROM-owcami, właśnie z Haiti. Później, podczas ćwiczeń w kraju z innymi polskimi żołnierzami, nawyk ten się upowszechnił. Do dziś można spotkać u nas żołnierzy żujących to świństwo. Dlaczego ludzie żują tytoń? Pozwala to rozładować stres i napięcie, a po kilku sekundach człowiek jest już odpowiednio pozytywnie rozkojarzony. Co ciekawe, ten rodzaj używki nie jest u nas w wojsku zabroniony, ale nie wolno tego łykać, bo odfrunie się do krainy nigdy-nigdy na co najmniej dwie, trzy godziny. A wtedy może człowieka ominąć coś, czego bardzo nie chciałby przepuścić.

Czasem jeździliśmy w asyście ochronnej z generałem Meade’em przez całą dobę, czasem tylko w nocy, ale z reguły zjeżdżaliśmy na wieczór do naszej bazy nad morzem. W ten sposób prawie codziennie pokonywaliśmy dystans co najmniej trzydziestu kilometrów w jedną stronę. Więc po drodze z naszego „hoteliku” do lotniska Port-au-Prince, przy którym wybudowano bazę Amerykanów, można było – jak by to powiedział romantyczny turysta – podziwiać haitańską ulicę.

Zwykle z rana czuć tu było świeżą morską bryzę. Robiło się chłodniej, przyjemniej. W czasie jazdy niemal codziennie przyglądałem się miejscowym sprzedawcom handlującym warzywami, owocami i chudym bydłem. Woły i kozy stojące na takich targach były przeraźliwie zaniedbane. Trudno mi dzisiaj zdobyć się na rzeczową ocenę, czy bardziej podziwiałem, że wychudzone, ciemnoskóre kobiety pracują ponad siły i z odległych wiosek niosą na głowach duże, płaskie kosze wypełnione stosami towarów, czy jednak dominowało we mnie zwykłe, ludzkie, choć duszone w wojskowym serduchu, przerażenie, że w dwudziestym wieku istnieją na świecie miejsca takie jak to. Byłem wtedy młodym oficerem na pierwszej poważnej misji. Choć pewnie wielokrotnie powtarzano ci to zdanie, nie obawiam się powtórzyć go jeszcze raz: taka wycieczka uczy nieporównywalnie szybciej i lepiej niż jakakolwiek, nawet najzręczniej podana teoria – tym różni się rzeczywistość od obrazków z telewizyjnych serwisów informacyjnych.

„Dziki", „Bisu", „Ciemny" i ja razem z Military Police z 10. Dywizji Piechoty Górskiej. Pośrodku, w pierwszym szeregu, generał David C. Meade. 1994 rok

Czasem musieliśmy się wciskać w wąskie alejki miejscowego targowiska. Nasze terenowe chevrolety miały potężne koła, były dość szerokie i trzeba było bardzo uważać, żeby nie zrobić krzywdy handlującym ludziom i nie zniszczyć porozkładanych na poboczach i trochę też na ulicy, przeznaczonych do sprzedania, niewielkich – ale dla tych ludzi wartych więcej niż własne bezpieczeństwo – stosów bananów, cytrusów i kawałków wychudzonego mięsa. Zwykle schodziliśmy wtedy z pojazdów, aby się ubezpieczać od zewnątrz, i wolniutko szliśmy, dając odpowiednie wskazówki kierowcom, by uważali na tubylców i ich skarby. Tu wszystko nosiło się w plastikowych lub wiklinowych misach, umieszczonych na białych zawojach. Czasem kobiety podtrzymywały je dwoma rękami, czasem jedną, ale większość chodziła wolno, z gracją i z opuszczonymi rękami, jakby w ogóle nic nie miały na głowach. W miejscach takich jak Haiti oczywiście główną rolę odgrywa handel żywnością, ale mnie z tego targu utkwiła w pamięci sylwetka wyrzeźbionego małego Kreola w kapelusiku, grającego na długim, zrobionym z drewna bębnie, oraz uwodząco tańczącej tuż przy nim, wdzięcznej, czarnej kobiety. Niezwykłe. Erotyka, taniec, piękno kobiecego ciała zatrzymane w czasie, a obok przerażająca bieda piekielnej wyspy. Na brudnych, cuchnących, zapiaszczonych i zaśmieconych ulicach wszędzie można było dostrzec wychudłe psy i brodzące w śmieciach świnie, których nikt nie miał czym karmić. Zwykle zwierzęta płacą za ludzką biedę podobnie wysoką cenę. Najgorsze było to, że wsparcie nas wszystkich, którzy tam przyjechaliśmy, było tylko kroplą w morzu potrzeb. Być może jeszcze przez długie lata niczego sensownego nie da się tam zrobić, ale trzeba próbować. Bo przecież w stolicy Haiti

można było także spotkać zadbane posesje, tyle że na razie otoczone, niczym fortece, wysokimi na co najmniej trzy metry murami, z zacementowanymi na górze kawałkami szkła z potłuczonych kolorowych butelek. Te domy nie zawsze należały tylko do ludzi związanych z byłą juntą. Wyjeżdżasz z dzielnicy biedy, za chwilę mijasz te zamożne wille i nagle widzisz wybiegających właśnie na ulicę ze szkoły kreolskich uczniów, ubranych w przepiękne, jasne, czyste i zadbane mundurki szkolne, czasem lśniąco żółte, a czasem białe w groszki. Kiedy już dochodzisz do przekonania, że na wyspie mieszkają tylko dzieci ślepego, chybionego Boga – trafiasz na taki widok. I nie wiesz już, co myśleć. Jedziemy dalej.

Nasza stała trasa wiodła wzdłuż małej zatoki, tuż przy porcie. To tu Amerykanie dostarczali tankowcami ropę. Na końcu długiego betonowego pomostu, daleko wysuniętego w lazurowe morze, zawsze stał co najmniej jeden olbrzymi statek. Po lewej stronie betonowego mola była błotna, zielonkawa mielizna, spory teren tuż za wysypiskiem śmieci, który właśnie mijaliśmy. Tu zobaczyć można było całe setki, a czasem tysiące różowych flamingów. Widok zapierający dech w piersiach.

Powiedziałem kiedyś do mojego kolegi, że może jednak mamy szczęście, bo za taki widok turyści zwykle musieliby zapłacić kupę kasy, a my mamy to wszystko za darmo. Tyle że zanim Haiti stanie się turystycznym rajem, minie sporo czasu.

Za portem ponownie wjeżdżaliśmy w miasto, mijaliśmy stałe elementy krajobrazu, na przykład stojący niedaleko drogi stalowy kontener, podparty na metalowych nogach. Pod tą ogromną skrzynią zwykle spali leniwie miejscowi chłopcy. Układali się jak śledzie, jeden obok drugiego, w cieniu naczepy, żeby uniknąć nadchodzącego upału. Pewnie po pracy, a czasem może po zabawie. Było ich chyba z siedmiu. Któregoś dnia wieczorem wracaliśmy jak zwykle do siebie, ale tym razem kontener był zasłonięty przez tłum ludzi. Widać też było kręcących się pospiesznie wojskowych. Spojrzałem z góry, ponad głowami tłumu, na naczepę, która już niczym nie była podparta. Tkwiła na ziemi, a pod nią, jak pod dużą metalową trumną, znajdowały się ciała chłopców, którzy nie zdążyli nawet zareagować. Gdzieniegdzie wystawały stopy, fragmenty rąk. Teraz trzeba było zorganizować dźwig, który to wszystko podniesie. Lepiej, żeby nie było tego tłumu, kiedy już dźwig zrobi, co trzeba.

Po kilku dniach pobytu na Haiti przywykliśmy do tego, że podniecony tłum prosił nas często o pomoc, i to w bardzo różnych sprawach. Któregoś dnia, kiedy jechaliśmy koło punktu Amerykańskiej Służby Cywilnej wydającej żywność, jakieś dwie puszyste Kreolki, z wyraźnym niepokojem na twarzach, zaczęły machać rękami w naszym kierunku. Dowódcą polskiej czwórki był tego dnia „Dziki” – stanowczy, twardy żołnierz, bardzo zasadniczy w swoim zachowaniu, typ legionisty. Ja z kolei siedziałem za kółkiem, więc gdy zobaczyłem wołające o pomoc babiny, zatrzymałem samochód i spojrzałem na „Dzikiego” w oczekiwaniu na jakąś decyzję. Dowódca uchylił drzwi ze swojej strony, zorientował się, o co chodzi, i rzucił w naszą stronę:

– Mamy tu czarną kobietę leżącą na chodniku, chyba jest w bardzo zaawansowanej ciąży.

Okej. Załadowaliśmy mamuśkę na otwartą skrzynię samochodu i zerkając co pewien czas do tyłu, jak sobie radzi, zasuwaliśmy do szpitala. Miała trochę niewyraźną minę, czasem

krzywiła się z bólu, ale kiwała nam głową i mówiła po francusku, że chyba jest w porzo. No dobra, jedziemy. Tym razem „Dziki” usiadł za kierownicą, a mnie kazał obserwować babkę, żeby nie wywinęła jakiegoś numeru. „Bisu” i „Ciemny” jechali za nami z tyłu. Patrzę któryś tam raz we wsteczne lusterko i tym razem widzę, że kobieta zaczyna krzyczeć wniebogłosy, i już nie mam wątpliwości. Odwracam się do „Dzikiego” i mówię:

– Słuchaj, ta laska z paki zaczyna rodzić!

– Co ty gadasz? Nie rób sobie ze mnie jaj i pilnuj babki, dopóki nie dojedziemy.

– „Dziki”, kurwa, zatrzymaj samochód, bo tam już główkę dzieciaka widać!

Spojrzał w lusterko wsteczne i zatrzymał terenówkę. Nadął się, poczerwieniał, nabrał powietrza, po czym wydał mi oficjalny rozkaz, żebym wszedł na pakę samochodu i… odebrał poród!

Szczena mi opadła.

– „Dziki”, tym razem to chyba ciebie pokręciło. Ja nie mam o tym pojęcia! Nigdy nie odbierałem porodu, a już na pewno nie na ulicy!

– Zachrzaniaj na tę pakę! – Upierał się. – Będziesz miał debiut.

Odpiąłem od pasa bojowego przyczepioną małym stalowym karabińczykiem swoją parę rękawic i wskoczyłem na tylną skrzynię pick-upa. Na Haiti sto czterdzieści tysięcy ludzi ma HIV, więc na wszelki wypadek musiałem uważać na jej krew. „Bisu” podbiegł szybko do nas, a ja z przerażeniem w oczach gapiłem się na kobitę.

– Idź może po kogoś, kto się na tym choć trochę zna. Albo co…?! – rzuciłem mu przez ramię, chociaż nie miałem najmniejszej nadziei, że coś wykombinuje. A laska wrzeszczała już tak, że byłem gotów brać się za dzieciaka i w jakikolwiek sposób, ale jej pomóc. „Bisu” zniknął, ale po kilku chwilach przyprowadził pielęgniarkę, i to w szpitalnym fartuchu!!!

Po raz kolejny opadła mi szczęka.

– Skąd ty ją tu wytrzasnąłeś?!

„Bisu” spojrzał na mnie i rozłożył swoje czarodziejskie ręce.

– No wiesz, jak jest…

Byliśmy uratowani. Pielęgniarka sprawnie odebrała poród. Urodził się piękny chłopak. Zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcia z nowym koleżką i ruszyliśmy zawieźć to całe towarzystwo do amerykańskiej bazy przy lotnisku. Tam dziewczyny ze szpitala, w kitlach z czerwonym krzyżem, oczywiście nie darowały sobie:

– Polacy… – chichotały. – Dopiero od miesiąca na Haiti, a już zdążyli zmajstrować dzieciaka…

Noworodek, który urodził się na naszym patrolu. Port-au-Prince

Supermarket

W czasie codziennej jazdy do bazy mijaliśmy mniej więcej w połowie drogi miejsce znane jako „supermarket”. Było to miejscowe wysypisko śmieci. Wielka góra syfu na przedmieściach Port-au-Prince, niestety wrastająca brutalnie w rzadkiej urody panoramę morza. Pierwsze, co się tu rzucało w oczy, to niezliczona liczba śnieżnobiałych mew, latających i przysiadających od czasu do czasu na zboczach ponurej piramidy odpadków. Zresztą nie tylko mewy tu krążyły. Wielka chmura ptactwa co jakiś czas wznosiła się nagle i podnosiła wrzask trudny do opisania, bo pośród tej kotłowaniny różnego gatunku ptaszydeł pracowały mozolnie dwa olbrzymie żółte spychacze na gąsienicach, próbujące przesuwać zwały śmieci i ścisnąć wszystko tak, by góra jak najwolniej się rozrastała. Niemal o każdej porze widać było sylwetki wielu ludzi, którzy zbierali do ciągniętych za sobą worków wszystko, co tylko się dało.

Niestety, w okolicach „supermarketu” miałem nieszczęście odbyć jedną ze swoich najbardziej śmierdzących (to nie pomyłka w druku) akcji „bojowych”. Tego dnia dość wolno jechaliśmy hummerami, gdy nagle przebiegł tuż przed nami czarnoskóry tubylec. Niby biegać nikt nikomu nie zabraniał, ale ten człowiek trzymał pod ręką jakieś pudełko i rwał do przodu z takim impetem, że raczej nie chodziło o jogging. Gdy śmignął przed nami i był już dobre kilkadziesiąt metrów dalej, zauważyliśmy dwóch amerykańskich marines, którzy do nas machali i wyraźnie prosili o pomoc. Wyglądało na to, że chyba gonią złodzieja. Pierwszy wyskoczył „Bisowy” i pomknął za uciekinierem, ale z kabury wypadł mu na ulicę pistolet, czego chyba nie zauważył. „Dziki” natychmiast zebrał jego broń, a ja pobiegłem za „Bisem”, krzycząc do chłopaków, żeby zostali w samochodach. Parę metrów za nami oczywiście wciąż biegli Amerykanie. Murzyn był szybki, ale wyraźnie już zmęczony i „Bisu” zaczął go doganiać. Wpadliśmy na suche klepisko z czerwonej gliny.

– „Bisowy”! – krzyczę z tyłu. – Pistolet! Nie masz pistoletu! Uważaj na karabinek, bo nie masz zapasowej broni!

Ale Murzyn nawet nie próbował podjąć walki, skręcił z lewej strony rozłożystej palmy i spieprzał, ile sił w nogach. „Bisowy” dalej gonił za nim, a ja postanowiłem zmienić kierunek i pobiec od prawej strony, aby facetowi odciąć drogę ucieczki. Zasuwam więc pełnym sprintem, aż kurzy się spod moich butów. Widzę już przed sobą tego Murzyna i wrzeszczę:

– Stop! Halt! Arrête!

Facet rzucił pudełko, widząc, że już we czterech go ścigamy, ale uciekać nie przestał. Więc zachrzaniam za nim dalej i wbiegam na coś, co wydawało się z daleka płaską, popękaną nawierzchnią z gliny, ale im dalej, tym wyraźniej dochodzi do mnie, że dziwna ta powierzchnia, a moje nogi stają się coraz cięższe, bo zaczynam się zapadać, a już po kilku sekundach – topić w jakimś bagnie, co najgorsze, cholernie śmierdzącym. Teraz już stało się jasne, że z pełnym zaangażowaniem polskiego żołnierza wbiegłem w największe gówno, z jakim przyszło mi się zmagać. Wesoło przestało być już dawno, ale teraz zaczęło być wręcz tragicznie, bo niemal całe ciało miałem już zatopione i tylko głowa wystawała mi ponad

powierzchnię. Znieruchomiałem. Tak trzeba, kiedy zaczynasz się topić w bagnie. Im szybsze wykonujesz ruchy, tym szybciej idziesz na dno. Jeśli znieruchomiejesz, da ci to trochę czasu – może nie za wiele, ale czasem to ratuje życie. Więc tkwię w głębokim gównie, nie wykonuję żadnych ruchów ciałem, ale oczywiście powoli idę na dno, tonę. Niedobrze. Nie dość, że właśnie ginę, to jeszcze w tak śmierdzących okolicznościach! Ledwo nabieram powietrza. Nadbiegają dwaj Amerykanie, „Bisowy" i co? I gęby im się cieszą, jakby było z czego. Rżą, jakby wyrwali się z podstawówki. Wreszcie podają mi karabinek M16, żebym złapał za jego lufę, i – z niemałym zresztą wysiłkiem – wyciągają z tego gówna. Nie bez trudności stanąłem na własnych nogach, a oni dalej pękają ze śmiechu. Jak się okazało, wbiegłem prosto w zaschniętą na powierzchni świńską gnojówkę.

Do tej pory, gdy mi się to przypomina, mam ochotę puścić pawia. Ledwo mnie chłopcy domyli szlauchem w bazie paliwowej u Pakistańczyków. I tak potem jeszcze długo odwracali się ode mnie, zatykając nosy.

A Murzyn ukradł Amerykanom z hummera przenośną radiostację w pokrowcu. Myślał pewnie, że to pudełko z żywnością. Ja oczywiście później dokładnie się wyszorowałem, ale miałem wrażenie, że dopiero w Polsce pozbyłem się tego całego brudu. Z każdego możliwego punktu widzenia, jeśli wiecie, o czym mówię.

Wizyta u wodza, huragan Gordon, o krok od przepaści…

Gdy już od kilku tygodni byliśmy w składzie bezpośredniej ochrony generała Meade'a, dość często lataliśmy śmigłowcami Black Hawk nad całym terytorium Haiti. Żaden z polskich żołnierzy wcześniej nie latał na „czarnych jastrzębiach", a jazda to była przednia! Siedzieliśmy na podłodze z nogami wypuszczonymi na zewnątrz helikoptera i podziwialiśmy wyspę z lotu ptaka. *Cool!* Naprawdę odjazd.

Najczęściej akcje polegały po prostu na tym, żeby pilnować generała, który latał po wyspie i spotykał się z różnymi osobistościami, czasem dość egzotycznymi, nawet jak na Haiti. Podam przykład. W czasie jednej z takich akcji wylądowaliśmy w północnej części wyspy, gdzieś, gdzie raczej jakakolwiek cywilizacja bardzo dawno nie zaglądała. Po wysiadce ustawiliśmy się w szerokim szyku okrężnym; w środku kroczył generał ze swoim adiutantem, a całość prowadził „Kraus". Przez pewien czas posuwaliśmy się po prostu wzdłuż plaży. Pamiętam, jak w pewnym momencie zauważyliśmy leżącego na piasku trzymetrowego rekina. Skórę miał jak mała mysz – delikatną, różową, pomarszczoną. Wyglądał dziwnie. Po *Szczękach* jakoś inaczej sobie wyobrażałem rekina. Miejscowi rybacy coś tam koło niego robili. Maszerowaliśmy górnym pasem, przypominającym drogę. Ziemia wokół była czerwona, wypalona słońcem i – mimo bliskości morza – sucha. Przeszliśmy obok kilku prymitywnych domów z trzciny. Minęła nas po drodze starsza czarna kobieta w stożkowatym słomianym kapeluszu, jadąca na grzbiecie wyraźnie zmęczonego życiem osła. Nogi trzymała po jednej stronie grzbietu biedaka, podskakiwała jakoś tak nie w rytmie. Zachowywała się tak, jakby nas nie zauważyła. Wszystko tu było inne niż w mieście, także ludzie.

Naszym celem były odwiedziny u tutejszego wodza. Dotarliśmy tam bez problemu, a na

miejscu było ogólnie miło i spokojnie. Nikt się tu nie denerwował, do nikogo nie strzelał ani – z tego, co wiem – nie kradł jedzenia. Generał, zgodnie z planem, spotkał się z wodzem, o czymś tam z nim gadał, a my staliśmy na zewnątrz i pilnowaliśmy, żeby wszystko grało. Adiutant generała w tym czasie rozstawił czarny siatkowaty, metalowy kwadrat z promiennikiem w środku, który robił za antenę satelitarną. Nadał meldunek sytuacyjny do głównej bazy, odległej o mniej więcej sto kilometrów. Z przodu otaczał nas bezkres niebieskiego morza, z tyłu – pustkowie, z pojedynczymi palmami i chatkami, rozlokowanymi rzadko na czerwonym, ziemnym klepisku. Słońce świeciło ostro, a jaskrawozielone kępy bananowców i palm daktylowych mieniły się w jego promieniach. Wokół biegały dzieciaki. Czasem wdrapywały się na dach prowizorycznej chaty i przyglądały się nam z góry. Tu, w tej dziczy, świat się chyba zatrzymał na zawsze – pomyślałem. – Może i dobrze?

Chłopcy przydzieleni do patrolowania Port-au-Prince często mieli robotę bardziej monotonną niż my, ale bywało też i tak, że – przynajmniej teoretycznie – bardziej przypominającą akcje antyterrorystyczne. Pewnego dnia paru miejscowych cwaniaków, konkretnie ochroniarzy pozostałych po obalonej juncie wojskowej, wzięło jako zakładników kilka kobiet. Ale gdy tylko nasi pojawili się w pobliżu, ubrani w czarne kombinezony i w pełnym rynsztunku, tamci zniknęli szybciej, niż się zjawili. I tu cytat z komandosa: „tylko smród po nich pozostał”. Sprawa się rypła i skończyło się na śmiechu. Satyra, a nie terroryści, ale może to i lepiej…

Później nadeszła pora deszczowa i lało przez dwa tygodnie bez przerwy. Ziemia tak nasiąkła, że z urwisk zaczęły się uwalniać kamienie i ogromne głazy. Na drogach zrobiło się niebezpiecznie. Polska prasa napisała później, że „polscy żołnierze przeżyli atak tajfunu Gordon!”. A fakt! Lało i wiało bez przerwy. Nasz „hotel” umiejscowiony był nad morzem, ale i u podnóża wielkiej ściany górskiej, od której dzieliła nas tylko wąska asfaltowa droga z południa, przez Port-au-Prince, na północ. Gordon napieprzał na całego, ale prawdziwe zagrożenie sprowadził dopiero na dwa dni przed swoim końcem. Tej nocy obudził nas wyjątkowo silny grzmot spadających kamieni i kiedy wybiegliśmy z naszych pokojów, całe tony głazów, w pełnym pędzie i z potężnym hukiem, już tłukły w ściany budynku. Nie byłoby jeszcze aż tak źle, gdyby ze ściany górskiej nie oderwały się dwie naprawdę wielkie bryły skalne. Pierwsza ledwo minęła hotel (wielkie nasze szczęście!) i wyryła szeroki korytarz, tnąc i gniotąc wszystko na swojej drodze, aż do morza. Druga, nieco mniejsza, rąbnęła w hotel, ale też dość szczęśliwie, bo tylko w jego prawy róg – od tej pory był to stały element fundamentu. Głaz dosłownie wpasował się w ścianę, przy okazji wszystkich nas w tym momencie podrzucając na korytarzu do góry. Emocji dalej tej nocy nie brakowało, ale do rana jakoś przetrwaliśmy.

Baza GROM-u na Haiti. Stoję na posterunku w Port-au-Prince. Ulewne deszcze nie mają końca

Dwa dni później przestało padać i wznowiliśmy swoje patrole, ale łatwiej wcale nie było. Pamiętam, jak dwóch naszych kolegów wyjechało rano samochodem, a wrócili na piechotę, bo ich wóz, kilometr od bazy, zasypało osuwisko ziemi i błota i ledwo uszli z życiem. Tropikalny żywioł uspokajał się bardzo powoli i jeszcze potrwało, zanim wszystko wróciło do normy. Oczywiście, haitańskiej normy.

Kilka dni po tym wydarzeniu amerykańskie spychacze udrożniły drogę do Port-au-Prince i znowu mogliśmy pojechać do bazy przy lotnisku. Ale gdy po południu wracaliśmy po robocie, okazało się, że droga znów jest zasypana, tyle że tym razem tuż przy wyjeździe z miasta. Musieliśmy więc wykombinować inną drogę, żeby dostać się do hotelu. Siedziałem wtedy za kierownicą i powoli prowadziłem kolumnę, jak się później okazało – na szczęście! Mapa wskazywała, że znajdowaliśmy się na właściwej, teoretycznie bezpiecznej drodze. „Dziki" śledził na niej wszystkie zakręty, a ja, próbując mu pomóc, od czasu do czasu zerkałem, jak to robi. Nagle wrzasnął:

– Hamuj!!!

Ulice Port-au-Prince. Po ulewach

Wykonałem rozkaz tak gwałtownie, że stanąłem prawie na hamulcu. Samochód z tyłu rąbnął w nas, aż huknęło. To żaden problem, bo często waliliśmy w siebie wielkimi zderzakami chevroletów, czasem dla zabawy, czasem, aby wypchnąć jeden drugiego z grząskiego błota. Tym razem jednak mogło skończyć się tragicznie. Właśnie zawisłem nad trzydziestometrowym

urwiskiem w poprzek drogi. Gdyby nie „Dziki”, to zaliczylibyśmy lot terenówką w przepaść, z co najmniej kilkoma obrotami, zanim zostałaby z nas mokra plama. Uratowało nas dosłownie kilka centymetrów. Ostrożnie wygramoliliśmy się z wozu, po czym założyliśmy linę z hakiem, a „Bisowy” swoim samochodem wyciągnął nas z powrotem na drogę. Kłopoty się jednak nie skończyły, bo trzeba było poszukać innej drogi do bazy, a już tylko chwila dzieliła nas od zmroku. I zaczął się dramat. Jeździliśmy w kółko jak potłuczeni, straciliśmy orientację, wpakowaliśmy się w „osiedle” blaszanych chatek, gdzie dla naszych terenówek było za ciasno, trafiliśmy nawet na jakiś cmentarz i Bóg wie, co jeszcze. Koszmar. W pewnym momencie miałem już tak dość, że myśląc o nadchodzącej nocy, byłem pewien, że pozostaniemy tu – jak te nagrobki – na zawsze. W końcu wymóżdżyliśmy decyzję, że wracamy, a przynajmniej spróbujemy wrócić na lotnisko, skąd trzy godziny temu wyjechaliśmy. Zaczynało brakować paliwa, a my wciąż krążyliśmy już na nocnych światłach po slumsach, rynsztokach i grząskich, ciemnych, błotnistych drogach między chatami. Wreszcie o trzeciej w nocy dojechaliśmy do bazy (uff!), ale… nie naszej. Trafiliśmy na posterunek Pakistańczyków, gdzie rozłożone były rury do tankowania pojazdów. My też zwykle tu braliśmy ropę do naszych terenówek. Pogadaliśmy z dwoma zaspanymi Pakistańczykami, żeby wyjaśnić, co jest grane, po czym wjechaliśmy głębiej za usypane wały i betonowe zagrody. Tu przynajmniej poczuliśmy się nareszcie bezpiecznie. Postanowiliśmy przespać się do rana i dopiero potem próbować wrócić do bazy. Przez radiostację nadałem, że u nas wszystko okej, i poszedłem spać. Po dwóch godzinach obudziłem się cały pogryziony przez moskity. Moja strona drzwi nie miała szyby, która zresztą dawno już została wybita. Wyszedłem z samochodu i zrobiłem sobie legowisko pod wozem. Znalazłem kawałek tektury i obłożyłem sobie nią twarz, licząc, że to coś da. Guzik dało. Żaden z nas nie zmrużył oka. I kiedy już myślałem, że zacznę świrować, nagle popadłem w totalne otępienie. Chyba mój mózg zaczął samoistnie odcinać ból i wszechobecne swędzenie szyi, uszu, twarzy, oczu. Owady żarły nas niemiłosiernie. Dopiero gdy wzeszło słońce, zniknęły, jak ręką odjął. Leżałem na ziemi, zwinięty w kłębek, i nie wiedziałem, czy jeszcze żyję. Pakistańczycy rano patrzyli na nas jak na potłuczonych, bo rzeczywiście wyglądaliśmy jak obłąkani. Szczególnie że za chwilę zasnęliśmy na kolejne trzy godziny, schowani w cieniu samochodów. Gdy mniej więcej oprzytomnieliśmy, zatankowaliśmy samochody i w końcu jakoś udało nam się dotrzeć do naszych koszar nad morzem. Od tej pory zawsze brałem ze sobą zwijany kapelusz z moskitierą.

Grudzień

W ogóle nie odczuwaliśmy, że nastał grudzień. Upał i wilgoć były wciąż niemiłosierne. Mieliśmy pierwszą wolną niedzielę od miesiąca. Poszliśmy na plażę przy molu, żeby pod palmami przez chwilę poczuć się jak na wczasach. Rozłożyliśmy sobie drewniane leżaki i oddaliśmy się błogiemu lenistwu. Nasz lekarz – major „Super Mario” – czytał jakąś książkę, kapelan – nazywany przez nas „Kurka, Kurka” – wkurzał się, bo właśnie przegrał rundę w karty. Kilku z nas pływało w morzu, oczywiście mimo zakazu dowódcy. Petel miał rację: już nie raz w różnych obozach zdarzało się, że ktoś nadział się na jeżowca chodzącego po

dnie, i to właściwie go eliminowało z dalszej zabawy na co najmniej tydzień. Jedyne, co mógł robić, to leżeć jak inwalida w łóżku i cierpieć. Kiedy jeszcze byliśmy po drugiej stronie, na Dominikanie, jeden z nas – chłopak o ksywie „Krzywy" – żwawo wskoczył do morza i równie szybko z niego wybiegł, bijąc rekord świata w szybkości poruszania się na jednej nodze w kierunku miejsca, gdzie siedział „Super Mario". Nasz lekarz, z natury raczej stoik, z pełnym, jak to u niego, spokojem wyjaśnił wrzeszczącemu wniebogłosy „Krzywemu" sytuację w sposób następujący:

– Wyluzuj, nie ma co tak krzyczeć. Gdy jeżowiec wbije się swoimi kolcami, to one natychmiast się łamią i przy każdym ruchu stopy wchodzą jeszcze głębiej. Straszne świństwo. Masz przechlapane. Dosłownie i w przenośni. To tyle. Na tydzień jesteś wyłączony.

I tak pułkownik Petelicki zakazał nam pływać w morzu.

Oczywiście olaliśmy to i kilku z nas wskoczyło do wody, a niejaki „Piorun" – człowiek wybitnie wysportowany i wymagający od siebie codziennego treningu – odpłynął nawet dość daleko od brzegu. Zerknąłem w pewnym momencie w stronę hotelu i ku niemałemu zaskoczeniu zobaczyłem, że pułkownik zbliża się w naszym kierunku (miał być w mieście!). Zaczęliśmy krzyczeć do chłopaków, żeby wyłazili, bo Petel za chwilę tu będzie. Trzech, którzy byli blisko, zdążyło wybiec i wskoczyć na czas na leżaki. I teraz pełna mobilizacja – wszyscy patrzymy w innym kierunku, bardzo interesujemy się pogodą oraz leniwie wystawiamy ciała ku słońcu. Petelicki przychodzi z ręcznikiem, siada na zarezerwowanym leżaku, zakłada nogę na nogę i romantycznie patrzy w kierunku lazurowego morza. Cała ekipa dusi się już ze śmiechu, więc wsadzamy głowy w piasek, żeby pułkownik się nie zorientował. A Petel patrzy na morze i podziwia widoki, po czym nagle powoli wstaje i dostrzega na horyzoncie pływaka „Pioruna". Uchyla swoje ciemne okulary, odwraca się do chłopaka leżącego najbliżej niego i spokojnie mówi:

– Przekażcie temu żołnierzowi, że już w GROM-ie od dziś nie pracuje.

Pułkownik był z natury choleryczny i wybuchowy, ale tym razem jego wyjątkowo chłodny rozkaz znacznie skuteczniej zdjął nam śmiech z twarzy, niż gdyby zaczął krzyczeć. „Piorun" aż do powrotu do kraju praktycznie był na walizkach. Pomogły mu jakiś cud i późniejsze wsparcie kolegów. Petel ledwo mu odpuścił, i to dużo później. Chłopak był nawet w Iraku.

Za całą sprawę oczywiście nikt nie miał pretensji. Rozkaz był wyraźny. Może akurat w tym miejscu zabrzmi to nieco pompatycznie, szczególnie w zestawieniu z drobnym wygłupem na plaży, ale Petelicki był dla nas, wtedy dwudziestoparolatków, prawdziwym wzorem do naśladowania. Byliśmy w niego wpatrzeni jak w obraz. Wszyscy. I to, że był cholerykiem, nikomu nie przeszkadzało. „Piorun" wiedział, co ryzykuje.

Urlop skończył się dość szybko. Niedługo potem w Port--au-Prince wybuchły zamieszki. Amerykanie dostarczyli statkiem kolejną dostawę żywności. Jakiś niewielki incydent spowodował nagle, że Haitańczycy zaczęli między sobą walczyć. I to nie były zwykłe przepychanki; zaczęli po prostu do siebie strzelać bez najmniejszych skrupułów. Życie człowieka na wyspie było tak niewiele warte, że dla nas, Europejczyków, było to nie do pojęcia! W mieście mówiło się, że odszkodowanie za śmierć czarnego tubylca kosztowało

sprawcę pięć dolarów amerykańskich (!!!). I to jeśli go złapano.

Pułkownik wyznaczył mnie tego dnia na dowódcę patrolu. Na zbiórce przedstawił plan działania i wyruszyliśmy z bazy dwudziestoosobową grupą w sześciu pojazdach. Było z nami jeszcze dwóch Amerykanów z Zielonych Beretów. Po półgodzinie jechaliśmy już po przedmieściach Port-au-Prince. Ustawiłem się drugi w kolumnie. Zaczynamy.

Dzisiaj, po dwudziestu latach, obraz staje się tak samo wyraźny jak wtedy, gdy…

Port-au-Prince, wyjątkowo upalny dzień, kilka minut przed południem

Jedziemy, obserwuję ulice pełne ludzi, jest nerwowo, widać, że dzień będzie trudny. Próbujemy uspokajać kłócących się, rozdzielamy ich, rozbrajamy nawet kolesia, który wymachuje bronią. Kilku mężczyzn z oddali pokazuje na nas, po czym przesuwają rękami po swoich gardłach na znak, że wcześniej czy później nas załatwią, a następnie szybko znikają w tłumie. To częsty widok. Nieprzyjemne, ale nic specjalnego. To ci, którzy stracili wpływy dzięki obaleniu junty wojskowej. Są sfrustrowani, pełni nienawiści, żądni zemsty. Wjeżdżamy w tłum. Ludzie coś pokazują, proszą gestami o pomoc, od czasu do czasu składając dłonie jak do modlitwy. Jest bardzo niespokojnie. W pewnym momencie tłum prowadzi nas do miejsca, w którym dzieje się coś złego. Wymieniam spojrzenia z Amerykaninem, który siedzi obok. Podaję komendę przez radiostację, żeby pierwszy wóz zwolnił i skręcił w lewo. Wychyliłem się też przez okno drzwi samochodu i zdublowałem sygnał ręką, zataczając dłonią kręgi nad swoją głową, co oznaczało „Zawracaj!”. Już wiadomo, że zostajemy i załatwiamy sprawę, czymkolwiek się ona okaże. Każdy GROM-owiec wie, jak w takich sytuacjach postępować, więc robimy w milczeniu, co trzeba. Wysypujemy się na ulicę. Kierowcy wyjeżdżają z tłumu, znajdują kawałek pustej przestrzeni i ustawiają się w szachownicę. Zajmujemy pozycje w lukach między pojazdami – kordon gotowy. Zajmuje nam to dwadzieścia sekund. Daję odpowiedni znak, ruszamy dynamicznie wprost do miejsca, które wskazują nam krzyczący i lamentujący ludzie. Obserwuję uważnie, jak jest, i powoli zaczynamy wbijać się coraz dalej w ciasny tłum, rozpychając stłoczonych tubylców na boki. Podnosimy karabinki MP5 i celujemy bez zawahania w ich głowy, patrzymy ostro w oczy, krzyczymy zdecydowanie i bardzo głośno: *„Back off!!!*”. Cofają się, schodzą z drogi, choć w tym ścisku to niełatwe. Nagle dostrzegam w kordonie naszego kapelana! Miał przecież zostać na samochodzie! Ale nasz ksiądz idzie twardo. Okej, niech będzie, w końcu to też komandos. Naraz pośród tłumu leżących na ziemi dostrzegam kobietę i mężczyznę. Niemal w tej samej chwili słyszę głośny huk i padają strzały. Pistolet; nie ma wątpliwości. To lepiej. Gdyby napastnik walił z czegoś cięższego, za chwilę mielibyśmy tu masakrę, a tak może ofiar nie będzie zbyt wiele. Jak zwykle w takim momencie ludzie cichną na chwilę, a potem zaczynają przeraźliwie krzyczeć, uciekając w panice we wszystkie strony. Szukam wzrokiem „snajpera”, gdy nagle czuję, jak osuwa się na moje ramię jakiś mężczyzna i zalewa mnie swoją krwią. Przez chwilę próbuje jeszcze utrzymać się na nogach, ale już po kilku sekundach upada na ziemię. Teraz dochodzi do mnie, że huk przed strzałami to mógł być granat. A to już gorzej. Ktoś nie żartuje i używa nie tylko pistoletu. Chłopcy z tyłu, przy samochodach, walą z MP5 w miejsce, skąd padły strzały.

Krzyk ludzi, o ile to w ogóle możliwe, staje się jeszcze głośniejszy. Panika sięga zenitu. Wrzeszczę do chłopaków, czy ktoś z nas jest ranny. Wszyscy stoją na nogach i wygląda na to, że jest okej. Kilkunastu rannych i zabitych leży na ziemi. Zbieramy ich najszybciej, jak można, i wycofujemy się do samochodów. Nie możemy teraz, w tym tłumie, skupiać się na schwytaniu napastnika, który zresztą już nie strzela, bo najprawdopodobniej nie żyje. Trzeba ratować ludzi. Nasz kapelan stoi wyprostowany na pace ruszającego do przodu samochodu, jest cały we krwi. Szczęście w nieszczęściu, że to nie jego krew. Dociska ranę jakiejś kobiety, usiłując utrzymać ją przy życiu. Boże, niech wreszcie usiądzie! Tu wciąż jest cholernie niebezpiecznie. W końcu chowa się na pick-upie. Na pełnym gazie jedziemy z rannymi do amerykańskiej bazy, do szpitala polowego. Lądują na stołach operacyjnych najszybciej, jak się da. Nie wiemy, ilu przeżyło…

Gdy tylko po odtransportowaniu rannych znalazłem wolną chwilę w bazie przy lotnisku, przez radiostację zameldowałem o wszystkim Petelickiemu. Po powrocie złożyłem pisemny raport. Petelicki zawsze mówił, żeby się niepotrzebnie nie narażać. Nie wiedziałem, co dalej będzie i jak to oceni. Być może każe mi pakować manatki za narażanie ludzi. Na wieczornym apelu pułkownik spokojnie omówił plan działania na kolejne dni. Przez całą odprawę na dziedzińcu nie wspomniał nawet o wydarzeniach tego dnia. Na samym końcu, tuż przed komendą „Rozejść się!”, rzucił:

– Niech dowódca dzisiejszego patrolu podejdzie do mnie po odprawie.

Poszedłem do jego kancelarii, nie wiedząc, co mnie czeka.

Po powrocie do Polski dowódca Jednostki 2305 GROM pułkownik Sławomir Petelicki w imieniu prezydenta Lecha Wałęsy odznaczył mnie oraz czterech innych komandosów Krzyżem Zasługi za Dzielność – w niesieniu pomocy narodowi haitańskiemu. Otrzymałem także specjalne podziękowania od przedstawicieli strony amerykańskiej.

Polityka i kłopoty

Sławomir Petelicki – świetny dowódca, doskonały organizator i człowiek ogólnie lubiany, a nawet podziwiany przez swoich żołnierzy – nigdy nie miał szczęścia do polityki. Zbyt często źle wybierał strony, po których się opowiadał, i było to jedyne pole, na którym ponosił zdecydowane klęski. Najgorsze było to, że GROM zawsze znajdował się w centrum polityki, a politycy właśnie tę jednostkę wyjątkowo chętnie wykorzystywali do swoich celów, które zwykle nie miały nic wspólnego z dobrem kraju. Przykładów nie trzeba daleko szukać. To właśnie nas „użył" Antoni Macierewicz do zbierania po kraju teczek, a później do ochrony siebie samego zarówno przed słynną nocą, podczas której obalono gabinet premiera Jana Olszewskiego, jak i po niej. My przecież byliśmy szkoleni do akcji antyterrorystycznych, a nie do akcji antyopozycyjnych czy w ogóle jakichkolwiek rozgrywek między politykami. Chrzanię taką politykę, w której jednostki specjalne są środkiem wykorzystywanym do zwycięstwa jednych pajaców nad drugimi. Mamy zwalczać terroryzm, a przede wszystkim zapobiegać jego skutkom. Mamy bronić tych, którzy nie mogą obronić się sami, bo są lekarzami, naukowcami, inżynierami lub po prostu zwykłymi ludźmi, których nie szkolono do walki, tylko do innych, nierzadko nie mniej ważnych rzeczy – wszyscy ci ludzie mają prawo żyć w spokoju i bezpieczeństwie. Mamy brać udział w akcjach międzynarodowych razem z naszymi sojusznikami – jako polscy żołnierze godnie reprezentujący swój kraj. Od tego jesteśmy, a nie od gier politycznych, w które tak często nas angażowano. Takie akcje jak „noc teczek" czy niesnaski i kłótnie między ministerstwami zdarzały się już w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych (jak na przykład przed wyjazdem na Haiti), ale prawdziwe kłopoty zaczęły się na początku grudnia 1995 roku. Wtedy to minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski oraz zaangażowany przez niego w sprawę Władysław Bartoszewski odwiedzili Aleksandra Kwaśniewskiego – wówczas prezydenta elekta – i oświadczyli mu, że istnieją dokumenty pozwalające stwierdzić, że premier Józef Oleksy, w którego rządzie obaj byli, to agent rosyjski o pseudonimie „Olin". Centralną postacią afery miał być niejaki Władimir Ałganow – rosyjski dyplomata, a tak naprawdę pułkownik PGU KGB. To jemu Oleksy miał przekazywać tajne informacje. Tuż po rozmowie między Kwaśniewskim, Milczanowskim i Bartoszewskim 1 grudnia, w piątek wieczorem, przyszły prezydent i jego przyjaciel, prawnik – pełniący później obowiązki szefa jego kancelarii – Ryszard Kalisz, pojechali do Oleksego powiadomić go o rewelacjach uzyskanych od jego własnych ministrów. Oleksy najpierw dostał piany, a kiedy ochłonął – stanowczo wszystkiemu zaprzeczył. Kalisz uważa, że była to prowokacja czterech oficerów UOP-u: Wiktora Fonfary, Mariana Zacharskiego,

Bogdana Libery i Henryka Jasika, na którą Milczanowski dał się nabrać. Najważniejsze jednak z naszego (czyli GROM-u) punktu widzenia było to, że nasz dowódca pułkownik Sławomir Petelicki stanął w tym sporze po stronie Milczanowskiego. Minister zresztą był u nas w jednostce 5 grudnia i podczas nieoficjalnej rozmowy z nami w świetlicy powiedział: „Wybaczcie mi to, co zrobię jutro". A „jutro" Petelicki, który zaangażował się silnie w ten polityczny spór, zrezygnował z funkcji dowódcy. Zrobił to niechętnie, jednak był do tego zmuszony – popierając oficjalnie Milczanowskiego w takiej sprawie i w ogóle angażując się w wielką politykę, nie mógł jednocześnie stać na czele praktycznie jedynej w Polsce jednostki specjalnej. Nadal jednak chciał mieć decydujące zdanie w sprawach GROM-u, więc postarał się, żeby jego następcą został człowiek całkowicie mu lojalny.

W jednostce miał do wyboru dwóch „wychowanych" przez siebie podpułkowników. Ale ostatecznie postawił na byłego milicjanta – „Sowę", czyli Mariana Sowińskiego, którego osobiście znał dłużej i lepiej, jeszcze z poprzednich formacji.

Sowiński to człowiek wyjątkowo kulturalny, spokojny i, co nie było bez znaczenia, prezentujący się bardzo dostojnie, a co najważniejsze – zdaniem Petelickiego całkowicie mu oddany. Jak się później okaże, pułkownik także i w tej kwestii się mylił. Afera z „Olinem" skończyła się fatalnie dla obu stron. Józef Oleksy w atmosferze skandalu musiał do końca życia udowadniać swoją niewinność, a przeproszony został przez prezydenta Lecha Wałęsę dopiero (!) dzień po swojej śmierci. Z kolei Milczanowski, któremu zarzucono nie tylko bezpodstawne oskarżenie premiera, ale przede wszystkim ujawnienie tajemnicy państwowej, ciągany był po sądach przez następnych czternaście lat, wypadł na zawsze z polityki i skończył jako notariusz w Szczecinie.

Po odejściu Petelickiego z GROM-u rozgorzał konflikt między nim a Sowińskim. „Sowa" okazał się jednak również rasowym dowódcą, moim zdaniem dalej lojalnym, ale już nie ślepo podporządkowującym się naciskom z zewnątrz, co skończyło się incydentem, podczas którego Petelickiego pewnego dnia w ogóle nie wpuszczono na teren jednostki. Dla nas, oficerów GROM-u, te wszystkie niesnaski stały się bardzo kłopotliwe. Byłem oczywiście starym „petelszczykiem", przez niego wybranym i „wychowanym" na komandosa, ale jednocześnie lubiłem Sowińskiego, który był cichy, umiał słuchać i sprawiał wrażenie człowieka pełnego pokory. Do tego doszedł awans Sowińskiego na stopień generała, co doprowadziło Petela do szału. Na domiar złego, wbrew oczekiwaniom pułkownika, premierem został Włodzimierz Cimoszewicz z SdRP, podczas gdy Petelicki liczył, że po aferze „Olina" i po przyspieszonych wyborach parlamentarnych (do których w końcu nie doszło) będzie to ktoś z kręgów powstałego kilka miesięcy później AWS. Pułkownik poszedł w odstawkę na blisko dwa lata, choć później odzyskał stanowisko i został ponownie naszym dowódcą, w miesiąc po dojściu do władzy AWS, w 1997 roku, zresztą był już wtedy generałem. Rok wcześniej rozpoczęła się misja GROM-u w byłej Jugosławii, w której nie brałem udziału, ponieważ niedługo przed wylotem chłopaków doznałem dotkliwego urazu. Muszę tu przyznać, że w tamtych trudnych dla mnie chwilach generał Sowiński bardzo mi pomógł stanąć na nogi. W 1998 roku GROM rozpoczął ścisłą współpracę z Wojskowymi Służbami Informacyjnymi i brał udział w tajnych

działaniach wywiadowczych wymierzonych przeciwko nielegalnemu handlowi bronią oraz narkotykami przez międzynarodowych terrorystów. Uczestniczyliśmy także w największych ćwiczeniach europejskich i amerykańskich jednostek specjalnych „Ellipse Bravo ’98”. Brał w nich udział blisko tysiąc komandosów.

W środkach masowego przekazu na razie było o nas cicho. Nikt nic nie wiedział. Dopiero w 1999 roku rozpoczęły się kolejne kłopoty. Tym razem cios padł ze strony AWS, co musiało być szczególnie frustrujące dla generała. Konkretnie chodzi tu o Janusza Pałubickiego, ministra-koordynatora służb specjalnych w rządzie Jerzego Buzka. Ten AWS, na który tak stawiał Petelicki, w końcu pogrzebał jego karierę wojskową na zawsze, zmuszając go do odejścia do rezerwy.

Pałubicki zachował się skandalicznie. W Sejmie RP nazwał GROM „bagnem” nadającym się tylko do rozwiązania!!! Po przejściu jednostki z przyczyn politycznych spod jurysdykcji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pod dowództwo Szefa Sztabu Generalnego Ministerstwa Obrony Narodowej zaczęła się batalia sądowa, walka polityczna, wojna medialna, słowem – największy kryzys w GROM-ie wywołany przez polityków. Petelicki wraz ze swoim prawnikiem i przyjacielem Wojciechem Brochwiczem walczyli o swoje dobre imię, a Pałubicki bezprawnie pruł sejf GROM-u z tajnymi dokumentami w środku. Wiadomość o tym dotarła do generała, gdy był właśnie w mieszkaniu Brochwicza. Już po śmierci Petelickiego Brochowicz w jednej z wypowiedzi dla tygodnika „Wprost” tak wspominał tę chwilę: „Siedzieliśmy ze Sławkiem w moim mieszkaniu. Stamtąd prowadziliśmy korespondencję z dziennikarzami. Co pomyślałem? Że autorytet państwa znalazł się w łapach… (i tu zdecydowanie brzydkie słowo)”.

Pałubicki usiłował udowodnić nieprawidłowości w GROM-ie, dotyczące kupowania sprzętu, broni, współpracy z WSI. Zrobił rzecz straszną – włamał się do szafy pancernej z właściwie nie tajnymi, lecz SUPERTAJNYMI dokumentami i powierzył je nieupoważnionym urzędnikom (!), przez co bardzo poważnie nadszarpnął naszą wiarygodność w NATO, które zaczęło wątpić, czy umiemy strzec tajemnic wojskowych. Zastanawiano się, czy aby nie może się znowu tak zdarzyć, że jakiś koleś, którego ktoś przyniesie w teczce, by był koordynatorem politycznym, zacznie szastać dokumentami, od których zależy życie wielu ludzi, nie tylko zresztą agentów. Bardzo trudno odzyskać takie zaufanie, a przecież zostaliśmy przyjęci do Sojuszu Północnoatlantyckiego zaledwie sześć miesięcy wcześniej!

Na kolejnych rozprawach w sądzie generała reprezentował profesor Lech Falandysz. Pałubicki przegrał, jego oskarżenia okazały się fałszywe, nie został wybrany w kolejnych wyborach i wypadł z polityki na zawsze. Generał Petelicki wygrał również proces cywilny z byłym premierem Jerzym Buzkiem, w którego rządzie działał Pałubicki, a także z Leszkiem Millerem, który został premierem w 2001 roku i który nie odciął się wyraźnie od tych pomówień. Dwaj pierwsi politycy musieli w największych mediach przeprosić generała Petelickiego i GROM, natomiast Leszek Miller wyraził ubolewanie, że te pomówienia jeszcze przed końcem procesów nie zostały uznane za bezpodstawne.

Generał bronił swojego i naszego honoru. Nikt jakoś nie zająknął się o tym, co robiliśmy na

Haiti, w byłej Jugosławii czy podczas akcji antyterrorystycznych zwalczających międzynarodowy handel bronią i narkotykami, nie mówiąc już o dziesiątkach akcji w Polsce.

Efekt kryzysu był taki, że po zakończeniu misji na Bałkanach odeszło osiemdziesiąt procent (!) „starych" komandosów. Ja również bardzo poważnie to rozważałem. Do jednostki przyszli z MON nowi dowódcy: najpierw, na zaledwie osiem miesięcy – pułkownik Zdzisław Żurawski, a zaraz po nim – pułkownik Roman Polko.

Gdy tylko Polko pojawił się w jednostce, odeszło kolejnych trzydziestu komandosów. GROM „wywiało" niemal do reszty. Polko był zdezorientowany, ale robił, co mógł. Na samym początku spędził trzy dni w swoim nowym gabinecie, żeby zapoznać się ze sprawami. Nasza resztka (około czterdziestu ludzi, którzy pozostali w GROM-ie, z czego może ośmiu, może dziewięciu z tak zwanej starej gwardii) w tym czasie normalnie ćwiczyła na poligonie w Pstrążu. Któregoś dnia przyjechał do nas wraz z „Dzidziusiem" (swoim zastępcą), żeby przywitać się, pogadać, zapoznać nas ze swoją wizją. Wtedy jednak nikt z nas, „starych", nie chciał się do niego przekonać. Morale i motywacja tak bardzo osłabły, że było nam już wszystko jedno, kto przyjedzie z MON i do czego będzie chciał nas przekonać. Byliśmy w totalnym rozkładzie. Polko usilnie szukał pomysłu, jak zapobiec zapoczątkowanemu już kilka miesięcy przed jego przyjściem kryzysowi GROM-u. Miał ciężko i trochę trwało, zanim postawił to wszystko na nogi. Ale trzeba pamiętać, co stało się później: to za jego czasów rozpoczęliśmy misję na pograniczu kosowsko-macedońskim, za jego czasów był Irak, to on rozpoczął Afganistan – a więc, jak to w życiu, nie wszystko jest czarno-białe.

Podczas tego całego kryzysu kadrowiec jednostki, gdzieś tam w czasie odprawy na Nowowiejskiej w Warszawie, gdzie mieściło się MON, dostał od innego kadrowca Departamentu Kadr i Szkolenia MON listę kilku kursów i szkoleń zagranicznych. Weszliśmy właśnie do NATO, więc niezależnie od kaszany, która zdemolowała autorytet naszych sił specjalnych, trzeba było zacząć szkolić wojsko w języku angielskim i, oczywiście, wysyłać je za granicę. Więc nasz dzielny kadrowiec zaproponował pułkownikowi Polko, żeby może jednak kogoś z GROM-u wysłać do Stanów – i w ten sposób podratować sytuację. Zaczęto szukać w jednostce kogoś, kto by się nadawał. Zaproponowali kurs „Ciemnemu", który zresztą był ze mną na Haiti. Chłopak znał już trochę angielski, ale zrezygnował. Wtedy propozycję otrzymałem ja. Oczywiście przyjąłem ją z zadowoleniem i po zaliczeniu odpowiednich egzaminów w marcu 2001 roku wyleciałem do Fort Bragg w Karolinie Północnej na The Special Forces Qualification Course (SFQC), nazywany w skrócie Q Course – jeden z najtrudniejszych na świecie elitarnych kursów wojskowych, organizowanych zresztą dla Zielonych Beretów.

Kurs Sił Specjalnych Wojsk Lądowych USA – Zielone Berety

Takie kursy pojawiały się już wcześniej w puli szkoleniowej dla naszego wojska – kursy rangersów, kursy survivalu, kursy piechoty i tak dalej. Ale na SFQC wyjątkowo trudno było znaleźć kandydata pośród żołnierzy. Pierwszą barierą okazała się nieznajomość języka angielskiego. Trzeba pamiętać, że w Wojsku Polskim na większą skalę kursy angielskiego ruszyły dopiero po przystąpieniu Polski do Partnerstwa dla Pokoju (PfP), a tak na dobre to po uzyskaniu członkostwa w NATO, po roku 1999. Na szczęście ktoś wpadł w końcu na pomysł, że może warto by było zacząć się szkolić specjalistycznie w językach obcych. Mało kto był wtedy w stanie zdać na odpowiednio wysokim poziomie test językowy organizowany przez ambasadę amerykańską. Po długich poszukiwaniach znaleziono wreszcie trzech facetów, którzy mogli temu podołać. Miła okoliczność spowodowała, że byłem jednym z nich, w dodatku to właśnie mnie na końcu oceniono jako najlepiej przygotowanego. Muszę jednak przyznać, że miałem trochę fory. Już od 1990 roku GROM współpracował z Amerykanami i Anglikami, byliśmy na Haiti – gdzie przecież cały czas mieliśmy kontakt z angielskim, a potem jeszcze zorganizowano nam wewnętrzny kurs. Możliwe więc, że było mi łatwiej zdać egzamin z języka.

Myślę, że duży udział w tym, żeby ktoś z naszych znalazł się na takim szkoleniu, miał „Dzidziuś". Generał Polko właściwie nas nie znał, a już zwłaszcza komandosów wyselekcjonowanych przez Petelickiego. „Dzidziuś" znał wszystkich doskonale. Był dowódcą sekcji szturmowej, kiedy zaczynałem moje pierwsze szkolenie w 1991 roku – o męczarniach w Bieszczadach już pisałem. Lubiliśmy się. Potem nasze drogi się rozeszły, „Dzidziuś" został w szkoleniówce, a ja w wywiadzie GROM. Wzajemna sympatia jednak przetrwała.

Na poważnie myślano o dwóch kandydatach – o „Ciemnym" i o mnie. „Ciemny", jak mówiłem, dał za wygraną, więc pojechałem ja.

W maju 2001 roku poleciałem do Lackland w Teksasie. Tam przez cztery miesiące doszlifowywali mój „amerykański". Musiałem zdobyć odpowiedni certyfikat. Dopiero potem, w sierpniu, przyleciałem do Fort Bragg w Karolinie Północnej. I tak stałem się pierwszym Polakiem przyjętym na Q Course.

Szkolenie było podzielone na cztery etapy. Najpierw trzeba było przejść standardowo wyczerpującą selekcję. Z tego na szczęście mnie zwolniono, bo miałem już za sobą taką właśnie selekcję do sił specjalnych, którą odbyłem w Polsce, a Amerykanie wierzyli Petelickiemu i bardzo go cenili. Kolejne trzy etapy to sześciomiesięczne zmagania.

Etap drugi odbywał się na poligonie i trwał czterdzieści sześć dni. Służył głównie temu,

żeby dobić twoją psychikę. Pod koniec tej części zabawy niektórzy – nie żartuję – co najmniej lekko świrowali. To nic śmiesznego, gdy widzisz klęczącego z czterdziestokilogramowym plecakiem gościa (często wyziębionego, w mokrym moro), który znowu pokonał dwadzieścia kilometrów, a przez cały miesiąc spał może po cztery godziny każdej nocy, a zdarzało się, że nie spał wcale przez dwie, trzy, cztery doby. To, co ostatnio zjadł, to trzy pastylki miętowych cukierków. Słania się i klęczy na obu kolanach, bo korzysta z chwili wojskowego „odpoczynku". Nagle przechyla się do przodu na ziemię i opiera sztywno głową, na której ma dumnie naciągniętą czapkę patrolową. Jeszcze się nie poddał, jeszcze nie padł, raczej wygląda, jakby się modlił. Oczy ma zamknięte. Śpi, ale nie odpuszcza, podświadomie jest w gotowości, w prawej dłoni kurczowo trzyma swój karabinek.

Mnie też się kilka dni wcześniej zdarzyło przysnąć, gdy poszedłem z Amerykanami na rozpoznanie obiektu. Przez ogrodzenie z siatki patrzyłem na budynek „przeciwnika". Leżałem na stanowisku obserwacyjnym, a obraz zaczął mi się samoistnie zamazywać. Śniły mi się różne rzeczy – że jestem domu, że rozmawiam przy stole z żoną i ze znajomymi, że lecę samolotem… że zegarek spadł mi z ręki i właśnie go szukam w trawie. Mamrotałem coś tam do siebie. Spałem całą wieczność i świat wirował mi w głowie. Dość! Otworzyłem oczy i zobaczyłem wciąż ten sam budynek. Spojrzałem na zegarek. I co zobaczyłem? Że strasznie długo spałem… niecałą minutę!!!?? Dacie wiarę…?

Kolejny, trzeci etap Q Course to miesiąc wykładów oraz praktyka w terenie podporządkowana różnym specjalnościom. Ja byłem szkolony na kapitana – dowódcę grupy specjalnej ODA (Operational Detachment Alpha). Tak dla porównania – słynna Delta to Operational Detachment Delta. Wiesz, numeracja z alfabetu greckiego: alfa, beta, gamma, delta… i tak dalej.

W randze kapitana, na tle bramy Camp Mackall – poligonu wojskowego US ARMY Airborne & SF tuż po ukończeniu kursu Zielonych Beretów i SERE w Fort Bragg w stanie Karolina Północna, USA. Marzec 2002 roku

Szkolono mnie na dowódcę, bo byłem oficerem. Podoficerowie, na przykład sierżanci, byli szkoleni na łącznościowców, pirotechników czy weaponsów, tj. specjalistów w obsłudze broni, oraz medyków.

Ostatni, czwarty etap Q Course to szczególny egzamin, ciągnący się przez cztery tygodnie. Nazywano to *robin sage* – zadanie polegające na walce poza liniami wroga. Głęboko na jego terytorium. Tyle teoria. A praktyka? Opowiem teraz jedną z historii, którą tam przeżyłem, co być może przybliży charakter ćwiczeń.

Po przeciwnej stronie wzgórza

USA, Karolina Północna,
luty 2002 roku

Zbiegam z otwartej, tylnej rampy samolotu Hercules C-130, na końcu odbijam się i skaczę głową w dół, w ciemność. Chwilę spadam, ale już po kilku sekundach otwiera się spadochron. Uwolniona przeze mnie okrągła czasza lekko świszczy i łopocze, łapiąc powietrze do środka, w „komin" (otwór na czubku czaszy). Przez chwilę obserwuję ją na tle – tylko trochę jaśniejszego – nieba. Patrzę, czy dobrze się otworzyła. Wszystko jest tak, jak powinno. Obejmuję dłonią brezentowy uchwyt przy uprzęży, by mocno szarpnąć; wypuszczam w ten sposób mój zielony plecak bojowy. Poszedł! Karabin McMillan, wcześniej przypięty z boku, zwisa mi na lewym ramieniu, trochę ukośnie; zespolony z plecakiem, zsuwa się razem z nim. Wiszą teraz dwa metry pode mną, jak wahadło u stylowego zegara ściennego, i trzymają się tylko zaczepu przy moim pasie. Zbliżam się do ziemi. Mijam jeszcze okręgiem kępę niewielkich sosen, po czym ściągam linki sterujące mocno w dół.

Pierwszy o glebę uderza plecak, a za nim futerał z bronią. Po chwili także ja dynamicznie stykam się z ziemią, przekoziołkowuję przez prawe ramię, podczas gdy czasza spadochronu powoli, spokojnie opada na wrzosowisko. Czasza jeszcze przez kilka sekund nie chce „wygasnąć", więc zmuszam ją do tego, ciągnąc silnie za jej obie dolne linki. Cisza. Samolotu już nie słychać. Przylgnąłem do trawy. To najgorszy moment dla skoczka. Jeśli wróg ma noktowizory i dostrzeże mnie tu, na tej polanie – mogę nie zdążyć się obronić. Dłuższą chwilę poświęcam więc na nasłuchiwanie i dopiero potem silnie ściągam spadochron, żeby go całkowicie ukryć. Zwiewny materiał z czaszy jeszcze przez pewien czas nie chce wypuścić resztek zagarniętego powietrza. Po krótkiej walce opanowuję sytuację i z założonym plecakiem oraz luźno przewieszonym przez lewe ramię karabinem daję susa z otwartej, niebezpiecznej przestrzeni na polance do pobliskiego lasu, w totalną ciemność. Trzymając się nisko przy ziemi, cicho wyjmuję karabin z pokrowca. Wyjmuję również małą latarkę. Zapalam czerwone światło, które da sygnał pozostałym skoczkom. Schodzimy się. Zakopujemy spadochrony w jednym miejscu, przykrywając je solidnie darnią i ściółką. Po mniej więcej piętnastu minutach jesteśmy już gotowi do marszu. Jest nas dwunastu. Pierwszym zadaniem jest dotarcie do oddziału partyzantów walczących z umownym przeciwnikiem, którym jest „miejscowy reżim wojskowy".

Wylądowaliśmy jakieś dwadzieścia kilometrów od wzgórza, na którym tutejsi partyzanci

mieli mieć swój obóz. Całą noc przedzieramy się przez las, rzekę i chaszcze. Jest luty. Na szczęście to nie Chicago. Tutaj temperatura nad ranem nie spada niżej niż minus dwa stopnie Celsjusza. To wystarczyło jednak, żeby wszędzie pojawił się szron. Zajmujemy pozycje dwa kilometry przed punktem kontaktowym z miejscowymi rebeliantami. Należy teraz utworzyć tymczasową bazę patrolową. Baza patrolowa to taki okrąg lub trójkąt, który tworzą zwiadowcy. Każdy z nich ma przydzielony sektor, który zabezpiecza. Taka baza to świetny sposób maskowania się i obrony. Niejednokrotnie zdarzało się, że ktoś przechodził kilkanaście metrów obok nas i nic nie zauważał.

Wysyłamy dwóch zwiadowców, żeby nawiązali kontakt z miejscowymi. Po dwóch godzinach wracają z przewodnikiem partyzantów po resztę grupy. Idziemy na wzgórze. Po drodze „witają" nas dwa bunkry z karabinami maszynowymi, umocnione zielonymi workami z piasku. To tak zwane wysunięte punkty ubezpieczenia i obrony bazy partyzanckiej, bardzo dobrze zamaskowane po obu stronach wąskiej ścieżki prowadzącej na szczyt. Idziemy jeszcze pół kilometra, dość ostro pod górę. Prócz nas nie ma tu żywej duszy. Ale oto nagle spod ściółki wyłania się sylwetka miejscowego strzelca. Partyzancki przewodnik każe się nam zatrzymać. Wszyscy przyklękamy, żeby okrężnie ubezpieczyć grupę. Broń trzymamy w gotowości. Wschodzi słońce i szron z naszych butów oraz ściółki powoli znika. Jesteśmy jednak rozgrzani marszem pod górę, więc z ust wciąż wydobywa nam się para i musimy uważać, bo jest widoczna. Po krótkiej wymianie zdań z zamaskowanym snajperem partyzantów przewodnik ubrany w cywilne ubranie prowadzi nas dalej, wciąż pod górę. Wreszcie docieramy na miejsce. Kilkanaście szałasów zbudowanych z drągów i grubych gałęzi, z charakterystycznymi jednospadowymi dachami, stanowi tymczasowe obozowisko. W centrum, na płaskim terenie szczytu wzgórza, stoi szopa zbudowana z desek i żerdzi sosnowych. Nad paleniskiem wisi duży ciemnoniebieski, opalony sadzą kocioł, przykryty aluminiową pokrywą. Czujemy zapach zupy i mięsa. Siadamy, zdejmujemy plecaki.

Przewodnik znika za drzwiami szopy. Po chwili wychodzi i zabiera ze sobą naszego dowódcę oraz jego zastępcę. Automatycznie ja teraz przejmuję dowodzenie pozostałymi. Przechodzimy do pobliskiego szałasu. Ale to nie czas na odpoczynek. Nasz radiotelegrafista musi wysłać satelitarny raport o tym, że osiągnęliśmy zamierzony cel marszu. Trzeba więc wyjąć mapę i zorientować się, skąd najlepiej nadać meldunek, żeby nas tu od razu nie rozwalili bombą. Trzeba pewnie odejść stąd jakieś pięć kilometrów…

W bazie partyzanckiej spędzamy kilka dni. Tutejszy przywódca to ponaddwumetrowy, zarośnięty wielkolud o surowej twarzy pooranej grubymi zmarszczkami. Dłonie ma chyba szersze niż moje oba uda razem, wzrok obojętny, mętny, bez wyrazu. W rozmowie dość przyjazny. Na razie nie wolno mu za bardzo ufać. Na wszelki wypadek. Poznajemy też grupę trzydziestu partyzantów. Duży oddział. Ludzie o różnych charakterach, od spokojnych flegmatyków do impulsywnych bojowników.

Przez pierwszy tydzień staramy się z nimi zgrać. Uczymy ich naszych technik i sposobów działania, organizacji wypadów i zasadzek na miejscowe patrole policji. Kilka tego typu akcji pozwala nam zdobyć broń dla pozostałych, jeszcze nieuzbrojonych partyzantów.

Rozpoznajemy okolicę, wykonując patrole na pozostałe otaczające nas wzgórza. Werbujemy też innych chętnych do walki mieszkańców okolicznych wiosek. Wojskowe śmigłowce lub samoloty rozpoznawcze „przeciwnika” często przelatują nisko nad lasem. Wiedzą, że gdzieś tutaj jesteśmy, ale mają jeszcze za mało danych, żeby już zaatakować nasze leśne bunkry i obozy szkoleniowe. Pewnie niedługo to zrobią, ale my wtedy już będziemy na to przygotowani. Nasze posiłki zza granicy, w liczbie dwustu spadochroniarzy wojsk desantowo-szturmowych, już się pakują. We wskazanym przez radio terminie przyjmiemy cały ich desant na rozpoznanym zrzutowisku. Wtedy już nikt nas tu nie ruszy.

Któregoś dnia kończy się żywność, więc dowódca grupy specjalnej wysyła dwóch sierżantów, żeby odkopali zasobniki z MRE (Meals Ready to Eat), czyli suchymi racjami żywnościowymi. Miesiąc wcześniej tutejsi partyzanci ukryli je po amerykańskim zrzucie. Niestety mamy pecha, bo któryś z partyzantów zdradza i nasz medyk razem z saperem „wylatują w powietrze” na odciągu miny pułapki, zastawionej przy zasobniku. Musimy „pochować” ich ciała i zaznaczyć na mapie miejsce, gdzie to zrobiliśmy. W rzeczywistości dołączają do nas z powrotem, aby szkolić się dalej. Nie mamy jednak jedzenia i zaczyna się prawdziwa głodówka. Już nie na niby. Miejscowi przynoszą nam jabłka od rolników, ale nie jest tego zbyt wiele, nie można wzbudzać podejrzeń. Jedno jabłko dziennie to jednak trochę mało. W kolejnym tygodniu w ogóle się nie zjawiają. Musimy sobie jakoś radzić. Przez cały czas i tak ufaliśmy tylko sobie, partyzanci w każdej chwili mogli się obrócić przeciwko nam. Oczywiście „Wielki Wódz” nie odpuszczał „zdrajcom”, a czasem nawet, jak poszalał, to mimo stanowczych protestów naszego kapitana w naszej obecności „podcinał” komuś gardło. Jemu też nie ufaliśmy, choć dwutygodniowa współpraca układała się nieźle.

Kolejny tydzień. Głód nam doskwiera coraz bardziej. Wysyłamy meldunek satelitarny przez radiostację z prośbą o kolejny zasobnik żywności, ale na razie jest odmowa.

Któregoś dnia uzgadniam z dowódcą, że pójdę razem z jednym z Amerykanów za górę, na północ, i stamtąd spróbuję ustrzelić jakieś zwierzę. Pomysł wydawał się trochę niebezpieczny, ale koniec końców nikt nie protestował. Strzały było tutaj słychać na okrągło, bo miejscowi polowali jak większość ludzi lasu.

Poszliśmy we dwóch. Ten drugi nazywał się Joe. U podnóża naszej góry mijamy bunkry wartowników. Ubrani są w białe stroje maskujące. Czasami przedzieramy się przez zmarznięte, śnieżnobiałe, rzadko porośnięte drzewami tereny, a czasem przez gęste chaszcze. Kiedy pojawia się przed nami polana, skanujemy lornetkami, czy wszystko jest okej. Po trzech godzinach zajmujemy stanowisko na jednym ze wzgórz, trochę na zboczu. Przygotowuję karabin. Joe leży obok i obserwuje teren na wprost. Mija trochę czasu i słońce zaczyna zachodzić. Nagle Joe puka mnie w ramię i pokazuje dłonią na lewą stronę. Przyciskam głowę do kolby mcmillana .308. W lunecie jest o wiele jaśniejszy obraz niż w rzeczywistości. Moja luneta wyłapuje i maksymalnie wzmacnia resztki światła z otaczającej nas bieli i zachodzącego za szczytem słońca. Poniżej na zboczu przeciwległego wzgórza pokazuje się stado jeleni. Joe mierzy odległość do celu. Podaje mi dane – pięćset metrów. Okej, trochę daleko, ale spróbuję. Kąt – piętnaście stopni, będzie trochę krócej. Wiatr cztery mile,

połówkowy, z prawej. Dość słaby – to dobrze. Skubany jeleń wierci się, próbuję mu dać punkt na przód sylwetki. Będzie ze cztery cale w prawo… Spoglądam na korektor nastawy. Szybko przekręcam na bocznym bębnie cztery kliki w dół, co daje dziesięć centymetrów poprawki. Wybieram większego jelenia, stojącego nieco z tyłu stada. Jeśli się uda, wystarczy na miesiąc jedzenia. Uwędzimy i wysuszymy jego mięso, tak jak to kiedyś robiłem z moim ojcem w lesie. Kładę krzyż optycznego celownika na przód, na łopatkę jelenia. Spinam ciało. Kładę pewnie palec na języku spustowym karabinu. Biorę wdech i powoli wypuszczam powietrze. W pewnym momencie zatrzymuję oddech. Wyostrzam wzrok, widzę go, pociągam za spust. Trochę szarpnęło lunetą, ale nie pozwalam jej zejść z sylwetki jelenia. W ułamku sekundy zauważam, jak warkocz rozgrzanego przez pocisk powietrza wiruje, lecąc łukowato w dół, za wystrzelonym pociskiem. To dobrze, nie „zerwałem". Z takiej odległości bardzo łatwo jest zepsuć precyzyjny strzał. Jeleń szarpnął porożem ostro do góry i obsunął się kilka metrów w dół zbocza. Cisza. Joe szepcze mi do ucha: „*Good job*". Nad ranem wracamy do partyzantów, żeby zorganizować transport ustrzelonej zwierzyny do naszej bazy. Sprawa żarcia już do końca nie będzie nam dokuczać.

Nasililiśmy działania dywersyjno-psychologiczne na miejscowe siły wojskowe oraz posterunki policji. Zniszczyliśmy też wojskową stację nadawczą. Nasz wywiad z lokalnych wiosek w pewnym momencie doniósł, że szykuje się atak wojsk „przeciwnika" na naszą bazę partyzancką. Zanim jednak zdążyliśmy się przygotować, atak nastąpił. Nie dość, że nocą, to do tego wtedy, kiedy jeszcze byliśmy w bazie. Bunkry aż huczały od strzałów z karabinów maszynowych. Część z nas wpadła w zasadzkę „wroga". Ja i jeszcze pięciu Amerykanów szczęśliwie uciekliśmy w kierunku prowizorycznej przeprawy, mostu z kamieni u podnóża góry. Zbudowaliśmy go wcześniej z Joe, w wolnej chwili, żeby łatwiej było pokonać dość głęboki wąwóz i rwący strumień. Przemieściliśmy się dwadzieścia kilometrów dalej, do bazy zapasowej, i stamtąd nadaliśmy przez uratowaną radiostację meldunek o naszym kontakcie z „przeciwnikiem". Umocniliśmy nasze pozycje obronne i przygotowaliśmy się do odbicia „pojmanych" kolegów.

Przeprawa przez most

Radio pod kontrolą

Szkoła Zielonych Beretów w USA jest ukierunkowana na sprawdzenie wszystkich wyuczonych podczas kursu umiejętności dotyczących zadań zaczepnych wykonywanych przez grupy sił specjalnych przerzuconych na terytorium daleko poza linią wroga. Sprawdza ich wolę przetrwania, motywację do działania, uczy planowania akcji w sytuacjach ekstremalnych, awaryjnych, nie zawsze przewidzianych i zgodnych z planem. Sierżanci-instruktorzy wprowadzają w ćwiczeniach dynamiczne scenariusze sytuacyjne i podczas akcji często stosują zaskoczenie. Uczą metod i zasad współpracy z miejscową partyzantką. Instruktorzy w trakcie kursu przyjmują zasadę najwyższego realizmu. W działaniu sił specjalnych dopuszczają nawet niekonwencjonalne zdobycie w terenie uzbrojenia czy żywności dla swojego oddziału.

Survival

Zdobyte za młodu umiejętności zweryfikował odbyty po Q Course dość wymagający kurs przetrwania SERE, również w Fort Bragg. Po powrocie ze Stanów w 2002 roku uświadomiłem sobie, że przecież GROM-owcy nie są w wystarczającym stopniu szkoleni z zakresu SERE. W ostatnich latach zaniedbano tę dziedzinę, choć ogólnie nasz program szkolenia zawierał pewne hasła z tego zakresu i oczywiście był realizowany w ramach taktyki zielonej – na przykład w Bieszczadach, o czym pisałem. W 2007 roku, gdy zostałem mianowany nowym szefem szkolenia GROM-u, zrozumiałem, że szturmowcy i snajperzy muszą być profesjonalnie szkoleni w umiejętnościach przetrwania i bytowania w warunkach ekstremalnych.

W 2002 roku natrafiałem jednak na jakiś niezrozumiały „opór materii" ze strony starszych stażem szturmowców, ponieważ ciągle powtarzali, że powinno się trenować przede wszystkim taktykę czarną, bo to był cel założenia Jednostki 2305, a nie bieganie po lesie za zającami czy jeleniami. Nie chciałem wciskać niczego na siłę, bez akceptacji ludzi, z których sam się przecież wywodziłem. Uważałem jednak za błąd, że nie przykładano do survivalu większej wagi, bo niektórzy z nas ciągle uważali, że przecież byliśmy full wypas przeciwterrorystami, a nie jakimiś rangersami czy Zielonymi Beretami. Panowało ogólnie wygodne przekonanie, że taktyka zielona to jedno, a survival to drugie, i niestety mało kto do tego podchodził z pełnym zrozumieniem. Jak się potem okaże w Iraku czy w Afganistanie, to był duży błąd. Ten, kto nie miał odpowiedniego certyfikatu z SERE, nie mógł – zgodnie z wymogami NATO – w ogóle wyjechać na misję zagraniczną, a nawet jeśli jakimś cudem się załapał, to poza bazę i worki z piaskiem nosa nie mógł, a przynajmniej nie powinien, wychylać.

Od samego początku mojej służby w GROM-ie spotkałem tylko kilku zapaleńców survivalu. Chorąży „Wicher", major „Ułan", kapitan „Zupek", no i może jeszcze pułkownik „Dzidziuś" i… tyle.

Tego, co cię czeka w kontakcie z dzikim terenem, z wszystkimi możliwymi rodzajami opadów (deszczu, śniegu, gradu), temperaturą od czterdziestu stopni plus do minus dwudziestu, wiatrem i wszelkim zwierzyńcem – nie da się zrozumieć, siedząc przed laptopem na wykładach w koszarach. Już w latach dziewięćdziesiątych, gdy zaczęliśmy współpracować z brytyjskim SAS, i to nie tylko w taktyce czarnej, ale także w zielonej, w podstawach patrolingu czy później przy okazji innych zadań, łatwo można było zauważyć, że nasi GROM-owcy dość wyraźnie dzielą się na dwie grupy: tych, którzy czują się w lesie dość swobodnie (i to była zdecydowanie mniejsza grupa), oraz tych, którzy pękali po jednym dniu i wyglądali tak, jakby spędzili pół roku w buszu na zabawie w Tarzana. W ogóle nie wspominam

o nawigacji w terenie leśnym, która leżała na obie łopatki. Zdecydowana większość z naszej niedużej jeszcze wtedy ekipy wolała ograniczyć się do walki w pomieszczeniach – i w tym rzeczywiście byli bardzo dobrzy, jak cały GROM. Snajperzy nie mieli opcji i musieli ćwiczyć w różnych warunkach, także w polu. Wiadomo, snajperzy operują w każdym środowisku: w lesie, w mieście i na wodzie także.

Okej, nie wszyscy do wszystkiego się nadają. Pamiętam, jak kiedyś, leżąc w nocy na stanowisku, z innym snajperem obserwowaliśmy nasz cel. Kiedy mój kolega odpoczywał w półśnie, ja próbowałem usilnie obserwować przedpole. Służył mi do tego noktowizor dwuokularowy PVS-7 z taśmowym nagłowiem, który ciągle zsuwał mi się na nos. Nasze stanowisko usytuowane było w lesie, mniej więcej dwadzieścia metrów od polany, na której znajdował się „wrogi" kompleks budynków. W pewnym momencie patrzę i… nic nie widzę przez ten cholerny noktowizor, a dopiero co wymieniłem w nim baterie. Wysunąłem się nieznacznie spod mojej maskującej siatki typu *ghillie netting*, oparłem ciało lekko na łokciach i znów próbuję coś wypatrzyć przed sobą. Okej, tym razem widzę zielony, ziarnisty obraz. Ale za chwilę… znów nic nie widzę. Co jest?! Wokół słychać tylko myszy biegające po ściółce, co w takiej ciszy brzmi jak hałas stada słoni. Ciemnica okrutna, własną dłoń przed sobą trudno dostrzec. No to znowu przystawiam sobie noktowizor i nagle… ku mojemu ogromnemu przerażeniu uświadamiam sobie, że widzę dwa zielone czubki butów kilka centymetrów przed sobą. Zamieram przestraszony, że ktoś nas tak cicho podszedł. Nie ruszam kumpla obok, bo jeszcze się obudzi, narobi rumoru i będzie kaszana. Podnoszę wolno głowę w górę i dostrzegam na tle lekkiej poświaty z nieba sylwetkę żołnierza, który patrzy, kurwa, przez swój noktowizor na wprost przed siebie, przy czym stoi mi prawie na nosie z butami, tuż przed opuszczonym na jego stopy moim noktowizorem! Po chwili rozpoznaję, że ma okrągły kask Pro-Tec na głowie i że to nasz szturman, który szuka swojej sekcji. Zajmowali stanowisko tuż za nami, jakieś sto metrów przy leśnym dukcie, skąd nad ranem mieli cicho podejść i przygotować się do ataku na budynek. Pewnie odszedł, biedaczek, na bok w wiadomym celu i się zgubił…. W tak ciemną noc wcale o to nie było trudno. Złapałem go lekko za buty i… tyle go widziałem. Dał susa do tyłu i wyrwał jak dzik przez zarośla. Snajper obok przebudził się i mlasnął.

– Co jest?

– Nic, śpij, stary, dalej – odpowiadam, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Gdyby to nie był zwykły trening na naszym przykoszarowym poligonie, pewnie byłby to ostatni krok „zagubionego szturmana", który zrobił w naszym kierunku. Działania w mieście to jedno, ale teren ma swoje prawa.

Proponuję więc może jeszcze jeden przykład, tyle tylko że tym razem to nie ćwiczenia…

Wschodnia granica Polski, jesień 1998 roku

Godzina dwudziesta druga. Noc, księżyc słabo widoczny na wschodzie. Jest nas dwóch: Marek – młody snajper (rok w jednostce) – i ja. Pokazuję Markowi pastwisko dwieście metrów przed nami. Obaj patrzymy przez noktowizory, analizujemy, po czym bierzemy plecaki

i zasuwamy skokowo, czyli na przemian; ja idę pierwszy, sprawdzam, czy jest czysto, a później dołącza on.

Ruszam. Pierwszy skok wykonuję prosto w drut pod napięciem, czyli w tak zwanego pastucha. Tak mnie walnęło przez wilgotne spodnie, że wpadam w mokrą trawę i zjeżdżam jakieś dziesięć metrów w dół pastwiska. Zbieram się (na szczęście nikt nie widzi) i z lekka zdezorientowany, po pas mokry od rosy bohatersko dobijam do brzegu rozpoznanych wcześniej kilkunastu drzew. Siadam i nasłuchuję, co jest grane, a tak naprawdę staram się ochłonąć po „wstrząsającym" skoku. Po mojej prawej stronie, na wzgórzu, jakieś trzysta metrów dalej, widać zarys budynków gospodarczych. W jednym z nich świecą rzędy światełek. Zakładam, że to obora, bo dookoła pełno zwierząt. Siedzę i nasłuchuję, gdzie jest młody. Spoglądam przez noktowizor – po lewej widzę stadko „zielonych" krów. Szukam młodego na łące, bo po pierwsze tamtędy powinien iść, po drugie to tylko dwieście metrów, więc dawno powinien już być. Ile czasu można pokonywać dwieście metrów?! Wreszcie go dostrzegam, ale doznaję ulgi tylko na chwilę. Widzę, że idzie jakoś nie tak i nie tędy, co powinien. Wreszcie rzucam się na ziemię i próbuję wczołgać się w głąb kępy drzew, bo… to nie jest Marek! Macam rękami przed sobą i nagle stwierdzam, że nie czuję gruntu. Znowu spoglądam przez noktowizor i szczęka mi opada, bo widzę przed sobą olbrzymią dziurę w ziemi, przypominającą normalny krater. To gdzie ja w takim razie siedzę? Na klifie? Ale to nie koniec – okazuje się, że ze wszystkich stron są same dziury w ziemi. Najwidoczniej natrafiłem na wyschnięte bagno lub staw. Nie mam dokąd umknąć, a chłop, którego wziąłem za Marka, idzie prosto na mnie. Przylgnąłem do ziemi i wsłuchuję się w jego kroki. Na szczęście tak szedł, szedł, aż sobie poszedł, mijając mnie o jakieś trzy metry. To mógł być tutejszy gospodarz albo jakiś kłusownik, który coś kombinował. Nieważne, bo prawdziwym zmartwieniem jest to, że minęło już pół godziny, a młodego ciągle nie ma. Po raz kolejny sięgam po noktowizor i rozważam włączenie radiostacji. Jednak porzucam pomysł, bo gdy będę go wołał, to jeszcze namierzy mnie straż graniczna, i będzie po zabawie. Spalę zadanie. Więc cierpliwie obserwuję łąkę przede mną i liczę krowy. Dałbym głowę, że było ich osiem, a teraz jest dziewięć! Dopiero po dłuższym czasie orientuję się, że dziewiąta krowa ma plecak! Nie wiem, jak to napisać, ale wyraźnie już teraz widzę, że młody, kurwa, udaje krowę z plecakiem…

Biorę więc swój plecak i idę w kierunku tego stada. Marek, wciąż zgarbiony, patrzy na mnie przez noktowizor. Kiedy już jestem przy nim, wyjaśnia, że też zauważył tego chłopa i dał dyla pomiędzy krasule. Padł na ziemię, odpowiednio się wygiął, żeby w nocy z daleka nie był widoczny w środku stada, i zaczął świrować krowę. No, okej. Idziemy dalej.

Zaczyna coraz mocniej mżyć, więc mówię do Marka, że plan jest taki: idziemy na porośniętą lasem górkę, którą widzimy przed sobą, i tam nocujemy, a rano zajmiemy się dalszym rozpoznaniem. W kilka minut doszliśmy do lasu, a następnie powoli przeszliśmy na przeciwległą stronę dość stromego stoku. Dobre miejsce do zbudowania bazy wypadowej. Teraz jeszcze trzeba gdzieś ukryć plecaki. Pogoda się ustaliła – zaczęło padać jak w filmach o wojnie w Wietnamie. Mieliśmy niezły sprzęt: goreteksowe osłony na puchowe śpiwory i na

plecaki. Żadna wilgoć nie mogła nas ruszyć. Zmieniłem mundur. Położyliśmy się na gołej ziemi i – zamknięci jak jedwabniki w kokonach – próbowaliśmy trochę pospać, na przemian nasłuchując. Teoretycznie…

O siódmej rano otwieram oczy, ziewam z niewyspania, odsuwam suwak śpiwora, wychylam głowę i… widzę piękną pogodę. Jest trochę zimno, ale słonecznie. Przeciągam się i w tym momencie dostrzegam, że nie leżę już na górze, jak powinienem, tylko na samym dole, właściwie prawie na łące! Marek leży dwa metry obok mnie, do góry nogami, i dalej chrapie, jakby śpiąc, zjechał głową w dół. Błąd – nie „jakby”! My po prostu zjechaliśmy z tego wzgórza głowami w dół. Wyglądam odważniej ze śpiwora i nie mogę uwierzyć własnym oczom. Trzydzieści metrów przede mną stoi krowa, a na stołeczku przy niej siedzi baba w białej trójkątnej chuście na głowie i doi krasulę. Leżymy jak na patelni, więc trudno mi uwierzyć, że babina nas nie dostrzegła. Ale, jakby tego było mało, obok niej siedzi olbrzymi kundel w czarno-białe łaty i nas nie wyczuwa! Gdyby narobił hałasu, wtedy właściwie powinniśmy wstać, podnieść ręce do góry i poddać się gospodyni. Do dzisiaj nie mam pojęcia, jak się to stało, że nas nie zwietrzył. Wypełzłem powoli ze śpiwora, odsunąłem zamek w goreteksie Marka, zatkałem mu usta rękami, żeby nie wrzasnął, a potem na migi pokazałem, że mamy awarię i musimy spieprzać. Ocknął się, spojrzał na pastwisko i otworzył oczy tak, że szerzej już, zdaje się, nie mógł. Daliśmy dyla na górę i chyba nikt nic nie zauważył.

W tym lasku było dość przyjemnie, szczególnie że punkt obserwacyjny wybraliśmy na dużym pagórku, z którego widzieliśmy całą okolicę. Po „zjeździe nocnym” przesunęliśmy się na wschodnią krawędź wzniesienia. Stąd widać było wyraźnie słupki z orzełkami. Granica w dzień spokojna, w nocy już niekoniecznie – ludzie z Dalekiego Wschodu ciągle ją tu nielegalnie przekraczali. Musieliśmy teraz zapewnić sobie dwie rzeczy: po pierwsze pożywienie, po drugie bezpieczeństwo sytuacyjne. To drugie oznaczało wykopanie jamy głębokiej na półtora metra, szerokiej na dwa i długiej na dwa i pół. Po wszystkim trzeba było jeszcze książkowo przykryć kryjówkę drągami z faszyną i potem porządnie zamaskować darnią. Musieliśmy zostać tam przecież dwa tygodnie. Marek co prawda bywał niekonwencjonalny w swoim zachowaniu, ale to bardzo wytrwały piechur i facet odporny na warunki w terenie. Nie jęczał i nie mówił za dużo, był okej.

W dzień przyczajaliśmy się, nocą okolica była nasza. Poruszaliśmy się wzdłuż granicy, ale na sam pas graniczny staraliśmy się nie wchodzić. Zbyt wiele śladów mogło narobić kłopotów, a i psy straży granicznej mogły podjąć jakiś trop. Obserwowaliśmy teren przygraniczny i czekaliśmy, aż azjatycka mafia trudniąca się przemytem wpadnie nam w ręce. Takie było zadanie. Polska straż graniczna poniekąd także była naszym przeciwnikiem, kto wie, czy nie najgroźniejszym, bo nie miała o nas pojęcia, a gdyby doszło do wymiany ognia, zrobiłby się niezły zgrzyt, i to na wysokim szczeblu. Nie chcieliśmy, żeby pogranicznicy o nas wiedzieli, bo nasze dane wywiadowcze mówiły, że niektórzy z nich mogą być skorumpowani, a i miejscowa ludność też najprawdopodobniej brała udział w procederze nielegalnego przerzutu Azjatów. Krótko mówiąc – byliśmy sami i nie mogliśmy liczyć na nikogo.

Przez dłuższy czas jednak nic się nie działo. Narastał z kolei innym problem – zaczynało

brakować nam żywności. Było kilka wariantów. Pierwszy – zjeść cały zapas torebek z cukrem, kawą rozpuszczalną oraz gumę do żucia w pastylkach, czyli wszystko, co pozostało nam po suchym prowiancie. Drugi – założyć tłumik na karabinek i odstrzelić jakiegoś zająca. Wybraliśmy… trzeci.

Tym razem w samo południe podeszliśmy chyłkiem, wzdłuż rowu melioracyjnego gęsto porośniętego łopianami, pod jedno z pobliskich gospodarstw. Wybraliśmy dzień, ponieważ w nocy spodziewaliśmy się pełni, a księżyc praktycznie rozświetlał wszelkie otwarte przestrzenie. To był kłopot, bo dookoła łąk i pastwisk rozmieszczone były nowiutkie ambony myśliwskie do obserwacji zwierzyny nocą. Słyszeliśmy czasem strzały – padały z wieczora, a niekiedy i w środku nocy.

Zostałem tuż przed ogrodzeniem i próbowałem wypatrzyć, czy jakiś pies nie pilnuje tego całego interesu. Dla intruzów najgorsze są małe kundle – moim zdaniem najbardziej czujne i hałaśliwe. Marek w tym czasie podkradał się pod zagrodę z kurczakami. Dookoła panował zgiełk, gdzieś w oddali słychać było odgłosy traktorów. Widziałem przez trawę, jak rolnik wyprowadza z zagrody kasztankę z młodym źrebakiem – na szczęście w bezpiecznej odległości od kurnika. Koń się trochę szarpał, więc gospodarz przyłożył mu parę razy w grzbiet, żeby się uspokoił. Chabeta jednak dalej była niespokojna, stanęła na tylnych kopytach i jakoś chłopa słuchać nie chciała. Trochę to jeszcze trwało, zanim klacz ze źrebakiem i pomstujący chłop oddalili się za pobliską oborę. Zdałem sobie sprawę, że tym razem to nie pies mógł być tu najgroźniejszy, ale właśnie ta szkapa. Bardziej czujna niż jakiś burek czy gęsi w zagrodzie, szczególnie że był z nią źrebak. Marek wślizgnął się do kurnika. Trochę trwało, zanim go ponownie zobaczyłem, ale bez przeszkód wrócił do miejsca, gdzie na niego czekałem.

– Masz jajka? – zapytałem.

A on zdjął rękawiczki umazane krwią i spod kombinezonu snajperskiego wyjął białego kurczaka.

– Chryste… – jęknąłem.

Wróciliśmy. Niedaleko naszej kryjówki wyciągnąłem leathermana i odpiłowałem kawałek prostej odnogi krzaka leszczyny. Miałem też sznurek. Skręciłem go porządnie, a następnie napiąłem na prowizoryczny łuk. Wyciąłem kawałek konara z sosny i jeszcze jeden ze świerczyny. Teraz trochę delikatnej kory z brzozy i kłębek wyschniętej trawy. Nasze zapałki nie nadawały się kompletnie do niczego. Były tak mokre, że może po jakimś tygodniu leżenia na słońcu cokolwiek dałoby się z nich wycisnąć. Przyklęknąłem więc i pociągnąłem łukiem wraz z zaplecionym w sznurek drewnianym świdrem. Prowadziłem świder, w lewej dłoni mocno trzymając nakładkę. Po minucie równomiernych, coraz szybszych ruchów do przodu i do tyłu wykrzesałem ze świerkowego czółenka zaczątki ognia. Pojawił się lekki dymek. Odrzuciłem łuk na bok i zacząłem dmuchać, a następnie wziąłem pęczek wygniecionej trawy i całość włożyłem do wcześniej wykopanego w ziemi dołka. Reszta była już prosta.

Nazajutrz Marek ekspresowo wydoił do menażki pobliską krowę. Zresztą tę samą, którą codziennie rano odwiedzała kobieta w trójkątnej chuście. Misja mogła trwać dalej. Kolejne

dni i noce nie były zbyt pogodne; deszcz lał jak w Bangladeszu. Ale miało to i dobre strony, bo opady rozmywały nasz zapach. Jednak najgorsze dopiero nas czekało.

Jak co noc chcieliśmy zbliżyć się do polnej drogi, prowadzącej od granicy przez wieś. Gdy podeszliśmy pod łąkę, zobaczyliśmy przez noktowizor źrebaka uwiązanego na łańcuchu. To nie był specjalny problem. Kłopot stał nad źrebakiem, w dodatku nieuwiązany. Mamuśka pasła się luzem, a gdy tylko nas wyczuła, w obronie swojego młodego zaczęła szarżować tak zaciekle, że nie pamiętam, kiedy równie szybko przed kimś spieprzałem. Nie dorwała nas, ale później przez całą noc tak przeraźliwie rżała, że jak o tym pomyślę, to nawet dzisiaj mam ciarki na skórze.

Wskoczyliśmy z Markiem do naszej nory, ale nie za bardzo wiedzieliśmy, co robić dalej. Przecież nie mogliśmy jej odstrzelić. Taktyka była więc następująca: leżymy tu i czekamy do rana, a potem zmieniamy „lokal". No, ale jak przetrwać do rana, gdy ta szalona szkapa drze się wniebogłosy i biega raz na dół do źrebaka, a następnym razem do nas. Choć było zupełnie ciemno, wyczuwała nas doskonale i podbiegała coraz bliżej. W pewnym momencie zrobiło się tak niebezpiecznie, że omal nie roztrzaskała mi czaszki. Nie było innego wyjścia – potraktowaliśmy kobyłę gazem pieprzowym. Trochę strzeliliśmy sobie w ten sposób w stopę, bo jeszcze długo potem oczy piekły nas jak cholera, ale przynajmniej przeżyliśmy do rana. Dobrze, że mieliśmy dość grube żerdzie nad naszą kryjówką, bo rano chyba byśmy jednak musieli jeść koninę. Faszyna z grubych drzew wytrzymała ataki szkapy, ale przyznam bez bicia, że takiej sytuacji nigdy w życiu nie miałem, ani wcześniej, ani później. Nazajutrz chłop przeprowadził źrebaka na inną łąkę, a szalona kobyła poczłapała za nim, tylko od czasu do czasu łypiąc groźnie w naszym kierunku.

Zostały nam jeszcze dwie doby do ewakuacji. Postanowiliśmy, że skoro szkapy nie ma, to zostajemy.

Kiedy idziesz do lasu na grzyby, wydaje ci się, że wchodzisz do miejsca, gdzie po prostu rośnie dużo drzew i ładnie pachnie. I tyle, bo po dwóch, trzech godzinach jesteś z powrotem w domu. Ale żeby mieć jakiekolwiek pojęcie o lesie, trzeba w nim spędzić co najmniej takie właśnie dwa tygodnie bez przerwy, bez kontaktu z cywilizacją. Wtedy dopiero naprawdę można się przekonać, czym jest natura w pełnej okazałości. Deszcz, wilgoć, owady, zwierzęta czy choćby – jako atrakcja ekstra – kobyła z pobliskiego gospodarstwa. Ale to jeszcze małe miki w porównaniu z tym, co mogłoby cię zaskoczyć, gdybyś był kompletnym nowicjuszem.

Kolejnego popołudnia jedliśmy to, co zostało ze zdobycznego kurczaka, gdy nagle zobaczyłem, że zbliża się do nas wilk. Zamarłem w zupełnym bezruchu. Podobnie jak Marek, który trzymał menażkę w dłoni i tak z otwartymi ustami obserwował zwierzaka. Duży, siwy, spokojny wilk zatrzymał się, patrząc na mnie i na Marka, przechylał lekko głowę, próbując chyba coś wypatrzyć. Marek wpadł na niezły pomysł – sięgnął do kieszeni na udzie i prysnął sprayem, ale bez wyjmowania go z kieszeni, tak żeby słychać było tylko syk gazu. Chyba podziałało. Wilk odwrócił się dostojnie i zniknął w gęstwinie. Mądry zwierzak.

Ostatni wieczór obserwacji. Jak do tej pory nie było żadnego przekroczenia. Nasze radiostacje milczą. Są wyłączone. Włączamy je tylko w określonym czasie, raz na dobę. Na

celowniku naszych lornetek kilka razy mieliśmy pograniczników, ale chłopcy nie zdradzali jakiegoś szczególnego zaniepokojenia. Uporządkowaliśmy naszą bazę. Zatarliśmy ślady. Zapadła noc. Siedzimy na skraju lasu. Mamy jakieś czterysta metrów do miejsca, gdzie mamy być podjęci o trzeciej nad ranem.

Nagle wyraźnie słyszymy, że ktoś się skrada. Po chwili hałas zaczął tak rosnąć, że byliśmy niemal na sto procent pewni, że to duża grupa ludzi. Szybko ustalamy, że ja robię swoje, dokąd się da, a młody wzywa przez radio wsparcie. Przygotowałem karabin; na wszelki wypadek odsunąłem jeszcze raz zamek i upewniłem się, że mam nabój w komorze. Lekko się podniosłem, aby przygotować się do oddania strzałów. Wcześniej ułożyłem przed sobą trzy granaty hukowe. Odgłosy łamanego chrustu były coraz bliższe. Czekam, aż będę miał kontakt wzrokowy, i spodziewam się lada chwila azjatyckich przemytników, którzy mogą się zachować w sposób zupełnie nieprzewidywalny. W końcu dostrzegam, jak w cieniu drzew, na krawędzi wzniesienia, ukazują się pojedyncze czarne sylwetki. Kładę palec na spust i…

– Marek, poczekaj! – Głowa opada mi na karabin, z rozbawienia, a może z ulgi. – To dziki…

Olbrzymie ruskie dziki przeszły na naszą stronę.

– Chyba mam dosyć tej góry… – mruczę, nie wiem, czy do siebie, czy do Marka. – Definitywnie, koniec, kończymy tę robotę!

Młody uśmiecha się. Twardziel. Dobrze, że do nas trafił.

Po dwudziestu minutach docieramy do miejsca ewakuacji. Zabiera nas terenówka, możemy odetchnąć z ulgą. Ciężki survival. Misja wykonana, nikt nas nie namierzył. W naszym sektorze nie było też żadnego nielegalnego przekroczenia granicy.

Irak

Pogawędziliśmy trochę o taktyce, broni, szkoleniu i charakterystyce sił specjalnych, przenieśliśmy się z tej okazji (poza opisanymi ćwiczeniami w Bieszczadach i w Stanach Zjednoczonych) na Haiti, nad wschodnią granicę Polski, do Zatoki Perskiej i do Iraku. Zatrzymajmy się jeszcze raz w tym kraju. To wyjątkowe miejsce dla historii GROM-u, a jednym z celów tej książki jest próba bliższego przyjrzenia się tym szczególnym terenom operacyjnym, na których GROM był, działał i wykorzystywał swoje wyszkolenie w czasach, gdy przez dwadzieścia lat w nim służyłem. Jeśli kojarzy ci się to z jakimikolwiek wątpliwościami natury moralnej, od razu powiem – nie miałem problemów z motywacją. To nie Wietnam. Cel zawsze był etycznie prosty: chronić tych, którzy mieli tego pecha, że znaleźli się – z różnych zresztą powodów – w najbardziej niebezpiecznych miejscach globu (bo na przykład tam się urodzili), i walczyć z tymi, którzy byli winni ich cierpień. Cała tragedia polega na tym, że nasze działania były i nadal są kroplą w morzu potrzeb, choć z drugiej strony mam przekonanie, że gdyby nie siły specjalne z całego cywilizowanego świata, ogrom nietolerancji, zbrodni i fanatyzmu religijnego sięgałby już znacznie dalej, niż to jest dzisiaj. Wszyscy wiemy, że obywatelom Iraku, Afganistanu, Syrii czy Iranu daleko ciągle do szczęścia. Ale ta wojna jeszcze potrwa.

Wyraźnie ostatnimi laty osłabiona Al-Kaida stawia na „samotnych wolontariuszy", używających jej symbolu, by ogrzać się w jej dawnej sławie, a to ataki czyni jeszcze bardziej nieobliczalnymi, jak w przypadku zamordowania dziewięciu rysowników i dziennikarzy paryskiego tygodnika „Charlie Hebdo", dwóch policjantów, trzech przypadkowych cywilów oraz ranienia dalszych jedenastu osób. 7, 8 i 9 stycznia 2015 roku dokonano w Paryżu jeszcze kilku innych zamachów, w wyniku których zginęły kolejne osoby, między innymi policjantka. Każdy z tamtejszych zamachowców został zlikwidowany przez antyterrorystów, jednak nie udało się uniknąć ofiar cywilnych. W wielu wypadkach na razie jeszcze nie jest to możliwe. Zwycięstwo nad terroryzmem nastąpi… ale jeszcze nie teraz. To długotrwały proces.

Byłem w Iraku, Kuwejcie, na Haiti i jeszcze w paru innych krajach, o których nie zawsze mogę opowiedzieć, ale mimo wszystko podjąłem próbę „zabrania" cię do kilku najbardziej niebezpiecznych miejsc świata, które znasz tylko z telewizji. Nie dbaliśmy o reklamę. Ale teraz, po dobrych kilku latach, chyba warto o tym trochę pogadać. Z wielu powodów. Swoją drogą uważam, że kto nie był w Iraku, ten się nigdy nie przekona, jak naprawdę miały się tam sprawy. Można próbować to opisywać, opowiadać, ale przy natłoku nieuporządkowanych informacji płynących z dzisiejszych mediów nie jesteśmy w stanie sobie nawet wyobrazić, na

czym polegał i polega dramat tego kraju i ludzi tam mieszkających, nierzadko słabo orientujących się w meandrach wielkiej polityki. Pojechaliśmy tam w wiadomym celu i raczej nie przypominało to wycieczki krajoznawczej. Przeprowadziliśmy z Amerykanami dziesiątki, może nawet setki udanych akcji i jest to ogromny sukces sił sprzymierzonych, choć wiemy, że tam wciąż jeszcze daleko do normalności. Od pierwszych stron tej książki, opowiadając, jak na samym początku obecnego wieku walczyliśmy z tymi ludźmi w Iraku, próbuję jak najbardziej szczerze naszkicować to, co przeciętnemu Polakowi może wydawać się dalekie i pozbawione realnych kształtów. Ale dla nas to było cholernie realne.

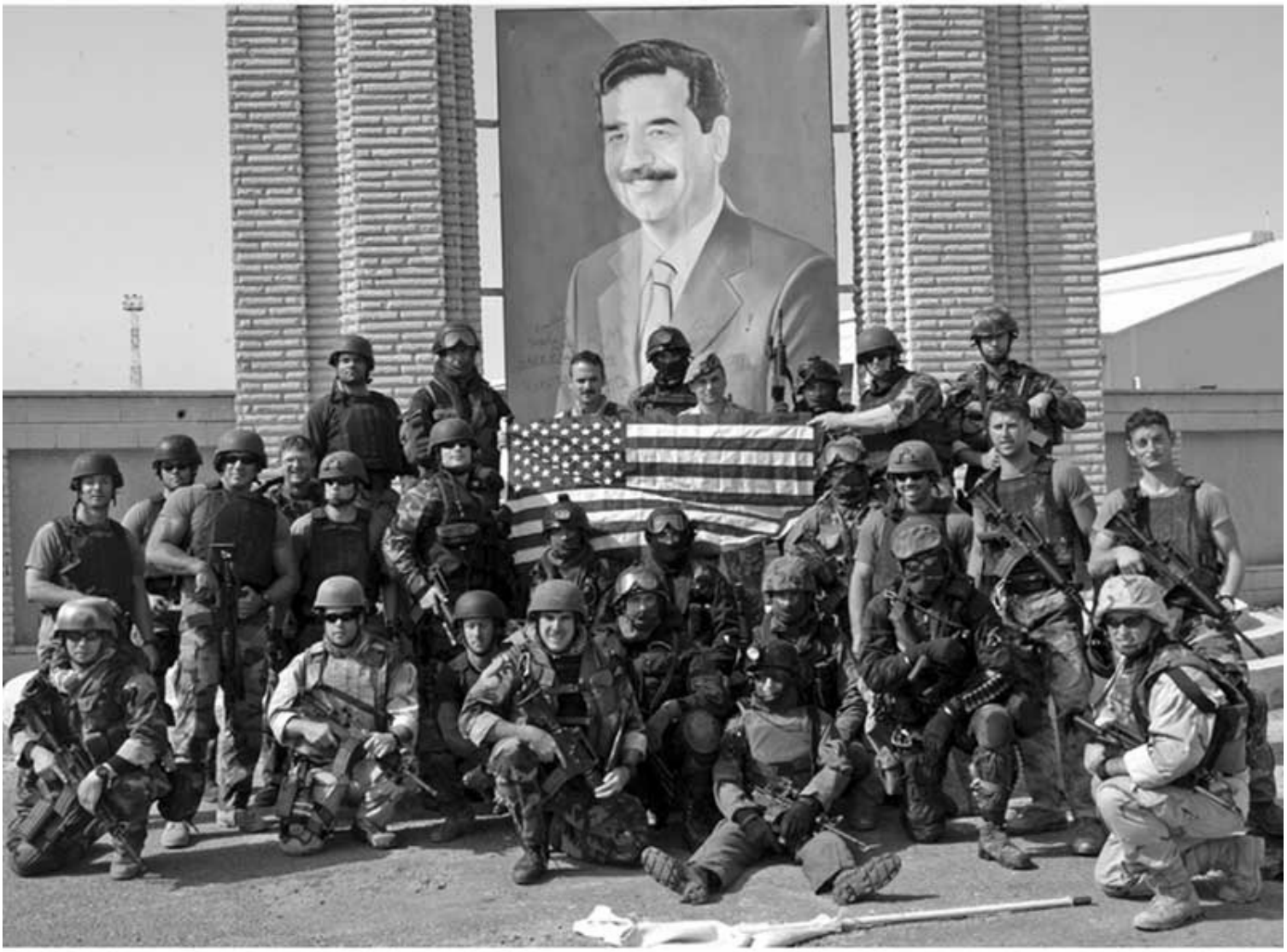

Słynne zdjęcie z amerykańskimi sealsami pod pomnikiem Saddama Husajna. Umm Kasr, Irak, 2003 rok

Al-Falludża

Upalny, pustynny dzień. W świetlicy – prowizorycznie zbudowanej ze sklejek między rzędami białych kontenerów mieszkalnych – głośno nadaje duży telewizor. Nawet z oddali daje się wyłowić poszczególne słowa: „Jak podaje CNN, dziś w Al--Falludży spalono dwóch amerykańskich obywateli pracujących dla agencji Blackwater. Źródła donoszą, że założono im opony na szyję, związano ręce i spalono żywcem". Na monitorze widać czarne ludzkie kształty wywieszone na przęsłach mostu prowadzącego do miasta…

Irak. Dzień jak co dzień? Nie zadaję sobie dzisiaj żadnych pytań. Idę na zbiórkę.

– Uwaga do wszystkich!… 5… 4… 3… 2… 1… silniki start!

– Alfa 2, tu Sierra 3, *radiocheck*, jak mnie słyszysz, odbiór!

– Sierra 3, tu Alfa 2, słyszę cię dobrze, odbiór!

– Alfa 2, tu Sierra, dzięki i powodzenia, bez odbioru.

Ruszamy.

Słońce – tego dnia jakby większe niż zwykle, czerwone, pulsujące zza oparów gorącego powietrza – niknie już za horyzontem. Długą asfaltową drogą jedziemy w kolumnie trzydziestu wojskowych pojazdów. W oddali, na zakrętach pomiędzy pojedynczymi palmami daktylowymi, widzimy, jak migają tkwiące na wieżyczkach za lufami pięćdziesiątek lub wyrzutniami granatników MK19 ciemne sylwetki gunnerów, w hełmach kevlarowych z monokularami, charakterystycznie wystającymi nad czołem lub tuż przed oczami. Od czasu do czasu kierowcy mocniej przyciskają pedał gazu i wtedy silniki hummerów porykują donioślej. Zespół bojowy – Task Force – zmierza konsekwentnie do miejsca gdzieś na pustyni, ponad sto kilometrów na zachód od Bagdadu. Na niebie w oddali rozlega się charakterystyczne buczenie silników Herculesa C-130 Gunship. Nad naszymi głowami od czasu do czasu przelatują Sierry – śmigłowce szturmowe typu Black Hawk, ze snajperami na pokładzie.

Noc przynosi wreszcie lekki, przyjemny powiew chłodniejszego powietrza.

Jedziemy „na noktowizorach", niektórzy „na termowizji". Nie ma prawa zapalić się żadna, nawet najmniejsza samochodowa żarówka. Kolumna jedzie bez jakichkolwiek świateł. W pewnym momencie hummery jadące na przodzie zaczynają skręcać w prawo, na kamienistą drogę, i zawijać do tyłu, spokojnie pojazd za pojazdem. Silniki stop, opada kurz, panuje niemal całkowita cisza. Wypinam się z radiostacji i zeskakuję przed kolumną hummerów. W milczeniu patrzę na resztki poświaty pozostałej po słońcu schowanym już daleko za niskimi wzgórzami rozległej pustyni.

Podchodzi do mnie jeden ze starszych sierżantów, mój stary towarzysz, kiedyś szturman z wodnego zespołu bojowego GROM-u.

– Fajny widok, panie majorze, w sumie… – wyrywa mu się westchnienie pełne szczerego zachwytu.

– I możesz to tutaj oglądać *for free* – odpowiadam mu. – *All inclusive*, z wojną w pakiecie.

Kiwa wolno głową i kontynuuje już mniej formalnie:

– Co ty tutaj robisz, stary? Przecież już dawno powinieneś siedzieć w sztabie, w biurze. To już nie twoja wojna.

– A ty poszedłbyś na moim miejscu teraz do sztabu? – pytam, chociaż dobrze znam odpowiedź.

– No, nie, raczej nie, może kiedyś…

Przez chwilę patrzymy w ciszy daleko przed siebie. Zakrada się znany nam od lat stary, dobry przyjaciel – delikatny, ostrzegawczy lęk. Dobra rzecz. Niepewność tego, co się za chwilę stanie; zwykły ludzki odruch. Tak powinno być. Umysł będzie myślał jaśniej, rozsądniej, bardziej kreatywnie.

Postój trwa krótko. Wskakujemy z powrotem do pojazdów. „*Rolling… rolling…!*” – słychać w słuchawkach.

Znowu ruszamy.

Pociąg pancerny – tak to nazywano. Długa na czterdzieści metrów (a może więcej?) linia polskich operatorów GROM-u i amerykańskich sealsów w pełnej gotowości do walki. Miasto Al-Falludża, skrzyżowanie ulic przy dwupiętrowym, długim budynku. Pełna noc. Zupełna cisza. Gunnerzy na hummerach zajmują pozycje blokujące na narożnikach pobliskiego budynku hotelu. Cisza, cisza, wciąż przejmująca cisza. Chłopcy z ubezpieczenia zmieniają niemal bezszelestnie pozycje. Zaciska się kordon gotowych do wejścia szturmowców.

W radiostacjach zaczyna się wsteczne odliczanie… rock’n’roll! Wielki huk ładunku wybuchowego założonego przez EOD na drzwiach wejściowych do hotelu. Jednocześnie rozlegają się wystrzały gunnerów w stronę zbliżającego się na pełnym gazie samochodu osobowego. Głośny pisk opon i wreszcie uderzenie. Po sprawie. Teraz chłopcy strzelają w kierunku dachów.

„*Go, go, go…!*” – wszyscy powtarzają po linii. Zgodnie z planem część komandosów zajmuje parter, pozostali – kolejne dwa piętra. Ja jestem w grupie, która ma zająć pierwsze. Idziemy po krętych, szerokich, drewnianych, mocno zużytych schodach. Jestem mniej więcej w środku grupy. Światło jest słabe; przez chwilę świeci, zaraz potem przygasa. Rozpoczyna się walka w pomieszczeniach. Jak zakłada plan – zatrzymuję się na korytarzu, trzymam stałą łączność z amerykańskimi i polskimi operatorami. Nagle ogromny wybuch, huk, coś przygważdża mnie do podłoża. Nie wiem, czy pieprznęło pode mną, czy nade mną. Przez chwilę myślę, że wyleciałem w powietrze z kawałkiem podłogi. Ostra strzelanina i pojedyncze wybuchy w pomieszczeniach z prawej i lewej.

– *We’ve got SF man down!* – słyszę i już wiem, że mamy pierwszego postrzelonego specjalsa. Nie wiem tylko gdzie.

Niedobrze – przemyka mi przez głowę. Przecież dopiero co weszliśmy.

Szybko lustruję samego siebie. Okazuje się, że wszystko jest okej, więc staję na nogi i trzymam swój sektor, gotowy oddać celny strzał, jeśli będzie taka potrzeba. Na schodach, kilka stopni niżej, za mną operuje kolejny GROM-owiec. Ubezpieczamy się sposobem „plecy–plecy”. Po chwili zwala się przede mną kilkunastu – kurwa ich mać – bojowników wziętych przez naszych. Z meldunków wywiadu sprzed akcji wiemy, że to najbardziej fanatyczni terroryści w sektorze. Chłopcy przyprowadzają ich i walą na glebę jednego przy drugim, twarzami do dołu. Podłoga z PCV jest cała we krwi. Asekuruję ich razem z jednym z Amerykanów, który co pewien czas rzuca mi szybkie spojrzenie. Obaj mamy spocone czoła z przejmującego gorąca i chemicznego zapachu dymu z granatów hukowych i prochu. Pod goglami z nomeksu pot zalewa nam oczy. W pewnym momencie kątem oka zauważam po lewej stronie okno, okrągłą lukarnę. Odwracam głowę, widzę ulicę i dachy budynków naprzeciwko. Księżyc zbyt słabo je oświetla, żebym mógł cokolwiek dokładnie zobaczyć, ale instynkt każe mi krzyknąć do chłopaka ubezpieczającego mnie:

– *Move over!!!* Spieprzaj z linii okna!

Jest tak przeraźliwie głośno, że nie wiem, czy mnie słyszy. Podejmuję szybką decyzję – rzucam się na niego, spycham go pod ścianę i wtedy pada stamtąd seria, chyba z kałasznikowa, kaliber 7,62. Szyby z okna rozpryskują się na nas. Natychmiast podaję przez radio, że tłuką do nas z dachu z zachodniej, „czarnej" strony, ale w tym czasie niezależnie od nas „śmigło" zapodało kilka serii z maszynowych, co uciszyło kolesi z dachu na zawsze. Podnosimy się z podłogi, Amerykanin krótko mi dziękuje i robimy dalej. Szturm trwa. Słychać jęki rannych. Gdzieś po drugiej stronie wzdłuż korytarza biegają medycy. Czyścimy, zbieramy, co trzeba, koniec zabawy.

Myślisz, że może było to szaleństwo i bałagan? Nie. Akcja odbyła się, jak trzeba, tak to właśnie wygląda. Nikt nikomu nie wchodził w drogę, wszystko było dobrze przemyślane, wcześniej zaplanowane, a potem odpowiednio wykonane.

Zbiórka przed pojazdami, ewakuacja: *Moving, moving!* Spadamy.

Akcja trwała niecałe trzydzieści minut. Do bazy w Bagdadzie zabraliśmy trzech ważnych, rozpoznanych przez miejscowe źródło osobowe terrorystów wraz z towarzyszącymi im bojownikami.

– *Hey, fuck guys, we are quite good and sound!* – podsumował wesoło i soczyście dowodzący całą akcją amerykański major SEALs na odprawie, która odbyła się jeszcze tej samej nocy.

Takich wspólnych akcji było sporo. Ale wielokrotnie GROM miał również swoje własne pięć minut. No, może czasem więcej niż pięć…

Drugie lądowanie

W Iraku byłem dwukrotnie, czyli jak to mówimy w GROM-ie, zaliczyłem dwie zmiany. W czasie tej drugiej gorąco było od samego początku. Chociaż nie spodziewałem się, że Irak tym razem tak szybko i radykalnie wprowadzi mnie w charakterystyczny dla tamtych czasów „nastrój".

Zresztą sam się przekonaj…

W samolocie transportowym Amerykańskich Sił Lotniczych C-17 Globemaster było bardzo tłoczno. Nic dziwnego, skoro od kabiny pilotów do końca rampy ogonowej, w dwóch szerokich rzędach, stało kilkadziesiąt ton wojskowego sprzętu, zaryglowanego łańcuchami i taśmami z ogromnymi zielono-złotymi metalowymi napinaczami. Przede wszystkim były to polskie ciężarówki, kilka terenowych honkerów – zwanych potocznie pojazdami rolniczymi, ze względu na to, że docelowo przeznaczone były raczej do transportu cywilnego w terenach wiejskich, ale naprędce dla potrzeb Wojska Polskiego lekko je wzmocniono i pomalowano, jak trzeba, żeby wyglądały na bojowe. Oczywiście w żaden sposób nie spełniały one wymogów pola walki; ale nieważne. Były tam też duże piramidy palet ładunkowych z różnego rodzaju gratami, od razu dodam – bardzo dla nas ważnymi. Pośród tak zwanego ogólnowojskowego sprzętu znajdowały się tam również czarne i zielone skrzynie z włókna szklanego z naszym „specjalistycznym" sprzętem. Głównie karabinki MP5 i M4 Bushmaster; karabiny snajperskie: od mcmillanów po stare dobre M21. Mieliśmy też trochę PK z ruską amunicją. Równie ważnym wyposażeniem były liny, sprzęt wysokościowy, noktowizory, oprzyrządowanie laserowe i termowizory, dalmierze oraz kamizelki taktyczne i kuloodporne, a także sporo innego drobnego sprzętu. Z burt olbrzymiego pokładu samolotu zwisały taśmowe kratownice, często dopchnięte do ścian samolotu przez śpiących żołnierzy i szturmowców GROM-u.

Panowała cisza, słychać było tylko stonowane buczenie równo pracujących silników wielkiego transportowca. Co jakiś czas spoglądałem na mój tytanowy zegarek Pro-Tec, który podświetlał mi na zielono odczyt z wysokościomierza.

Siedziałem blisko kabiny pilotów. Co jakiś czas wychodziła stamtąd żołnierka w pomarańczowym kombinezonie i mówiła mi, ile zostało do celu. Tłumaczyłem to na polski, przekazując informacje dalej po linii do pozostałych żołnierzy. Obok mnie siedział jakiś kurier ze sztabu. Leciał do Babilonu, konkretnie do polskiej dywizji, żeby przekazać jakieś tam tajne dokumenty do kancelarii polowej. Spowiadał mi się półszeptem, że on nie wie, co tu robi, bo wsadzili go chyba przez pomyłkę. Może i miał rację, bo chłopina był wyraźnie blady. Teraz,

po latach, gdy to piszę, zastanawiam się, jak by wyglądał, gdyby wiedział, co go spotka za kilkadziesiąt minut…

Sam lot przebiegał bez zakłóceń. Naprzeciwko mnie siedział młody dowódca o pseudonimie „Szyszkownik". Wzrok miał obojętny, znużony miesiącami szkoleń, treningów i wszelkich innych przygotowań do tego wylotu. Ja miałem być jego oficerem operacyjnym, a często też łącznikowym. Pozostali chłopcy odpoczywali – spali lub rozmyślali.

Miałem niezbyt fajne wrażenie, że lecę na cholernie długo. Mojemu dziewięcioletniemu synowi kupiłem właśnie nowy komputer, ale nie zdążyłem nawet sprawdzić, jaki był szybki. Szkoda, ale dzieciak był bardzo zadowolony. Tak przynajmniej to zapamiętałem.

Zapaliły się światła na pokładzie samolotu, co znaczyło, że za chwilę będziemy lądować. Zaczęliśmy wstawać z ławek, rozciągając zdrętwiałe po trzygodzinnym locie nogi. Taśmy webbingu na burtach poluzowały się na chwilę i zwisały przez kilka sekund swobodnie. Technik pokładowy wydał rozkaz, żeby zapiąć pasy i przygotować się do lądowania, więc wszyscy ponownie zajęli swoje miejsca. Byliśmy nad Bagdadem. W samolocie leciało około stu osób, ale samych naszych chłopaków z GROM-u było trzydziestu; w większości z wodnego zespołu bojowego polskich sealsów (czyli Fok). Przeważnie byli to już weterani z Zatoki Perskiej, z działań MIO i LIO, przede wszystkim z wojny przy półwyspie Al-Fau i Umm Kasr niedaleko Basry.

Znaliśmy się nieźle, bo to była już druga moja misja z „Szyszkownikiem". Miałem wtedy za sobą dziesięć lat służby w GROM-ie, mówiąc między nami – więcej niż niejeden z nich. Wśród nas był też logistyk – pseudonim „Maro". Świetny gość, bardzo zorganizowany i jakoś zawsze w dobrym nastroju. Myślę, że jako grupa bardzo sobie ufaliśmy. Oczywiście, jak zwykle w takich zespołach, cały czas tworzyły się podgrupy, pary kumpli, ale jako całość stanowiliśmy niezłą, zgraną pakę.

Spojrzałem na mój zegarek Pro-Tec; dystans między nami a ziemią zmniejszał się i teraz wynosił już tylko trzysta metrów. Klapy samolotu wysunęły się, samolot zaryczał czterema olbrzymimi hamującymi silnikami i dość gładko wylądował. Gdy C-17 Globemaster się zatrzymał, technicy pokładowi otworzyli boczne przednie drzwi samolotu, potem uruchomili tylną rampę. Była oczywiście noc, a lotnisko – jak zwykle, gdy „witało" gości takich jak my – zupełnie zaciemnione. Pas startowy nie świecił, jak to bywa na cywilnych lotniskach, a nasz samolot lądował „na noktowizji". Wszystko do tej pory było okej. Wydawało się, że wysiadka i transport pójdą gładko. I właśnie wtedy rozpoczęło się coś, czego pasażerowie tego lotu z pewnością nie zapomną do końca życia.

Najpierw usłyszałem potężny gwizd lecącego pocisku. Natychmiast rozpoznałem moździerz. Zła wiadomość. Wybuchł bardzo blisko samolotu, tak głośno i zaskakująco, że nikt nie zdążył się nawet zorientować gdzie dokładnie. Na niektórych twarzach wyraźny, trudny do ukrycia niepokój, na niektórych – opanowanie. Z ogólnego hałasu przebija się zdecydowany rozkaz naszego dowódcy o ewakuacji chłopaków z GROM-u. Reszta nie podlegała naszym rozkazom, ale na ich miejscu raczej trzymałbym się naszych tyłków. Musimy zjeżdżać stamtąd jak najszybciej, bo taki samolot z wybuchowym ładunkiem to łakomy cel dla gości, którzy

właśnie w nas walą. Jeśli zdołają za chwilę ustalić dokładne położenie maszyny, będzie totalna bryndza. Wylądowaliśmy zaledwie kilka sekund temu, może jest jeszcze chwila. Decyzja – spadamy stąd najszybciej, jak się da, zostawiamy sprzęt i zasuwamy w miejsce ustalone jeszcze przed lądowaniem. Wyskakujemy z samolotu. Pilnujemy z „Maro" całej naszej grupy i pod ostrzałem rakietowym (bo walą w nas niemiłosiernie) próbujemy pokonać jakieś trzysta metrów do prowizorycznego schronu, zorganizowanego pod dużym amerykańskim namiotem. Ostrzał trwa, wali okropnie. Przez dwadzieścia minut ani chwili przerwy. Jakimś cudem udaje nam się bez szwanku przeprowadzić wszystkich, którzy wyskoczyli. Widzę jednak, że część pasażerów nie zabrała się z nami i została. Nie ma faceta z kancelarii. Najwidoczniej chyba nie dał się wyjąć z samolotu; cholera go tam wie, gdzie się w nim zaszył. Bez sensu; jeśli trafią porządnie w samolot, chłopak będzie… wszędzie. Podobnie jak reszta, która tam została. Czekamy, nie ma wyjścia. Ale ostrzał powoli się wycisza. Próbujemy wrócić do samolotu, a tu kicha. Płyta lotniska ciemna i całkowicie pusta. Potężny jak wieżowiec C-17 Globemaster zniknął jak kamfora. Podbiegam do jakiegoś Amerykanina z obsługi przy pasie startowym i pytam:

– *Where the hell is our plane?!*

Odpowiada, że został odkołowany, bo przecież mieliśmy materiały wybuchowe i według procedur amerykańskich samolot musi być odholowany na koniec lotniska. Niezły kozak musiał go odholowywać… Podbiegam do „Szyszkownika" i mówię mu, że ma na mnie czekać, aż nie znajdę tej cholernej maszyny. Samolot, który ma kabinę ładunkową wielkości sześciuset metrów sześciennych, nie może przecież rozpłynąć się w powietrzu, więc prędzej czy później go wypatrzę. W ciemnościach widzę jeszcze kogoś, kto biega po pasie i podobnie jak ja szuka samolotu. Rozpoznaję go – to „Maro". Idziemy teraz razem na koniec i mamy nadzieję, że świrom od moździerzy nie wpadnie do głowy znowu urządzić fajerwerki. Z oddali powoli zaczyna wyłaniać się z ciemności sylwetka olbrzymiej maszyny. Dookoła skupisko ognistych światełek, które z daleka wyglądają jak świetliki. Podchodzimy bliżej i widzimy grupkę pozostałych pasażerów, którzy stoją i palą nerwowo papierosy. Mieli farta większego, niż myślą. Teraz to już nieważne. Zaglądamy do samolotu – wszystko gra, sprzęt nieruszony, odzyskany. Uspokajam się. Za chwilę wyskakuje Amerykanka, z którą rozmawiałem podczas lotu, i rozgania grupę palaczy stojących zbyt blisko maszyny.

Od tej pory już wiedziałem, jak najszybciej znaleźć Polaka w nocy na pasie startowym w Bagdadzie – trzeba szukać świecących końcówek papierosów.

Przy stole dla „dorosłych”

Pamiętasz, jak pod koniec rozdziału o taktyce niebieskiej napisałem, że amerykański admirał Robert S. Harward wpadł do nas „na kawę” do Camp Doha w Kuwejcie, żeby wysondować, czy zechcemy, jeśli zajdzie taka potrzeba, wesprzeć ich Foki z NSW jako równoprawni partnerzy? Wtedy obiecałem, że jeszcze w tej książce o tym opowiem. I zrobię to właśnie teraz. Przypomnę ten moment, bo wierz mi – był cholernie ważny nie tylko dla nas, ale dla całych Polskich Sił Zbrojnych. A zaczęło się tak.

Pewnego dnia przyszli do naszego blaszanego hangaru w bazie Camp Doha w Kuwejcie dwaj Amerykanie. Dwóch jankesów tak sobie wpadło pogadać z Polakami przy kawie. Okej. Tyle tylko, że pierwszym z nich był admirał Robert Harward, drugim – jego dość tajemniczy adiutant komandor. Zanim przekroczyli próg naszego sztabiku – małego pokoju w prowizorycznym baraku ze sklejki (oczywiście w tym samym hangarze) – niemalże cały tak zwany amerykański stan osobowy stał wyprężony na baczność, nieco przy tym zaskoczony, bo nikt szczególny się dzisiaj nie zapowiadał.

Faceci robili wrażenie. Gdy wparowali do nas, „Wódz” (mój dowódca) i ja przez kilka sekund bez słowa gapiliśmy się na nich z wielkimi znakami zapytania w oczach. Po czym wreszcie wykrztusiłem z siebie:

– How do you do, sir?!

„Wódz”, znany poniekąd ze stoicyzmu oraz niewzruszonego spokoju w każdej sytuacji, przybrał twarz pokerzysty i z indiańskim spokojem dorzucił:

– Sir, let me introduce to you my executive officer!

What is, kurwa, *going on?!…* – pomyślałem podejrzliwie, choć przyznaję, że z pewną nadzieją. Jednocześnie stwierdziłem w duchu, że zachowam to zaskoczenie wyłącznie dla siebie. Wiedziałem, że to musi być jakaś grubsza sprawa, bo takie „pagony” nie wpadają do Polaków ot tak, na kawę.

Rozsiedliśmy się wygodnie naprzeciwko siebie. Zaproponowałem podniośle kawę w jednorazowych, styropianowych kubkach i zaczęliśmy pogawędkę. Zastępca dowódcy Połączonych Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych – człowiek przemiły i na ogół uśmiechnięty (łysy jak kolano) – po omówieniu pogody i kilku innych niemających najmniejszego znaczenia kwestii postanowił pochwalić nas za dotychczasową współpracę z podległymi mu amerykańskimi sealsami. Miło połechtało, ale admirał kontynuował, dopytując, czy mamy jakieś szczególne życzenia w zakresie wsparcia sprzętowego, po czym był łaskaw zaszczycić nas żartem, oferując, że jeśli mamy takie życzenie, to on może naszych chłopaków „ubrać

w nowiutkie mundury i ogolić”.

Fakt, było pośród nas kilku wyjątkowo zarośniętych, niekoniecznie modnie uczesanych, a przy tym średnio urodziwych komandosów. Amerykański żarcik natchnął mnie jednak refleksją, więc nie zwlekając, postanowiłem wygłosić historyczną metaforę:

– Mundurów ci u nas dostatek… a nasi żołnierze umieją się samodzielnie golić, panie admirale, ale…

No cóż… my Polacy i Amerykanie znamy się na eufemistycznych żartach, ale tym razem sugestia była wyraźna: „chcecie, chłopcy, usiąść z nami przy stole dla dorosłych, czy może macie inne plany…?”. Stało się! Chcą, żebyśmy wsparli ich Foki z NSW w czymś, co szykują. A to nam wystarczyło, byśmy od tego momentu zaczęli pisać tony raportów i meldunków do Polski z pytaniem o „możliwość, zgodę na dalsze bojowe działania, ale już nie pod mandatem ONZ, tylko w ramach koalicji międzynarodowej, pod dowództwem Amerykanów”. To zasadniczo zmieniłoby sytuację. Gdyby sztab z Polski się zgodził, GROM od tej pory brałby udział w wojnie na poważnie…

Czekaliśmy więc teraz na oficjalne rozkazy ze Sztabu Generalnego z Polski. Amerykanie wykazali się wręcz świętą cierpliwością. Nie wtrącali się do naszych spraw, ale mówiąc szczerze, nie za bardzo mogli zrozumieć, o co chodzi naszym władzom wojskowym i politycznym. Zgodę na użycie GROM-u do pierwszego powojennego działania bojowego ramię w ramię z najlepszymi specjalsami świata dostaliśmy dopiero po dwóch (!) miesiącach. Na jeden dzień przed słynnym atakiem na platformę, w którym wzięliśmy oczywiście udział. Zaczęła się spełniać wizja, którą kiedyś, przed dziesięciu laty, w Bieszczadach przedstawiał nam generał Petelicki. Chyba nikt poza nim do końca w to nie wierzył. A on tak. Teraz nadszedł przełomowy czas dla naszego kontyngentu wojskowego, od roku działającego w Kuwejcie i w Afganistanie. W dotychczasowej powojennej historii polskie wojsko miało mandat do działań pokojowych, rozjemczych, obserwacyjnych, buforowych, demarkacyjnych i tym podobnych, na przykład na wzgórzach Golan albo w byłej Jugosławii (jak choćby w Slawonii czy Vukovarze). Przez blisko pięćdziesiąt lat Rosjanie wykorzenili z Ludowego Wojska Polskiego jakiekolwiek działania zaczepne. A przecież nam, GROM-owcom, przez lata szkoleń ostrzono pazury do walki na ostro, na bojowo, a potem przez ponad dekadę wpajano, że jesteśmy elitą Polskich Sił Zbrojnych i gdy przyjdzie taki czas, musimy być gotowi do walki z realnym przeciwnikiem, a nie tylko z tarczami czy manekinami. No i ciekawe, czy zdawano sobie sprawę, że do tej pory w tym chrzanieniu raczej więcej było polskiej polityki zagranicznej niż świadomości, że jeśli się nas spuści z łańcucha, to pogryziemy. Admirał Harward poznał nas na tyle, że wiedział o tym doskonale.

Oko w oko z morskim kolosem

I znowu miałem dziwne myśli. Przecież jestem snajperem, typowym szczurem lądowym. Co ja tu robię, w tym bezkresie wód Zatoki Perskiej? Ale przecież to taka szansa… Okej, trzeba było sobie przypomnieć trochę numerów, które robiliśmy na Bałtyku, z tym że różnica pomiędzy platformą wiertniczą na naszym morzu a tym, co widziałem tutaj, na razie z oddali, gdy patrolowałem morze z odrzutowo-strumieniowej łodzi typu MARK V, jest spora. Nasze polskie platformy znam bardzo dobrze. West i Baltic Beta to takie dwie polskie – jak to my mówimy – księżniczki olejowe. Spędziłem na nich dość dużo czasu. Na każdych ćwiczeniach wspinałem się po linach tak przynajmniej ze trzydzieści, czterdzieści metrów w górę. Ogólnie – dramat, ale tak wtedy trzeba było.

W tamtych czasach były tylko dwa oddziały GROM-u. Dzisiaj są trzy, jest większa specjalizacja. Wtedy wszyscy musieli umieć wszystko. Każdy musiał być – jak to mówią Amerykanie – człowiekiem pajączkiem, czyli od wszystkiego. Dziś być może nie musiałbym moczyć tyłka i wpierniczać po linie na wysokość dziesięciopiętrowego wieżowca, wtedy było nieco inaczej. Potem jednak okazało się, że wszystko to przyda nam się w jednej z najbardziej istotnych i prestiżowych akcji GROM-u podczas wojny w Iraku.

Zbliżała się inwazja, ale o tym dowiedzieliśmy się nieco później. Jeszcze przed jej nastąpieniem dostaliśmy zadanie opanowania jednego z najbardziej strategicznych obiektów irackiej części Zatoki Perskiej – platformy Khawar al-Amaya Offshore Terminal, w skrócie KAAOT. Jej siostrzyczkę – Mina al-Bakr Offshore Terminal, czyli MABOT – mieli zająć Amerykanie. To, co zobaczyłem podczas przygotowań w Zatoce, to było monstrum, jakiś niekształtny kolos, a nie jedna ze znanych mi do tej pory platform. Już bardziej przypominało to miasto na wodzie, z długim molem.

W rzeczywistości KAAOT i MABOT to dwie olbrzymie irackie przepompownie ropy, obie kilometrowej długości, połączone w jeden kompleks blisko trzystumetrową kratownicą. Bywało, że po powrocie z rekonesansu leżałem nocą na pryczy w bazie Camp Doha w Kuwejcie i długo jeszcze miałem je przed oczami. Robiły, cholera, wrażenie.

Chcieliśmy dobrze rozpoznać cały ten rejon, więc oblatywaliśmy go śmigłowcami, ale ostrożnie, raczej z daleka, żeby zbytnio nie zakłócać tam pracy i nikogo nie straszyć. Na razie… Tak mówiąc szczerze, byliśmy tutaj już od marca, a tak na poważnie od listopada 2002 roku, ale mało kto wiedział. Potem, o czym już tu pisałem, wypływaliśmy często na Zatokę. Mieliśmy, jak to się wtedy ładnie nazywało, „realizować mandat ONZ w ramach misji morskich” – MIO oraz LIO – w celu przechwytywania przywódców Al-Kaidy oraz

neutralizowania wszystkich, którzy mogli ich wspomagać. Charakter obu działań był podobny, więc uskutecznialiśmy abordaż za abordażem, czasem dwa, trzy statki w ciągu jednej nocy, a bywało, że i sześć, jak były dwa zespoły. I tak na okrągło, aż do końca grudnia tamtego roku. Całość miała bardzo mądralińską nazwę, dla amatorów tajemniczą, dla nas dość oczywistą – Multinational Interception Force (MIF). To była ważna przykrywka, bo MIF działał pod auspicjami Rady Bezpieczeństwa ONZ, a pamiętajmy, że to właśnie ten organ wydał słynne sześć rezolucji w sprawie Iraku. Niejaki Abd al--Madżid al-Tikriti, czyli mówiąc po ludzku – Saddam Husajn, olał wszystkie te dekrety, a po raz kolejny prężąc muskuły, strzelił sobie w stopę. Bo teraz siły międzynarodowe mogły utrudniać dyktatorowi handel ropą naftową, co oznaczało dwie rzeczy: po pierwsze bardzo złe wiadomości dla gospodarki Iraku, po drugie wodę na młyn przemytników, którzy natychmiast wzięli się do roboty. Kontrabanda stała się tak opłacalna, że warto było nawet ryzykować życie.

Żeby sprawę uporządkować, zjechała się nad Zatokę większa ekipa, to jest marynarze z Włoch, Kanady, Belgii, Holandii, Australii, Argentyny, Nowej Zelandii i Wielkiej Brytanii oraz Stanów Zjednoczonych. Licząc na to, że żołnierze spękają, przemytnicy wypływali najczęściej w fatalną pogodę. Ale przestarzałymi tankowcami, w dodatku tak przepełnionymi, że ropa niemal przelewała im się przez burty. Prędzej czy później musiało dojść do tragedii. I doszło. Na dzień dobry zatonęła barka szmuglująca pięć tysięcy ton ropy, w dodatku to, co z niej zostało, zatarasowało tor wodny Asz-Szarika. Skutki były katastrofalne: zniszczono wszelkie życie w morzu w promieniu wielu mil i pozbawiono wody kilkaset tysięcy ludzi. To mniej więcej tak, jakby w Poznaniu nagle zakręcono wodę i pozbawiono do niej dostępu wszystkich mieszkańców. A to nie był koniec. Kwitł przemyt z Iraku i do Iraku. Jego kierunki były różne. Zdarzało się, że czasem były one dziwaczne z politycznego punktu widzenia, bo na przykład szmuglowany towar chętnie odbierano w Indiach i jednocześnie u ich śmiertelnego wroga – w Pakistanie. No cóż, nasz współczesny świat stoi na biznesie; Chiny Ludowe bardzo aktywnie handlują z Tajwanem, choć może nie piszą o tym na pierwszych stronach swoich gazet, a kilka firm izraelskich (ale to już rzeczywiście wyjątkowo dyskretnie) żyje w doskonałych stosunkach z niektórymi firmami z Syrii czy Iranu, a nawet z firmami, których właścicielami są Palestyńczycy, choć jak wiemy, Palestyna raczej gigantem biznesu nie jest.

Jednym z kierunków przemytu ropy z Iraku były Zjednoczone Emiraty Arabskie – kraj nowoczesny, bardzo szybko rozwijający się i raczej nieagresywny. Dubaj postanowił być najnowocześniejszym miastem świata, z najwyższymi wieżowcami i najfajniejszą rozrywką (na której nadmiar w takim Iraku czy Iranie raczej trudno narzekać). Dość powiedzieć, że w Mall of the Emirates – jednym z największych centrów handlowo-rozrywkowych na świecie – oprócz setek sklepów, pubów i klubów nocnych wybudowano… kryty stok narciarski. Słabo?

I właśnie „u bram” Dubaju rozkraczył się szmuglerski tankowiec, który na długie lata popsuł humor włodarzom miasta. Wszyscy powoli zaczynali mieć tego dość. Do kontroli zaangażowano nawet satelity, zwiad lotniczy i oczywiście nas.

Jak to wszystko wyglądało od kuchni? Trochę już o tym pisałem, teraz szerzej.

Stacjonowaliśmy, oczywiście, w Kuwejcie, w bardzo dużej i bardzo betonowej bazie amerykańskiej Camp Doha, tej samej, w której swego czasu odwiedził nas admirał Harward i zasugerował, żebyśmy wzięli się może wraz z nimi do tego, do czego tak naprawdę nas wyszkolono. Stąd co dwa, trzy dni jeździliśmy ze sto kilometrów, nad wybrzeże Zatoki Perskiej, do bazy marynarki wojennej Kuwejtu. Zespołem dowodził „Wódz", ja byłem jego zastępcą. Obaj pochodziliśmy z lądowego zespołu bojowego, wcześniej byliśmy snajperami. Ponieważ czasy tego wymagały, no to niekiedy trenowaliśmy różnego rodzaju fikołki-koziołki na platformach na Bałtyku, na abordażowanych statkach i tak dalej, ale średnio nam to leżało. Jednak gdy byliśmy nad Zatoką, staraliśmy się po prostu robić swoje. Byliśmy też przekonani, że to nasza ostatnia szansa, żeby cokolwiek sensownego zdziałać w tym zawodzie, bo po powrocie do kraju odejdziemy pewnie do cywila, ponieważ ktoś wpadł na przegenialny pomysł, żeby dowództwo GROM-u przejął człowiek, którego kompletnie nie znaliśmy, a co jeszcze gorsze – on nie znał nas (opisałem to w innej części książki). To nie był moment na takie eksperymenty. Tęskniliśmy za charyzmatycznym Petelickim, który umiał w nas tchnąć to „coś", a dostaliśmy nowego, świeżego dowódcę i sygnał, że właściwie nie wiadomo, co będzie dalej. Na szczęście na razie byliśmy tutaj, w Kuwejcie, i nikt nam nie przeszkadzał w robieniu tego, co trzeba było wtedy robić.

Sporo się uczyliśmy. Amerykańskie MARK-i V były dla nas kompletną nowością. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widzieliśmy. W oddziale wodnym w Polsce mieliśmy jedynie mniejsze łodzie miękkokadłubowe, pontonowe RIB-y, ale tylko z silnikami zaburtowymi Ferguson o mocy stu siedemdziesięciu pięciu koni mechanicznych, ze ślimakiem turbinowym. To tak, jakbyśmy płynęli trochę lepszą motorówką. Moc miały dość dobrą i cięły przez Bałtyk nieźle. W Polsce żadna służba oprócz GROM-u takich nie miała. Ale MARK-i V to przy tym był sprzęt z *Gwiezdnych wojen*. Nie przesadzam.

MARK-i V stanowiły wysuniętą małą bazę dowodzenia do manewrów na morzu. Zawsze wypływały po dwa. Dlaczego? Gdyby jeden się zaciął – drugi go odholowywał. A w walce nietrudno o kłopoty. Na MARK-a V można było podwiesić jednego RIB-a, tak żeby ten RIB nie musiał już płynąć sam i zużywać własnego paliwa.

Mieliśmy więc u nas w sumie dwa MARK-i V i cztery RIB-y (znacznie lepsze modele niż te z Bałtyku). Utworzono dwa zespoły abordażowe. Z reguły było tak, że w nocy atakował jeden zespół: MARK V i dwa RIB-y. Drugi pozostawał w pewnej odległości i w razie czego czekał na sygnał. Jeśli szło gładko, to zwykle wszyscy na nim spali. Ale czasem bywało mniej spokojnie i trzeba było pomóc pierwszemu zespołowi lub w dwa zespoły równocześnie zaatakować dwa oddzielne okręty.

Wszelkie statki, które czy to wypływały z portu w Iraku, Umm Kasr, czy to do niego wpływały, były atakowane. Na wyspie Dżazirat Bubijan, należącej do Kuwejtu, Amerykanie wybudowali wieżyczkę obserwacyjną do kontroli ruchu wodnego. Polacy często pełnili tam służbę. Cholernie niebezpieczne miejsce, bo wysepka nie dość, że była w strefie nadgranicznej, to jeszcze bezpośrednio graniczyła z trasą wodną Umm Kasr – Zatoka Perska.

Statki namierzał też potężny australijski krążownik USS Valley Forge. Ozzies (popularna

ksywa Australijczyków) namierzali statki w promieniu stu mil, więc radary mieli niekulawe. W nocy akcje na przemytników przeprowadzały siły specjalne, czyli my, a w dzień amerykańska Coast Guard, czyli po prostu straż graniczna. Sporo najechało tu „mokrych" z całego świata. Z Polski oprócz nas pływała tu, jak słuchy nas dochodziły, także Formoza na polskiej, ponoć najlepszej, łajbie naszej marynarki wojennej – Kontradmirał Xawery Czernicki, zresztą z kapelanem na pokładzie. Ale mówiąc szczerze, nigdy ich tutaj nie widziałem. Czasem tylko Ozzies gratulowali nam, że taki fajny polski statek tutaj jest. Bo to są weseli i dowcipni ludzie.

Mokra robota

Było tak.

„Wódz” oddelegował mnie do Australijczyków razem z pewnym majorem (nazwijmy go „Dżej”, czyli „J”) z Navy SEALs. Mieszkaliśmy z sealsami w hangarze w Camp Doha. Oni mieli swój barak ze sklejki, a my swój, z podobnej sklejki, w drugiej alejce. No i codziennie rano chodziłem do nich na odprawy. Potem razem jechaliśmy do portu i – jak pisałem – wypływaliśmy w zespołach w morze.

Płynęliśmy MARK-iem V najpierw na centralny statek – bazę, czyli krążownik Ozzich – Valley Forge. Przed wejściem na statek przesiadaliśmy się z „Dżejem” na miękkiego RIB-a. W nocy bywało to wyzwaniem, bo jeśli się źle wymierzyło, to wpadało się do morza, co mogło się źle skończyć. Niemiłosiernie kołysało, czasem pogoda potrafiła być wręcz sztormowa, więc jak człowiek dostał się między łodzie, to przy pechowym układzie mógł zostać zgnieciony, tak że już z tego nie wychodził.

Potem należało RIB-em podpłynąć do Valley Forge i tam złapać sznurową drabinkę, a następnie wspiąć się jakieś dwadzieścia metrów, żeby znaleźć się na pokładzie. I to wszystko w nocy, przy pełnej pracy i ryku silników strumieniowych, gdy sternik próbował przytulić RIB-a do burty okrętu. Jakiś czas wcześniej zdarzył się pewien wypadek. Jeden z amerykańskich pułkowników nie trafił nogą na sznurową drabinkę – burta RIB-a zmiażdżyła mu nogę, dociskając ją do krążownika. RIB teoretycznie jest łodzią zbudowaną z gumy, ale burty ma twarde.

Gdy już byliśmy na krążowniku, szliśmy z „Dżejem” do centrum dowodzenia. Nawiasem mówiąc, świetnie się dogadywaliśmy. Niekiedy zamiast mnie szedł „Wódz”, ale po tym, jak zobaczył, na czym tu polega robota, miałem wrażenie, że na samą wieść o tym zaraz puści pawia za burtę, bo chyba już miał dość. Ja zrzygałem się już na samym początku, gdy tylko zaczęło porządnie kołysać, no i gdy poczułem ten „słodki” zapach okrętu.

Na krążowniku działali przede wszystkim marynarze z Australii, zaprawieni w robocie na statkach. Zwykli kolesie z marynarki wojennej, którym towarzyszyli amerykańscy sealsi. Atmosfera tutaj przypominała tę z filmu *Jak rozpętałem drugą wojnę światową* – pewnie pamiętasz, jak Franek Dolas dostał się na statek i trafił na czarnego od brudu kotłowniczego, który sypał węgiel, żeby ciśnienie pary było odpowiednio duże. Mnie tu, na Valley Forge, też dorwał jakiś marynarz, gdy siedziałem sobie spokojnie w stołówce. Chciał mi pokazać, jak pracują tłoki silnika krążownika. Chłopak był w pełni oddany robocie na tym statku; patrząc w dal, z dumą wyznał, że jego jedyną rolą jest dbać tylko o ten olbrzymi silnik. Szacun.

Szczególnie że panowały tam tak niesamowity hałas, duchota i gorąc. A gość mi krzyczy do ucha, że on tu już pięć lat tak siedzi!

Na mostku z kolei były nudy, nudy, nuuuudy. Może Australijczycy świetnie się tam bawili, ale dla „Dżeja" i mnie nic ciekawego tam się nie działo. Musieliśmy jednak tam siedzieć, bo byliśmy odpowiedzialni za chłopaków na morzu, którzy na MARK-ach V i RIB-ach czesali Zatokę. A my… piliśmy hektolitry kawy. Z tym czesaniem to też bez przesady. Chłopcy zwykle przysypiali na tych łodziach, przez większość czasu bujając się na falach. Wiem to, bo miałem na nich stały podgląd przez kamerę noktowizyjną i drugą termowizyjną, zawieszoną na śmigłowcu, który non stop nad nimi latał.

Kiedy Australijczycy namierzyli jakiś podejrzany obiekt, ktoś podchodził do mnie, żeby przez radiostację nadać sprawę do naszych. Budzili się, przygotowywali do roboty (góra dwie minuty) i zachrzaniali do abordażu. Sternicy mieli na łodziach swoje systemy GPS, więc wprowadzali współrzędne podane przeze mnie i szukali obiektu gdzieś w ciemnościach Zatoki. Oczywiście, śmigłowiec z reguły pierwszy odnajdował ten statek, a na śmigłowcu siedział zawsze nasz snajper.

Gdy na krążowniku zamiast mnie był „Wódz", wtedy ja dołączałem do sił abordażowych. Ale w sumie zrobiliśmy tak tylko dwa razy, bo „Wódz" miał zdecydowanie dosyć siedzenia na Valley Forge. Do tego potrzebny był angielski, i to nie byle jaki, więc „Wódz" mordował się podwójnie. Opiszę jeden z tych dwóch razy.

Pierwszy zespół to oczywiście jeden MARK V i dwa RIB-y. Grupa jak zwykle była na nasłuchu i odpoczywała, kołysząc się na morzu w zupełnej ciemności. Tylko od czasu do czasu ze śmigłowca widać było na czarnym tle Zatoki Perskiej lampki latarek, trochę jak robaczki świętojańskie. Pamiętam, jak nadszedł namiar. „Statek idzie z portu, jest stąd mniej więcej dziesięć mil na północny zachód". Tej nocy chłopak, którego nazywaliśmy „Wydrzak", dowodził zespołem „jeden", a zespołem „dwa" – bujającym się jakieś sto metrów od nas – „Huba".

Tak przy okazji – do naszego akcyjnego ubioru, który opisywałem wcześniej, dodaliśmy kamizelki taktyczne z cięższym sprzętem (pistolety, amunicja i reszta zabawek). Kaski Pro-Tec na głowy, karabinki M4 do ręki – i jesteśmy gotowi, by dać czadu.

Sternicy – amerykańscy sealsi – odpalili silniki i grzejemy. MARK V rusza pierwszy, a za nim dwa RIB-y. Siedzieliśmy z sealsami w dwóch rzędach, jeden za drugim, na „sowich fotelach" (dość wygodne siedziska z uchwytami metalowymi z przodu) i pruliśmy na pełnym gazie naprzód, praktycznie w zupełną ciemność. Nic nie było widać. Gdyby nagle wyrosła przed nami jakaś skała, zostałaby z nas mokra plama. Ale to było raczej mało prawdopodobne, bo właśnie od tego mieliśmy noktowizję. Dość szybko dostrzegliśmy w oddali słabo oświetlony statek. Gdy był już w zasięgu naszego wzroku, MARK V zwolnił i jeszcze przez chwilę płynął siłą rozpędu, po czym w końcu zatrzymał się. Dwa RIB-y, płynące do tej pory za nim, wyprzedziły go i waliły prosto do jego statku. Okazało się, że to zardzewiały grat, którego górna część nieco przypominała wiklinowy koszyk. Typowy *dhow* – bida z nędzą, statek używany przez bardzo ubogą iracką marynarkę cywilną. Było duże

prawdopodobieństwo, że coś z nimi niehalo, bo przecież nikt o tej porze nie wpłynąłby bez sensu takim rupieciem na wody, na których ONZ rękami służb specjalnych założyła blokadę. Chyba że jest się kompletnym idiotą. Byliśmy jednak bardzo ostrożni, bo zdarzało się, że takie stateczki szmuglowały ważnych członków Al-Kaidy. Dlatego przy okazji MIO robi się identyfikację załogi pod kątem LIO.

Abordaż na burtę statku za pomocą „drabiny Kowalskiego”. Port Umm Kasr, Irak. Marzec 2003 roku

Dobiliśmy. Śmigłowiec już wisi nad statkiem, snajper z powietrza namierza potencjalne cele. Już wiedzą, że mają przechlapane. Inna sprawa, że strzelać w takich warunkach, kiedy wszystko drży, jest wyjątkowo ciężko. Ale ciężko nie oznacza – niemożliwe. Drabiny, które mamy ze sobą, zahaczamy za burty statku.

Na każdym kroku trzeba uważać. Przemytnicy stosowali różne sztuczki, aby utrudniać nam abordaż. Jakieś bezsensowne druty kolczaste, kawałki metalu dospawane do burt, na górze i z boku – metalowe piki, i jeszcze wiele, wiele „mądrości", żeby tylko nie było za łatwo. Znaliśmy właściwie wszystkie te numery. Powstała nawet tak zwana drabina Kowalskiego, pospawana z rurek i prętów, zamiast poprzedniej – miękkiej, speleologicznej. Superpatent, bo sprawdził się nie raz.

Tu nie wyglądało na to, żeby zapowiadały się specjalne kłopoty, jednak w żadnym razie nie można sobie pozwolić na przyśnięcie i utratę czujności.

To szybki atak, więc wchodzimy bez zbędnych ceregieli, czajenia się czy skradania. Pierwsza szóstka ląduje błyskawicznie na tylnym decku, druga natychmiast rusza, żeby „odwiedzić" kapitana statku na mostku, bo tam jest największe zagrożenie. Pierwsza grupa przeczesze ładownię.

W ładowni syf niemożebny. Jakieś opony, trochę daktyli, ale beczek z ropą nie ma. Było tak ciasno, że ciągle waliłem łbem w pieprzony sufit. Idziemy, a tu nagle coś się łamie i słychać, jak górny deck ze spróchniałych desek rozchrzania się na amen. Na plecy spada nam jakiś ciemny potwór. W kurzu i syfie, że oddychać nie można, rozpoznaliśmy „Beduina":

Widok z łodzi bazowej MARK V. Widoczne dwie sprzężone ze sobą lufy WKM-u kaliber 50

– No szedłem, kurwa, po pokładzie, a tu mi się zarwał pod nogami, jebany, i spierdoliłem się dwa metry w dół – wyjaśnia uprzejmie i aż do przesady komunikatywnie.

Nic mu się nie stało, rozerwał tylko spodnie z nomeksu.

Na górze „Wydrzak" gada na zmianę trochę po angielsku, trochę po arabsku z pięcioosobową załogą. Ze strachu mają oczy jak Gonzo z *Muppet Show*. Nawet nie próbują się stawiać. Wiedzą, że nie mają najmniejszych szans. Gość, który robił tam za kapitana, powtarza, że wszystko jest *good*!

– *You can sail farther captain understand, yes?*

– *Yes!*

– *Okay?*

– *Okay!*

To niepojęte, bo statek okazał się czysty – wypłynęli w taką pogodę, w środku nocy, przez środek blokady. Ale niech wiedzą, że nawet mysz się tu nie prześlizgnie. Puściliśmy ich dalej, policzyliśmy się jeszcze, żeby sprawdzić, czy ktoś się gdzieś nie zaklinował, zwinęliśmy ekipę na dół do RIB-ów i grzejemy prosto do następnego abordażu, bo już przez radio podali, że sekcja „Huby" potrzebuje wsparcia. Płynęli zatrzymać jakiś olbrzymi kontenerowiec, który pojawił się od południa.

Odwiedzimy ich równie sprawnie jak tych, tyle że w nieco szerszym towarzystwie.

Atak na platformę KAAOT.
Jedna z najważniejszych akcji polskich sił specjalnych po II wojnie światowej

Styczeń 2003 roku

Tym razem śmigłowce Seahawk, choć w niebieskim kamuflażu, nie kryły swojej obecności. Krążyły na tle słońca, wysoko, ale niemalże w jednym miejscu, po małym okręgu, jeden za drugim, jak cierpliwe jastrzębie zapowiadające kłopoty dla przyszłych ofiar. W każdym z nich był jeden polski i jeden amerykański snajper. Prowadziliśmy z powietrza obserwację platformy KAAOT oraz połączonej z nią MABOT. Po zrobieniu ponad setki zdjęć z długich obiektywów wróciliśmy do portowej bazy marynarki wojennej w Dosze. Nadszedł wreszcie czas na prawdziwy sprawdzian ze wszystkiego. To o tym mówił admirał Robert Harward, kiedy odwiedził nas w Camp Doha. Tu już nie chodziło o działania w ramach ONZ, tylko o nadchodzącą wojnę, która jak dziś wiemy, wybuchła dwa miesiące później – 20 marca 2003 roku.

Oczywiście od tej chwili bieg zdarzeń był dla mnie łatwy do przewidzenia. „Wódz" polecił mi zbudować i zorganizować polską bazę na wybrzeżu w Dosze. Hmm… Łatwo powiedzieć. Ciekawe z czego? Pamiętam, że zareagowałem sarkazmem:

– Jasne, super! Zawsze marzyłem o tym, żeby zostać logistykiem, a nie szturmowcem, i teraz powinienem czuć się wyróżniony!

Odpowiedział mi dość twardo:

– Tylko ty znasz tak dobrze angielski, żeby dać temu radę.

Następnego dnia, wcześnie rano, wziąłem z naszej bazy Camp Doha dwa pajero (samochody terenowe, którymi poruszaliśmy się w Iraku) i z „Hubą", „Redim", „Rosą" i kilkoma innymi chłopakami pojechaliśmy do bazy morskiej w Dosze. Powiedziałem wtedy, że ta nasza przyszła polska baza to jak na razie, mówiąc delikatnie, „dupa i kamieni kupa", ogrodzone tylko concertiną. Ale po czterech dniach za pomocą jankeskich „mundurów i maszynek do golenia" (pamiętasz słowa admirała?) wygrodziliśmy i chyba niekiepsko zorganizowaliśmy namiotowy obóz przylegający do amerykańskiego. Wyglądał naprawdę niekulawo. Gdyby tak zrobić mu zdjęcie, to wyszedłby na nim jak obóz z pustynnych przygód Tony'ego Halika. Oczywiście nie mogliśmy robić zdjęć.

Do tej pory, w Polsce, znałem tylko prosty ruski namiot wojskowy, duży, ciemnozielony, o łukowatym kształcie dachu. A tu wyrosły u nas grube, ponaciągane i stabilnie zakotwiczone

w gruncie nowoczesne namiociki pustynne, rozmieszczone w przeciwległych do siebie szeregach, ze sznurowanymi piaskowożółtymi połami. Do nich przymocowywało się z boków białe rękawy z ogromnymi wentylatorami klimatyzatorów. Łóżka wprawdzie nie były może hotelowe, ale w końcu wielkich wymagań nie mieliśmy. „Namiociki" to może złe słowo, bo od tych ruskich były znacznie większe, a przy tym zbudowane z nieporównywalnie lepszych i nowocześniejszych komponentów. W naszym nowym obozie zorganizowaliśmy stołówkę, miejsce na siłownię, także hangar, w którym mieliśmy dostęp do internetu i telefon, co zapewniało nam kontakt z rodzinami, a poza tym mobilne magazyny uzbrojenia i stacjonarne „budynki" sztabowe. Wszystko to stało na szarobiałych polach usypanych równo z kamieni. Po kilku dniach dojechała cała reszta, czyli nasz zespół szturmowy, z „Wodzem" na czele. Po tym jak w końcu w naszym obozowisku wciągnęliśmy biało-czerwoną flagę na maszt, „Wódz" szepnął do mnie z przejęciem:

– *Good job, man!*

Do tej pory nie wiem, czy jaja sobie robił, czy rzeczywiście miał napad wzruszenia.

Oczywiście okazało się też, że mój angielski był na tyle dobry, że musiałem również zaplanować nadchodzącą misję. Trochę wtedy zaschło mi w gardle, ale muszę bez owijania w bawełnę przyznać, że gdyby nie mój roczny wyjazd do Stanów w 2001 roku i kurs Zielonych Beretów, to wszyscy tutaj bylibyśmy w niemałych opałach. Tam nauczyłem się specyficznego amerykańskiego języka wojskowego. Tam pokazano mi, jak się analizuje rozkaz wydany przez wyższego dowódcę, zadanie, misję. Poznałem całą ścieżkę i procedury wypracowania decyzji, przyjmowania kryteriów, ograniczeń i limitów, zakazów i kluczowych nakazów. To jeden wielki MDMP (z amerykańskiego języka specjalsów – Mission Decision Making Process), czyli proces decyzyjny do zaplanowania i realizacji zadania. Czy u nas w GROM-ie wcześniej szkolono operatorów w planowaniu zadań? No… niestety, nie. Bo niby kto miał to robić? Wykładowcy ze szkół oficerskich? Dla sił specjalnych? Jacy wykładowcy? Z Układu Warszawskiego? Kolesie nie mieli pojęcia o prawdziwych specjalsach, czego doświadczyłem podczas różnego rodzaju ćwiczeń sztabowych w Polsce. Według tamtejszych założeń „nie stanowiliśmy znaczącej siły bojowej". No to teraz już chyba wszyscy wiedzą, jak się sprawy mają, bo nagle się zorientowali, że „zielone ludziki" mogą dokonać nawet przewrotu w słabym państwie. Pewnie szczęki im teraz opadały, gdy zobaczyli, jak wygląda psychologiczna praca specjalsów na tyłach przeciwnika na Ukrainie – inna sprawa, że użyta w bardzo nieszlachetnej sprawie.

„Wódz" i ja mieliśmy już długoletni staż, a tutaj, w Dosze, w większości byli młodzi żołnierze. Dobrze wyszkoleni, ale niedoświadczeni. Kluczowi dowódcy niższego szczebla, czyli grup szturmowych i sekcji szturmowych („Wydrzak", „Huba", „Redi"), i bardzo doświadczony z racji poprzedniej służby w marynarce wojennej sierżant „Rosa" nieco ratowali sprawę, ale to nie zmieniało sytuacji. Mieliśmy młodą drużynę, co miało swoje dobre i złe strony. Poza tym „Wódz" i ja nie pochodziliśmy wprost z zespołu wodnego, bo nasze korzenie to zespół lądowy w kraju. Znaliśmy warunki działań dla taktyki niebieskiej, ale sporo było do nadrobienia. Byliśmy naprawdę dobrzy w terenie, ale do pełnego wyszkolenia,

szczególnie świeżakom, wiele jeszcze brakowało. Tego wszystkiego musieli się teraz w przyspieszonym tempie nauczyć, poczynając od specjalistycznego, wojskowego języka angielskiego. Cały kilkudziesięcioosobowy skład operatorów musiał się nauczyć (na szczęście od ludzi najlepszych na świecie w te klocki) procedur wojskowych po angielsku. Ale była też inna, ważniejsza rzecz – musieliśmy z „Wodzem" za wszelką cenę przekonać ich, że mogą na nas w pełni polegać, że w obliczu realnego zagrożenia życia będziemy razem, jak równy z równym, bez względu na stopień wojskowy. A chłopcy wolę walki mieli. Chcieli sprawdzić się w działaniu, ramię w ramię z Amerykanami. Nie chodziło o medale, odznaki czy mowy pochwalne, ale właśnie o pierwszą możliwość zawalczenia u boku tych, którzy naprawdę się na tym znali.

I może jeszcze jedna sprawa – taki historyczny wymiar udziału Polskich Sił Zbrojnych w wojnie na terytorium Iraku. Kiedyś był tu generał Anders, walczył wtedy o utrzymanie węzłów roponośnych w Tikricie i nie tylko. To był jakiś znak czasu. Jeśli nie jesteś żołnierzem, być może tego nie zrozumiesz w pełni, ale takie sprawy były dla nas ważne.

Wziąłem więc na siebie bezpośredni kontakt z Amerykanami, żeby tego wszystkiego nie spieprzyć. Miałem tydzień na opracowanie koncepcji i wariantów ataku na przydzieloną nam platformę KAAOT i przedstawienie tego wszystkiego odpowiednim sztabom Amerykanów. Trzeba było to zrobić po polsku, dla naszych, a potem tak napisać po angielsku, żeby jankesi nie tylko zajarzyli, co jest grane, ale jeszcze aby odpowiednio się zachwycili tym, jakie to my mamy świeże spojrzenie i kreatywną myśl bojową. Podzieliliśmy się z „Wodzem" rolami. Ja „szarpałem" chłopaków, by odpowiednio wpajać im planowanie, a potem „Wódz" zabierał ich na morze i testował kolejne elementy szturmu. Na koniec wybrano z dowódcami snajperów i sekcji szturmowych najlepszy wariant działania. I nie był to ten, który wygrał w tak zwanym wargamingu, tylko ten najbardziej rozsądny. Ryzyko było i tak cholernie wysokie, a wszystko rozbijało się o to, że jeśli irackie wojsko zdoła podpalić platformy, to zrobi nam z dup jesień średniowiecza, i to w arabskim stylu, z największym ogniskiem naszych czasów – w postaci płonącej Zatoki Perskiej, z nami w samym jej centrum. Takie metody nie były im przecież obce, używali ich w niedalekiej przeszłości, na przykład w czasie wojny Iranu z Irakiem. Przewidywać należało każdy scenariusz. W końcu byliśmy i jesteśmy fachowcami. Należało opracować awaryjny plan działania na wypadek, gdyby wszystko stanęło w ogniu już po naszym wejściu na platformę. Oczywiście, sytuacja zmieniłaby się wtedy o sto osiemdziesiąt stopni. Trzeba byłoby przecież ratować wszystkich, nawet przeciwników – żołnierzy Husajna, ochroniarzy, personel. Wieczorami długo patrzyłem na zdjęcia lotnicze, aż w końcu zwróciłem uwagę na kilka dużych szalup przymocowanych do konstrukcji platformy. Plan był taki, że w sytuacji awaryjnej część ludzi załadujemy właśnie do tych szalup, a my, GROM-owcy, będziemy się ratować, skacząc wprost do morza – co nie było wcale takie głupie, bo dane wywiadu wyraźnie wskazywały, że prądy morskie opływały całą infrastrukturę obu połączonych platform i zbiegały się punktowo w północno-wschodniej ich części. I tam właśnie powinny czekać zebrane RIB-y czy MARK-i V. Na wodzie utrzymywałyby nas kamizelki ratunkowe, które podczas szturmu mielibyśmy cały czas na szyjach. Właściwie nie

musielibyśmy nawet machać rękami i płetwami, żeby tam dopłynąć. Należałoby tylko modlić się do wszystkich bogów, i naszych, i ich, żeby nie zapłonęła woda zmieszana z ropą, co po pewnym czasie mogło przecież być bardzo możliwe. Wtedy utrzymanie się na wodzie byłoby najmniejszym z problemów.

W powietrzu wyczuwało się nadchodzące zagrożenie. Coraz częściej wyły syreny ogłaszające alarmy przeciwrakietowe. Rzucaliśmy wtedy wszystko i wskakiwaliśmy w kombinezony przeciwchemiczne, i zakładaliśmy maski przeciwgazowe. Pamiętam pewien niezły numer. Jeden z chłopaków z naszego namiotu akurat tego dnia, po zakończonym treningu w porcie, zostawił na łodzi torbę, tyle że z tej torby zapomniał wyjąć maskę Pegaz. Nie bardzo wiedział, co zrobić, więc przystawił sobie do ust jedynie rurę. Taką od odkurzacza. Nawet nie wiem, skąd ją wtedy wytrzasnął. Był ubrany przeciwchemicznie. Rurę owinął sobie z przodu jeszcze ręcznikiem i tak trzymał ją przyłożoną do ust, leżąc nieruchomo na polowym łóżku. Wyglądał jak słoń. Do tego założył ciemne okulary Okleya. Oczywiście guzik by mu ta rura pomogła w razie prawdziwego ataku, ale wyglądał niemal profesjonalnie.

Od czasu do czasu słychać było potężny tętent, a potem głuche dudnienie ziemi wokół naszej bazy. To wielkie rakiety Scud wystrzeliwane z terytorium Iraku. Amerykańskie systemy przeciwlotnicze Patriot wciąż huczały. Gdy zestrzeliły jakiegoś „Husajna”, wszystkim nam robiło się na chwilę lżej na duszy. Musieliśmy być przygotowani na wszystko, nawet na atak chemiczny czy biologiczny, na przykład z wąglikiem w roli głównej. To byłoby bardzo w stylu Chemicznego Alego. Może pamiętasz jeszcze tego gościa? Był kuzynem Saddama i naprawdę nazywał się Ali Hassan al-Madżid. To on wydał rozkaz zrzucenia bomb chemicznych na Halabdżę. Zamordował w ten sposób setki Kurdów. Wtedy jeszcze żył i działał. Nawet dowodził siłami irackimi podczas bitwy pod An-Nasirijją w czasie wojny. Schwytano go dopiero w sierpniu 2003 roku, a powieszono – w 2010.

Tak że w naszym obozie wesoło nie było. Niektórzy z nas, na wypadek gdyby coś im się przydarzyło, pisali nawet listy pożegnalne, które miały być przekazane rodzinom. Trzeba było jakoś to przetrzymać. Trudny czas.

Baza w Kuwejcie, tuż przed atakiem na platformy olejowe na Zatoce Perskiej. Trzymam polską flagę. Marzec 2003 roku

21 marca 2003 roku otrzymaliśmy przez radiostację komunikat, że dzień wcześniej prezydent Stanów Zjednoczonych G. W. Bush wypowiedział wojnę reżimowi Saddama Husajna, a brytyjskie siły specjalne Jej Królewskiej Mości Królowej Elżbiety II zajęły półwysep Al-Fau w południowym Iraku i port w Umm Kasr koło Basry i że zginął już tam pierwszy brytyjski żołnierz. Zaczęło się. Musieliśmy być w pełnej gotowości.

Atak rozpoczęliśmy w nocy. Z różnych poziomów. Spod wody, przy użyciu małych ciągników podwodnych. Z powietrza, gdzie „wisieli" w śmigłowcach snajperzy. Jednak główne siły szturmowe w ciszy kołysały się spokojnie na falach Zatoki Perskiej, czekając na odpowiednią chwilę. Pamiętam, że w którymś momencie jakiś niewielki statek podpłynął do platformy KAAOT. Niedobrze. Teraz musieliśmy się liczyć z tym, że będziemy zmuszeni jedną sekcją zaatakować również i ten statek. To znacznie pogarszało sytuację. Kiedy już zaczęliśmy się naprawdę denerwować, stał się cud. Stateczek odcumował i po kilku chwilach zniknął w ciemnościach. Wtedy z małych dwuosobowych łodzi podwodnych do akcji przystąpili płetwonurkowie – szukali ewentualnych materiałów wybuchowych. Kiedy już zbadali teren, do akcji wreszcie ruszyliśmy my. Naszymi łodziami bojowymi, MARK-ami V i RIB-ami, podpłynęliśmy wolno, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń, do pionowych nóg i kratownic KAAOT.

Pierwsze nasze sekcje szturmowe zaczęły wspinać się po metalowych kratownicach.

Niektórzy (dość komfortowo) po zwisających aż do morza drabinkach ewakuacyjnych. Przede wszystkim jednak po niezawodnych drabinach zakończonych hakami, czyli tak zwanych drabinach Kowalskiego, o których już pisałem. Co prawda wyglądały one cokolwiek dziwnie, niczym z filmów o piratach, ale były bardzo wygodne, bo można je było zaczepić i wejść praktycznie wszędzie.

Po chwili pierwsi szturmani byli już na pokładzie. Teraz szli ostrożnie do przodu. Po kilku metrach przyklęknęli na jedno kolano, trzymali karabinki M4 wycelowane przed siebie w pełnej gotowości do oddania strzału, tworząc w ten sposób szpicę dla pozostałych sekcji. Czekali na kolejne Foki. Wtedy nadleciały bliżej dwa śmigłowce ze snajperami na pokładzie. Dalej ruszyliśmy już wszyscy razem.

Po pokonaniu około pięćdziesięciu metrów sekcje się rozdzieliły. Dwie z nich poszły dalej do przodu. Jedna rozproszyła się na boki, druga zaczęła wchodzić na długie, ponadstumetrowe molo prowadzące do starego lądowiska dla śmigłowców. Ten pomost był niesamowity. W pewnym momencie trudno było jednak stawiać na nim kolejne kroki, bo wszędzie pełno było czarnego, śliskiego smaru. Niezwykłe uczucie – ogrom przestrzeni pod nami (trzydzieści metrów w dół, do wody), w której spokojnie zmieściłby się co najmniej dziesięciopiętrowy wieżowiec, i jednocześnie ten brak punktu odniesienia na horyzoncie. Ciemność, tylko od czasu do czasu lekko przecinana niespokojnym światłem lamp. Chwilami wyglądało to naprawdę przerażająco. Nie wiadomo, gdzie postawić nogi, bo deski ułożone na kratownicy były albo spróchniałe, albo nadpalone, a czasami wcale ich nie było, przez co musieliśmy przeskakiwać bardzo głębokie dziury, w dodatku metrowej szerokości.

Dość szybko pierwsza sekcja zajęła lądowisko. Najważniejszy szturm odbył się jednak w części starego, robotniczego, blaszanego hotelu, wzniesionego na jednym z olbrzymich białych pływaków platformy. Sekcje od tego momentu zaczęły działać metodami taktyki czarnej, jak podczas „czyszczenia” miejskich budynków. Z tą jednak różnicą, że tu, ze zrozumiałych względów, nie mogliśmy użyć materiałów wybuchowych. Klatka schodowa, korytarz, pomieszczenie za pomieszczeniem, piętro za piętrem i dach. Istne piekło. W naszych bojowych kombinezonach było tak gorąco i duszno, że sauna fińska to przy tym pikuś. Chłopcy, kompletnie zalani potem, do granic sił rąbali trójzębami i toporami, wyważając drzwi za drzwiami. Hałas potworny, a na jego tle głośno wydawane komendy operatorów sekcji szturmowych: „Idź! Idź!”, „*Go! Go!*”, „*Get down!*”, „*Do not move!*”, „*Down!*”.

Szturmowcy wyprowadzali jeńców ze środka. Powoli tworzył się mrówczy szyk Irakijczyków, asekurowany przez kordon naszych – biegł wzdłuż korytarzy i dalej, do klatki schodowej na sam dół, wreszcie na zewnątrz, na plac przed koszarowcem. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Iraccy wojskowi byli tak zaskoczeni atakiem, że z własnej woli zaczęli wskazywać przygotowane wcześniej do wysadzenia laski dynamitu, rozmieszczone tu i tam, w ukrytych miejscach, przy zaworach pomp przelewowych ropy. Widocznie zrozumieli, że bez sensu byłoby się w tej chwili stawiać. Nasi saperzy mieli teraz sporo roboty, ale w ciągu godziny obcykali wszystkie ładunki. Zdobyliśmy KAAOT bez jednego wystrzału! To był wtedy najważniejszy punkt strategiczny w irackiej części Zatoki Perskiej.

Wysunięta baza brytyjska na granicy kuwejcko-irackiej. GROM-owcy na krótkiej przerwie nazajutrz po uderzeniu na platformę olejową KAAOT. 2003 rok

Na zakończenie kilka słów… od żołnierza

Pamiętasz początek tej książki? Oberwałem, ale głowy mi jakoś nie urwało. Amerykanie natychmiast wezwali przez radio dwa śmigła. Chłopaki z blackhawków przyleciały po piętnastu minutach i omiotły rejon wokół glinianej szopy, ale tamci przepadli. Pewnie odpuścili po tym, jak z oddali dobiegł ich odgłos śmigłowców startujących zza rzeki. Strzelali zza tej chaty i zdążyli już wycofać się gdzieś dalej, za wzgórza albo do jakiejś nory, którą sobie wykopali. Dalsza obserwacja rejonu nie przyniosła skutków.

Krwawienie z tyłu głowy jeszcze przez jakiś czas nie ustawało. Miałem farta. Mimo że mój hełm przeorało, to jednak nie przebiło go na wylot. Szramę mam do dzisiaj.

Według przepisów ranny żołnierz powinien być natychmiast wycofany, ale… sprawa została pomiędzy nami, specjalsami, bo w innym przypadku wywieziono by mnie do bazy szpitalnej w Ramstein w Niemczech, a stamtąd do kraju, i nie byłoby zmiłuj. Ostatecznie przecież nic mi się nie stało. Pocisk po prostu trochę mnie skaleczył. Gdyby przebił czaszkę, raczej nie pisałbym tej książki. Albo byłbym teraz – jak by to powiedział Winnetou – w krainie wiecznych łowów, albo w najlepszym razie siedziałbym na wózku, do końca życia nie wiedząc, o co tak generalnie chodzi. Z tyłu głowy jest tak zwany pień mózgu, a to takie miejsce, gdzie znajduje się większość ośrodków odpowiedzialnych za utrzymanie funkcji życiowych. Jeśli już gdziekolwiek masz dostać, to lepiej nie tam. Ze mną jednak nie było kłopotów. Wystarczyło, że trochę poleżałem, potem ponosiłem opatrunek i po sprawie. Teraz tak się zastanawiam, jaki wtedy popełniłem błąd. I odpowiedź jest następująca: najprawdopodobniej w nocy siatka maskująca trochę zsunęła mi się z głowy i to pewnie wystarczyło, żeby mnie namierzyć. Niech to szlag trafi.

Oczywiście, sprawiedliwość bywa nierychliwa, ale… No cóż, nie odpuściliśmy tym gościom z chatki. Przyszedł i na nich czas. Miesiąc później.

Teraz, na zakończenie tej książki, chciałbym powiedzieć jeszcze kilka słów o zupełnie innej sprawie, ale jak sądzę – niezwykle aktualnej. Myślę, że w obliczu agresji Rosji na Ukrainę diametralnie zmieniło się nasze postrzeganie zagrożenia bezpieczeństwa Polski, podobnie jak to było w USA po uderzeniu islamskich terrorystów z Al-Kaidy na World Trade Center w Nowym Jorku w 2001 roku. Amerykanie powołali się na artykuł 51 Karty Narodów Zjednoczonych, a następnie artykułu 5 Traktatu Północnoatlantyckiego i szybko przystosowali się do „nowego wymiaru dalekosiężnej wojny”, określając całe zjawisko jako „wojnę z terroryzmem” – WOT (War on Terror). Uzasadnili napaść na jednego z członków ONZ bezdyskusyjnym prawem do samoobrony, ponieważ zagrożone było ich, i nie tylko ich,

bezpieczeństwo narodowe. Rada Bezpieczeństwa ONZ nie udzieliła wtedy mandatu dla działań w Afganistanie i w Iraku. W takiej sytuacji Amerykanie zbudowali na Florydzie tak zwaną wioskę koalicjantów.

Jak się później okazało, wojny zarówno w Iraku, jak i w Afganistanie były konfliktami z niewidzialnymi bojówkarzami, rebeliantami, najemnikami, jak zwał tak zwał, nie waham się użyć tego określenia – po prostu z partyzantami. W ten oto sposób prowadzenie dalszych działań regularnych zeszło na drugi plan, a nacisk położono na działania nieregularne, charakterystyczne dla wojny podjazdowej, dywersji, rajdów i zasadzek, ostrzału i ucieczek.

To był punkt zwrotny również dla naszej Jednostki Specjalnej nr 2305 – GROM. Określenie „wojna z terrorystami" politycy łatwo łączyli z jednostkami AT, a zasadniczo – CT, czyli Counter Terror. Tak czy inaczej po dwóch dekadach od zmian politycznych, po całej tej „wojnie GROM-u o przetrwanie" z zabetonowanymi po latach Ludowego Wojska Polskiego sztabami wojsk konwencjonalnych, nareszcie coś drgnęło.

Przeanalizujmy.

Po pierwsze od momentu narodzin jednostki w 1990 roku do pojawienia się WOT w 2001 roku głównym zadaniem GROM-u była walka z terroryzmem, przede wszystkim politycznym. Praktycznie rok w rok – wraz ze zmianami struktur, konfliktami politycznymi i bezsensownym marnowaniem potencjału jedynej tego typu i na tym poziomie jednostki w kraju – pojawiały się nowe pomysły dotyczące przeznaczenia Jednostki 2305, aż do jej rozwiązania włącznie.

Twórca GROM-u, generał Sławomir Petelicki, w swoim czasie walczył jak lew, żeby utrzymać jednostkę przy życiu – na przykład przeforsował nasz udział w pierwszej misji zagranicznej na Haiti, nawiązał trudną do przecenienia współpracę z najlepszymi jednostkami sił specjalnych na świecie, zyskał ich wydatną pomoc, co po latach zaowocowało tym, że znaleźliśmy się w ścisłej elicie. Znaczącą rolę odegrał też generał Marian Sowiński, który stawiał mocno na kadrę i na dalsze jej kształcenie, w tym naukę języka angielskiego. I wreszcie generał Roman Polko, który na początku dwudziestego pierwszego wieku podniósł GROM praktycznie ze zgliszczy i doprowadził go do dawnej świetności.

W latach 2001–2015 bezdyskusyjne stało się zapotrzebowanie na jednostkę przeciwterrorystyczną w misjach zagranicznych – w Iraku i w Afganistanie, ale oczywiście także w Polsce, gdzie jako uczestnik koalicji powinniśmy najbardziej profesjonalnie, jak to tylko możliwe, wciąż ulepszać system ochrony przed terrorystami. Podjęliśmy próbę tworzenia i późniejszej rozbudowy sił specjalnych przez łączenie różnych jednostek polskich komandosów. To dobry znak.

Myślę, że GROM długo nie mógł znaleźć poparcia u naszych narodowych strategów, ponieważ nie widzieli oni w komandosach żadnej znaczącej siły bojowej. Tyle tylko, że po Iraku i Afganistanie to właśnie GROM stał się polskim towarem eksportowym. Nie mówiąc już o wartości dodanej, czyli tchnięciu nowego ducha w jednostkę, która stała się pierwszym powojennym wzorcem dla profesjonalnych przemian systemowych w całym wojsku, a przede wszystkim dla młodych ludzi myślących o tego typu służbie, co nie pozostało bez wpływu na kolejki chętnych do pracy we wszystkich rodzajach jednostek wojskowych. Jakże inna sytuacja

od tej sprzed 1989 roku!

W obecnej sytuacji geopolitycznej na wschodzie Ukrainy rysuje się nowy wymiar metodologii obrony terytorium i samych granic państwa. Moim zdaniem należałoby tu postawić na budowę mobilnych batalionów szybkiego reagowania, z dowództwami i systemami łączności na poziomie strategicznym państwa. Znacznie skróci się wtedy droga podejmowania decyzji i ułatwi sprawny dostęp do bieżących danych wywiadowczych na poziomie najwyższych dowództw. Podstawą budowy takich batalionowych jednostek mogłyby być nasze obecne jednostki komandosów, w tym GROM.

Jak pokazała ostatnia dekada, większość zadań wykonywanych przez nasze siły specjalne była nakierowana na zwalczanie bojówek czy wręcz rebelii organizowanych na wzór ugrupowań poniekąd partyzanckich w Iraku i w Afganistanie, rzadko z typowym dla działania terrorystów udziałem zakładników. Oczywiście nie ulega wątpliwości, że musimy utrzymywać w gotowości grupę komandosów zdolnych do działań typowo przeciwterrorystycznych, szczególnie wyszkolonych w taktyce czarnej. Tak robią takie państwa jak Francja, Niemcy, Wielka Brytania, a nawet tradycyjnie neutralni Skandynawowie.

Sił specjalnych mających możliwość przerzutu przez własne śmigłowce i lekkie pojazdy taktyczne nie należy mylić z istniejącymi już wojskami aeromobilnymi czy brygadami desantowo-spadochronowymi, a także pułkami walki radioelektronicznej i rozpoznania WREiR, które stanowią formacje przygotowane do typowej, nazwijmy to – regularnej wojny. Dla snajpera najgroźniejszym przeciwnikiem jest inny snajper. Do zwalczania grup dywersyjnych najbardziej skuteczne są mobilne grupy komandosów. Batalionowe struktury sił specjalnych od dawna mają już przecież Amerykanie. Mają je i Brytyjczycy, w formie pułkowej, jak na przykład 22. Pułk SAS.

Wizyta w Jednostce Wojskowej nr 2305 głównego dowódcy operacji specjalnych USA. W asyście admirała, już jako podpułkownik i szef szkolenia GROM-u. 2009 rok

Ciągle brakuje nam planu użycia sił specjalnych na wypadek agresji ze Wschodu. Rolą tych sił jest prowadzenie działań nieregularnych, czasem niekonwencjonalnych, a jeśli zaszłaby taka potrzeba, to nawet przejście do działań partyzanckich w warunkach *stay behind*, co oznacza pozostawienie na terenie zajętym przez przeciwnika utajnionych elementów dowodzenia, zdolnych do tworzenia oddziałów partyzanckich.

Obecnie w mediach mówi się o naszej strategii i wyposażeniu wojska w zestawy przeciwlotnicze i przeciwpancerne. Tylko kto je będzie obsługiwał, jeśli przeciwnik wbije się głęboko klinem na nasze terytorium? Obronimy się przed takim atakiem? Może warto byłoby wyposażyć naszych komandosów w lekkie zestawy przeciwlotnicze i granatniki najnowszej generacji.

To właśnie mobilność i elastyczność małych, wyjątkowo dobrze wyszkolonych ugrupowań dałyby przewagę, jak w wojnie szarpanej, podjazdowej, która w dzisiejszym świecie jest standardem. Szkolmy się tu i teraz, na naszym terenie. Wyciągnijmy wnioski z wojny na Ukrainie. Konflikt w stylu II wojny światowej raczej się już nie wydarzy (choć polityka Putina każe niczego nie być pewnym). Skorzystajmy jednak z ogromnego już doświadczenia komandosów Jednostki Wojskowej GROM im. Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej.

podpułkownik Karol K. Soyka

The United States of America

United States Government

SPECIAL TRAINING GROUP

this certifies that

Second Lieutenant [redacted]

has attended the Special Training Group

COUNTERTERRORIST TACTICAL UNIT COURSE

and is awarded this certificate in recognition of

satisfactory accomplishment of all requirements for graduation.

Issued at Warsaw, *this* 11th *day of* November *1993*

Paul R. Jones III
Director of Training

Director

United States Army

John F. Kennedy

Special Warfare Center and School

TO ALL WHO SHALL SEE THESE PRESENTS GREETING

BE IT KNOWN THAT CPT [redacted] IS A

Graduate

OF THE

SPECIAL FORCES DETACHMENT OFFICER QUALIFICATION COURSE (2E-18A)

10-Aug-01 - 08-Mar-02

US Army

John F. Kennedy Special Warfare Center and School

IN TESTIMONY WHEREOF, AND BY AUTHORITY VESTED IN US, WE DO CONFER UPON THE INDIVIDUAL THIS

Diploma

ATTEST: GIVEN AT FORT BRAGG, NORTH CAROLINA THIS **8TH** DAY OF **MARCH 2002**

COMMANDANT

SWC FM 2221-7 1 Jun 88

UPHOLD DEMOCRACY

COMBINED JOINT TASK FORCE 190
MULTINATIONAL FORCE
CERTIFICATE OF PARTICIPATION

IS AWARDED TO

1LT [redacted]

FÒSMILTINASYONAL
HAITI

COMMAND SERGEANT MAJOR
COMBINED JOINT TASK FORCE

David C. Meade
COMMANDER
COMBINED JOINT TASK FORCE

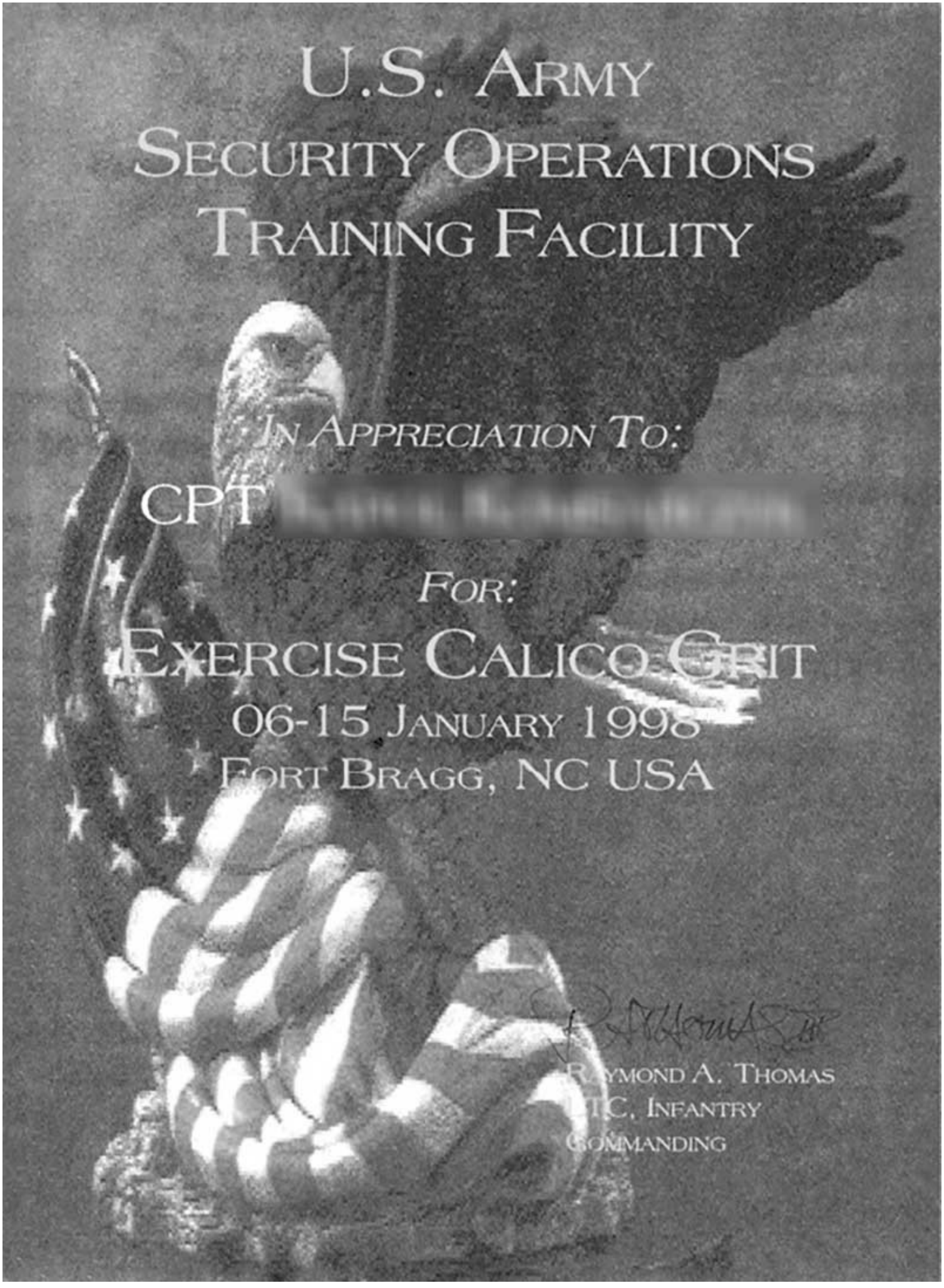
U.S. Army
Security Operations
Training Facility
In Appreciation To:
CPT [redacted]
For:
Exercise Calico Grit
06-15 January 1998
Fort Bragg, NC USA
Raymond A. Thomas
LTC, Infantry
Commanding

RZECZPOSPOLITA POLSKA

LEGITYMACJA

Nr 319-2011-150

Warszawa
dnia 29 czerwca 2011 r.

POSTANOWIENIEM
z dnia 29 czerwca 2011 r.

ppłk rez. [redacted]

odznaczony został

GWIAZDĄ IRAKU
za udział w zmianie 2
oraz operacji „Iracka Wolność”

PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Bronisław Komorowski

RZECZPOSPOLITA POLSKA

LEGITYMACJA

Nr. 16-95-3

Warszawa

dnia 15 lutego 1995 r.

POSTANOWIENIEM
z dnia 15 lutego 1995 r.

por. [redacted]

odznaczony/a został/a

KRZYŻEM ZASŁUGI
ZA DZIELNOŚĆ

PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

RZECZPOSPOLITA POLSKA

LEGITYMACJA

Nr 276-2005-315

Warszawa

dnia 3 listopada 2005 r.

POSTANOWIENIEM

z dnia 3 listopada 2005 r.

mjr [redacted]

[redacted]

odznaczony został

BRĄZOWYM KRZYŻEM ZASŁUGI

PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Aleksander Kwaśniewski

TRUTH AND LIBERTY
CPT Komisarczyk
THE ONLY EASY DAY WAS YESTERDAY
FURLBURT FIELD AIR FORCE BASE
FLORIDA
JEDNOSTKA WOJSKOWA GROM
im. Cichociemnych
FORMACJA
WOJSKOWA
SPECJALNA
1990
2000
G.R.O.M.
WOJSKOWY ZESPÓŁ ROJOWY
THE GOLDEN PRIDE
OF THE PACIFIC FLEET
JOINT MULTINATIONAL READINESS CENTER
JMRC
TRAIN TO WIN

2
IRACKA WOLNOSC
IRAK
NAVAL SPECIAL WARFARE TASK GROUP ARABIAN PENINSULA
SEAL TEAM
SQUADRON ONE
UNITED STATES
SPECIAL OPERATIONS COMMAND

Na zakończenie kilka słów…
od tego „drugiego”

Książka, która trafiła w Państwa ręce, jest przede wszystkim opowieścią o podpułkowniku Karolu Soyce. Człowieku, który spędził dwadzieścia lat, służąc w najbardziej elitarnej polskiej jednostce specjalnej – 2305, czyli GROM; którego wyselekcjonowano jako jednego z jej pierwszych członków; który uczestniczył w jej najbardziej niebezpiecznych i tajnych misjach i stał się pod koniec kariery jednym z najlepiej wyszkolonych polskich oficerów; który między innymi był absolwentem legendarnego, prestiżowego kursu The Special Forces Qualification Course (SFQC) Zielonych Beretów; o człowieku, który kończąc swoją służbę, zajmował stanowisko szefa szkolenia jednostki. Podpułkownika Karola Soykę oczywiście wielokrotnie odznaczano.

Cel za horyzontem jest jednak także próbą uwidocznienia wielu istotnych okoliczności towarzyszących chwalebnej, ale i trudnej historii Jednostki 2305 – przede wszystkim tych politycznych, ale i tych historycznych. Karol, pisząc wraz ze mną tę książkę, starał się trzymać jak najdalej od polityki. Niezwykle trudno go było w ogóle namówić do tego typu zwierzeń. Wyszedł jednak z założenia, że są w życiu momenty na tyle ważne, że niezależnie od tego, co zrobimy, zawsze pozostawią ślad. Niech więc ten ślad będzie jak najbardziej zbliżony do prawdy.

Ta książka nie zawiera fikcji. Jest spisanym zbiorem faktów, które bohater przeżył i których był bezpośrednim świadkiem, lub – w rzadkich fragmentach tekstu – bezpośrednią relacją innych osób będących świadkami konkretnych wydarzeń.

Karol Soyka to oczywiście pseudonim. Większość jego kolegów z jednostki, którzy pojawiają się w tej książce, występuje pod pseudonimem.

Moim zadaniem było spisanie wspomnień podpułkownika Soyki oraz zwrócenie uwagi Czytelników na – moim zdaniem – ważne uwarunkowania, które towarzyszyły jego służbie w siłach specjalnych.

Pisaliśmy tę książkę w czasie, w którym przez nasze media przetoczyła się po raz kolejny dyskusja na temat tak zwanych tajnych więzień CIA, metod działania, nie tylko zresztą polskich, tajnych służb oraz doniesień o „specjalnych metodach przesłuchań” schwytanych terrorystów. Przy tym ostatnim problemie chciałbym zatrzymać się na dłużej. Poziom tej medialnej debaty – abstrahując od poglądów na etykę tego rodzaju poczynań – był i nadal jest, jak uważam, zatrważająco niski i niegodny tak poważnych zagadnień, jak bezpieczeństwo narodowe i zagrażający mu bezpośrednio międzynarodowy konflikt religijno-społeczny,

z którym mamy do czynienia szczególnie od momentu, kiedy staliśmy się stroną w tak zwanej wojnie z terroryzmem. Gdy z wyjątkową uwagą obserwuję wspomnianą dyskusję (choć jak każdy normalny człowiek nie mam oczywiście możliwości bycia świadkiem wszystkich wypowiedzi na ten temat), dostrzegam – rzadką zwykle w sporach etycznych – jednomyślność. Jak niemal wszystko w naszym kraju, także i ten problem jest elementem współzawodnictwa politycznego, stąd poglądy na temat „specjalnych metod przesłuchań" terrorystów islamskich wypowiadane są głównie przez polityków. Uderza w tych wypowiedziach przede wszystkim wyjątkowy populizm, być może zwykła hipokryzja, a co najgorsze (i tu już nie ma żadnego „być może") – wyjątkowa ignorancja. I to o nią mam największe pretensje do osób, które zgodnym chórem twierdzą, że tego typu przesłuchania są bezdyskusyjnie niedopuszczalne, zwykle głosem nieznoszącym sprzeciwu powtarzając jeden z największych nonsensów, jakie słyszałem w tej sprawie: że metody te są nieskuteczne. Pozwolę sobie mieć zdanie odrębne. Tyle tylko, że ja, w przeciwieństwie do dyskutantów, którym zarzucam skłonność do fasadowości i brak wiedzy, miałem podczas pisania tej książki bezpośredni kontakt z osobami, które w takich przesłuchaniach uczestniczyły i których wiedza całkowicie przeczy wyobrażeniom działaczy politycznych, walczących o głosy wyborców, lękających się wychylić choćby o milimetr poza tak zwaną polityczną poprawność, przez co ujawniają w pełnej okazałości brak odwagi cywilnej.

„Nie wolno zmuszać nikogo siłą do zeznań!", „Nie wolno nigdy, w żadnej sytuacji, nikogo zabijać!", „Trzeba mieć pełny szacunek do więźnia, jego poglądów i religii!" – głosi w telewizji TVN24 bardzo znany polityk, którego zresztą osobiście znam i którego poglądy społeczne zawsze bardzo szanowałem. Brzmi wspaniale. Ja również jestem za pokojem i ogólną szczęśliwością na świecie, w czym całkowicie zgadzam się nie tylko z cytowanym politykiem, ale i oczywiście – co przecież niebagatelne – z obecną Miss Świata, której poglądy w tej kwestii także są nienaruszalne.

Używając – dla potrzeby chwili – języka i metod równie populistycznych, proponuję dowolnemu śmiałkowi „stojącemu twardo na gruncie bezlitosnej krytyki metod specjalnych" wobec islamskich terrorystów, abyśmy wsiedli może któregoś dnia do samolotu lecącego do Nowego Jorku i wpadli na jedno ze spotkań wspólnoty rodzin ofiar ataku z 11 września 2001 roku. Proponuję, żeby tam swoje oburzenie wobec przemocy w stosunku do morderców dwóch tysięcy dziewięciuset siedemdziesięciu trzech niewinnych osób wyeksplikował, tym razem bez kamer, prosto w oczy przedstawicielom dziesiątków tysięcy ludzi, których życie stało się koszmarem za sprawą tych tak krzywdzonych w tajnych więzieniach bojowników o własne przekonania! Ciekaw jestem samopoczucia owego śmiałka po takiej konfrontacji.

Mówić do kamery jest prosto. Jeszcze łatwiej po takich sofizmatach nasłuchiwać niecierpliwie licznych pochwał za niezachwianą etykę. Trudniej sięgnąć po prawdę. A prawda jest następująca – i w tym momencie odkładamy już na bok populizm i sięgamy po fakty.

Osama bin Laden (Usama ibn Ladin) został zlikwidowany, a wyrok wykonał oddział

amerykańskich sił specjalnych. Założyciel Al-Kaidy i duchowy nauczyciel bin Ladena – Abdullah Azzam zginął od bomby jeszcze przed 11 września. Abu Musab al-Zarkawi, Palestyńczyk urodzony w Jordanii, odpowiedzialny za masowe akty ludobójstwa na ziemi irackiej – zdaniem niektórych chyba najbardziej do tej pory krwawy terrorysta Bliskiego Wschodu – również nie żyje; został zabity przez Amerykanów 6 czerwca 2006 roku w Iraku. Zginął też przywódca tak zwanego Państwa Islamskiego w tym kraju – Abu Omar al-Baghdadi, zlikwidowany przez sprzymierzone siły 19 kwietnia 2010 roku. W tym samym ataku został zabity Abu Hamza al-Muhadżir – następca al-Zarkawiego. Chalid Szajch Muhammad został aresztowany już w marcu 2003 roku i do dziś przebywa w miejscu utajnionym przez wywiad amerykański, ale jedno jest pewne – niewątpliwie rozrywek ma tam, mówiąc oględnie, raczej niewiele. Siły sprzymierzone aresztowały lub zabiły setki terrorystów i doprowadziły do tego, że Al-Kaida straciła praktycznie dawne znaczenie, a większość jej „legendarnych" przywódców nie żyje. Terroryści oczywiście wciąż są aktywni, mordercy z Państwa Islamskiego nadal, szczególnie w Syrii, dokonują aktów ludobójczych, ale wiedzą, że koalicja, która wypowiedziała wojnę światowemu terroryzmowi, nigdy nie zrezygnuje, a życiorysy morderców, jak wskazują liczne przykłady, są – i będą zawsze – krótkie. Jednocześnie warto pamiętać, że organizacje terrorystyczne to głównie machiny propagandowe. Mało się o tym mówi w mediach, ale Osama bin Laden był przede wszystkim symbolem dla ludzi Al-Kaidy. Pokazywał twarz, wygłaszał wrogie Zachodowi apele, jednoczył i oczywiście łożył na „interes" ogromne pieniądze, które odziedziczył po ojcu, bliskim współpracowniku Sauda ibn Abd al-Aziza Al Su'uda – króla Arabii Saudyjskiej. Istnieje poparta wieloma faktami teoria, że przez ostatnie kilkanaście lat życia ten schorowany szaleniec uczestniczył w bardzo ograniczony sposób w organizowaniu akcji terrorystycznych. Po europejsku powiedzielibyśmy, że był przede wszystkim PR-owcem organizacji. Niezwykle groźnym, ale… głównie propagandowo. Od dawna wiemy, że jeszcze dwa tygodnie przed 11 września 2001 roku leżał w szpitalu z powodu ciężkiej choroby nerek. Trudno więc byłoby mu w takim stanie kierować wszechwładnie tak skomplikowaną akcją jak atak na WTC w Nowym Jorku, na Biały Dom w Waszyngtonie (ten samolot, jak wiemy, nie zdołał dolecieć do siedziby prezydenta) czy na Pentagon. Jest niemal pewne, że prawdziwymi architektami tych zamachów byli Ajman al-Zawahiri, Chalid Szajch Muhammad oraz ich najbliżsi współpracownicy – Walid bin Attash, Ramzi Binalshibh, Ali Abd al-Aziz Ali, Mustafa Ahmed al-Hawsawi, a także Mohammed Atef, którego zresztą Amerykanie zdołali zlikwidować już w dwa miesiące po atakach na WTC. To ci ludzie byli odpowiedzialni za 11 września w znacznie większym stopniu niż sam Osama bin Laden, którego udział w tym zamachu nigdy nawet nie został udowodniony. Urodzony w 1957 roku bin Laden bardzo wcześnie wstąpił do Bractwa Muzułmańskiego i był zagorzałym islamistą, ale był również na początku swojej działalności absolutnie przeciwny jakiejkolwiek przemocy. Jeszcze w 1996 roku (gdy jego poglądy były już znacznie bardziej radykalne) odrzucił przedstawiony mu przez Chalida Szajcha Muhammada plan ataku na USA za pomocą samolotów cywilnych. Możliwe, że nie w pełni przekonany do tak masowego mordu ludności cywilnej, trzymał się z boku i dopiero

pod naciskiem otoczenia zgodził się na akcję, ale jej zorganizowanie powierzył grupie Chalida Szajcha, tym samym umywając ręce. Powtarzam – na to nie ma bezpośrednich dowodów, to tylko teoria, choć silnie wsparta nie do końca jeszcze ujawnionymi materiałami CIA. Zwróćmy uwagę – terroryści są zawsze dumni ze swojego „dzieła" i niemal na wyścigi zgłaszają się jako sprawcy każdego zamachu, co dodaje im prestiżu w „środowisku". A tu… przez tyle miesięcy cisza. Taśma, na której domniemany głos Osamy oświadcza, że właśnie on bierze na siebie odpowiedzialność, jest tylko poszlaką, w dodatku bardzo niepewną. Po pierwsze wyemitowano ją ponad trzy lata po zamachach, po drugie jest fatalnej jakości, po trzecie jest na niej masa błędów sugerujących fałszerstwo, jak na przykład obecność pierścieni na palcach terrorysty (surowo zakazanych przez wyznawaną przez niego odmianę islamu) czy wyraźne posługiwanie się prawą ręką (Osama był leworęczny). Być może ten, bardzo zresztą wykształcony, człowiek wiedział, że obrażanie w telewizji Amerykanów, czy nawet zamachy na obiekty wojskowe, to jednak trochę co innego niż zamordowanie blisko trzech tysięcy cywilów, w dodatku na terenie Stanów Zjednoczonych. Z drugiej strony nie łudźmy się – raczej nie należy zakładać, że było mu szkoda ofiar z 11 września. Chodziło o coś innego. Zdawał sobie sprawę, że rozdrażniając do tego stopnia Amerykanów i cały „nieterrorystyczny" świat, Al-Kaida kopie sobie grób własnymi rękami. I miał rację. Wystarczyło kilka lat, by aresztowano lub zabito niemal wszystkich jej przywódców, w tym samego bin Ladena, a – jak wielokrotnie przyznawali podczas przesłuchań jego współpracownicy – Osama, wysyłający na śmierć ochotników-samobójców, sam nigdy na tę śmierć nie był gotowy i uciekał przed Amerykanami najdłużej, jak tylko się dało. Już po zamachach pisał do szefa komórki Al-Kaidy w Iraku Abu Musaba al-Zarkawiego, że zabrania mu samowoli, a przede wszystkim zabijania muzułmanów (!), w czym Musaba celował, bo wśród setek jego ofiar więcej było szyickich cywilów z Iraku niż żołnierzy sił sprzymierzonych. Al-Zarkawi był kiepsko wykształconym ignorantem, tępawym prymitywem i brutalnym mordercą, nierozumiejącym, jak wielkie szkody wyrządza własnej organizacji, słowem – kompletnie innym człowiekiem niż Osama. Był żądnym śmierci socjopatą, niezważającym, czy morduje Amerykanów, czy szyitów z kraju arabskiego. List Osamy kompletnie zignorował. Nie „zaszczycił" odpowiedzią wielkiego przywódcy, który ponoć zorganizował największy zamach! Zlekceważył wszystkie jego rozkazy. Gdy bin Laden wysłał do niego Hassana Ghula, swojego zaufanego współpracownika, i w kolejnym liście napisał: „…bez poparcia mas nasza sprawa upadnie, a twoje podejście do dżihadu bardzo mnie martwi…", al-Zarkawi ponownie zignorował słowa bin Ladena, demonstrując w ten sposób kompletny brak szacunku, w dodatku odprawił Ghula (który zresztą kilka godzin później wpadł w ręce CIA). O czym to wszystko może świadczyć? Przecież gdyby postąpił tak chociażby wobec Chalida Szajcha (który już wtedy był aresztowany) – straciłby głowę, zanim zlekceważony list zdążyłby dolecieć do kosza!

Nie ma wątpliwości, to nie bin Laden pociągał za główne sznurki, a za zamachami nie stała jako przywódca jedna osoba, tylko cała grupa świetnie zorganizowanych zabójców, którym przewodziły wymienione wyżej osoby. Dziewiętnastu samobójców było oczywiście wyłącznie

narzędziami w rękach Ajmana, Chalida Szajcha i całej potężnej grupy organizatorów. Osama milczał przez trzy lata, ponieważ – po pierwsze – był przerażony tym, w co się wpakował, a po drugie – bał się o własne życie, bo propaganda (z małą pomocą kolegów Saudyjczyka) skupiła swoją uwagę przede wszystkim na nim. Chalid i reszta doskonale wiedzieli, że tłum zawsze szuka winnego, najchętniej w jednej, odpowiedzialnej za wszystko osobie, koncentruje na niej swój gniew i szuka odwetu.

Nie byłoby to wszystko może aż tak istotne, gdyby nie fakt, jak podstępną metodą posługiwały się organizacje terrorystyczne. Skupiały uwagę na postaciach ważnych dla opinii publicznej, takich właśnie jak bin Laden, aby w drugim szeregu ukryć prawdziwych sprawców zamachów lub aktów ludobójczych. I tu właśnie znalazły swoje główne pole działań służby specjalne wraz z wywiadem. Rozpracowały siatki zabójców, całą tę ich pajęczynę z prawdziwym ich podziałem na role. Jak mówił mi jeden z GROM-owców: „W »Wiadomościach« o tym nie usłyszysz i nie obraź się, ale to dobrze. Ogłaszać to można, ale jak jest już pozamiatane. I to też nie od razu. Codziennie z naszych rąk giną kolejni terroryści, zaskoczeni, że znamy ich rolę w całej tej układance, właśnie dlatego, że są to informacje ściśle tajne. Nie da się tego zobaczyć nawet na solidnych filmach dokumentalnych, a większość – uwierz mi – jest bardzo niesolidna".

Fakt. Oglądałem niedawno amerykański telewizyjny „dokument", w którym pomylono Azzama – założyciela Al-Kaidy – z samym bin Ladenem! Autorzy byli przekonani, że to ta sama osoba, a Azzam to jedno z „wcieleń" Osamy! Pomijając, że znane są publicznie zdjęcia, dokładny życiorys Azzama (był szesnaście lat starszy od bin Ladena!) oraz jego rodziny (dwóch synów Azzama zginęło w zamachu na ojca), to autorom filmu nie chciało się nawet zajrzeć do internetu, aby sprawdzić, jak nieprawdopodobne głupoty wygadywali.

To mniej ważne. Istotne, że terroryzm, w co głęboko wierzę, kiedyś zostanie pokonany. Jak każde zło, którego od najdawniejszych czasów dopuszczali się ludzie. Ale dopóki tak się nie stanie – mam nadzieję, że nie zabrzmi to zbyt górnolotnie – siły specjalne muszą być stale gotowe. I tu znowu cytat z rozmowy z żołnierzem sił specjalnych: „Kiedy dowiaduję się, że bardzo już osłabiona Al-Kaida, nie mając innego wyjścia, brata się ze swoim do niedawna bardzo poważnym wrogiem – organizacją IS, czyli tak zwanym Państwem Islamskim – to wiem, że znowu trzeba zaostrzyć politykę wobec państw ukrywających lub finansujących terrorystów, którzy po przegranej wojnie z cywilizowanym światem próbują zdobyć się na kolejny odwet. I nie powinno nas znieczulać wrażenie, że po likwidacji »inteligenckiej części szefów Al-Kaidy« pozostali w niej już sami kretyni, którzy rżną się między sobą o to, kto ma walczyć z siłami prezydenta Syrii Baszara al--Asada! Na tym przecież polegał konflikt między Państwem Islamskim a nową Al-Kaidą. Dużo czasu im to, na szczęście dla nas, zajęło, ale w końcu, po ciężkich męczarniach umysłowych, wymyślili, że… mogą to zrobić razem".

I kolejny wyjątek z kolejnej rozmowy, tym razem ze znanym badaczem, znawcą zjawiska terroryzmu:

„Rodzimy terroryzm europejski, który poniekąd wygasł na naszym kontynencie, a przecież jeszcze niedawno zbierał tragiczne żniwo (Włochy – Czerwone Brygady, Niemcy – Baader-

Meinhof, Francja, Hiszpania – Baskowie, Wielka Brytania – IRA), ma obecnie swoje źródło przede wszystkim wśród fanatyków islamu. Zbrodniarzom takim jak Mohammed Atef, Chalid Szajch Muhammad czy Walid bin Attash od dawna nie wystarczało już mordowanie niewinnych ludzi we własnych krajach. Sięgnęli do Europy i Stanów Zjednoczonych, czego skutki znamy. Oni nie żyją bądź są unieszkodliwieni, ale ich następcy próbują odbudować dawną pozycję swoich poprzedników. Dlatego tak ważne jest zrozumienie, jak niebezpieczni są ci, którzy nie potrafią znieść alternatywnych wobec siebie poglądów, szczególnie gdy dotyczą zagadnień transcendentalnych, głównie religijnych".

Teraz warto pokusić się o odpowiedź na dość podstawowe pytanie: dlaczego koalicja euroamerykańska wygrywa wojnę z terroryzmem? Daleko oczywiście do jej realnego (nie tego ogłoszonego przez George'a W. Busha) końca, trudno mówić o pełnym bezpieczeństwie nawet w Europie, ale skuteczność działań koalicji jest oczywista.

Nie mam również wątpliwości, że najwyższymi wartościami, które mamy obowiązek chronić i o które warto walczyć, są: godność człowieka, wolność, prawda oraz tolerancja, niezależnie od zapatrywań, narodowości, wyznania czy koloru skóry. Natrafiliśmy w naszych czasach jednak na przeciwnika, któremu każda z tych wartości nie tylko jest obca, ale i nienawistna do tego stopnia, że stara się on niszczyć życie w największym stopniu, w jakim tylko może.

Islamski terroryzm nie ma absolutnie żadnych zasad, żadnych granic, żadnych hamulców. Fundamentaliści nie zabijają dla zysku, w samoobronie czy w bitwach, na polu walki. Atakują nieobliczalnie, głównie cywilów, ludzi niemających nic wspólnego z głównym konfliktem, z czystej nienawiści, by wzbudzić jak największe przerażenie i nieustający społeczny lęk. Czy może być większe zło? Trudno by było chyba sobie je wyobrazić.

Odpowiedź na tak nieobliczalną agresję stała się dopiero wtedy skuteczna, gdy zastosowano twarde metody, zwane nierzadko specjalnymi. Nie wchodząc w dyskusję, którą tu omawiamy, Karol Soyka podczas pisania tej książki zadał mi pytanie: Jak sądzisz, jak by to wszystko wyglądało, gdybyśmy nie mieli w rękach odpowiednich narzędzi? Nie umiem sobie nawet tego wyobrazić, ale wiem, że prawda jest taka: dzięki metodom specjalnym, pracy międzynarodowego wywiadu, poświęceniu sił specjalnych wyłapano lub zlikwidowano ponad dziewięćdziesiąt procent przywódców islamskiego terroryzmu. Dzisiaj prezydent Stanów Zjednoczonych nie wydaje rozkazu: „Sprowadźcie bin Ladena przed oblicze sprawiedliwości!". Wydaje rozkaz: „Wyeliminować przywódcę Al-Kaidy". Agenci CIA – choć od tego już prezydent się odcina – przesłuchują terrorystów, stosując przemoc, która zmusza fanatyków do zdradzania swoich „braci", co zapobiegło dziesiątkom zamachów i uratowało życie setkom tysięcy niewinnych cywilów. Zaprzeczanie tym faktom jest hipokryzją lub celowym zafałszowywaniem historii. Najczęściej jednak – brakiem wiedzy.

I teraz pytanie, które kieruję do siebie samego: Czy wobec powyższych faktów jestem za stosowaniem wobec terrorystów „specjalnych metod przesłuchań", czyli mówiąc wprost – przemocy, w imię ratowania życia niewinnych ludzi, narażonych na okrucieństwo islamskich fundamentalistów?

Zgodny chór „poprawnych politycznie” polityków zakrzyczałby: „Nie! Nigdy! W żadnych okolicznościach!”.

Ja nie umiem być tak kategoryczny i pozbawiony obiekcji, więc odpowiadam: „Nie wiem”. Po prostu nie wiem. Może warto czasem przyznać się do wątpliwości, mimo że posiada się wystarczającą wiedzę, by logika podpowiadała, że to jedyne rozwiązanie. Te wątpliwości czynią nas innymi od tych, przeciw którym koalicja prowadzi wojnę. PR-owiec podpowie politykowi: „Nigdy nie mów »Nie wiem«. To zdradza słabość”. Ja mówię: „Nie wiem”.

Wiem, że te metody są skuteczne, że uratowały wiele istnień ludzkich, i wiem jednocześnie, że to wbrew zasadom wyznawanym przez wolny świat. Wiem, że to postępowanie okrutne i czasem nieludzkie. Dlatego… nie wiem. Jeśli motorem do rozwoju cywilizacyjnego i etycznego stała się wątpliwość i świadomość niewiedzy, którą zaproponował ponad dwa tysiące czterysta lat temu Sokrates, to dlaczego dzisiaj, gdy żyjemy w coraz bardziej zakłamanym teatrze życia codziennego, tak boimy się mieć wątpliwości?

Jestem przekonany, że wartości stają się zmienne wobec czasu i sytuacji, że relatywizm jest podstawą do tolerancji, że wielopłaszczyznowość wartości jest odpowiedzią na naszą naturę, a rozwiązaniem i drogą do porozumienia jest po prostu pogodzenie się z tym. Jestem przekonany, że fundamentaliści islamscy nie mają nic wspólnego z religią muzułmańską, prostą w swoim przekazie, nieagresywną, mającą swoje podstawy w Koranie, w którym znajdziemy między innymi surę mówiącą o obowiązku szacunku wobec innowierców, choć w innej wyczytamy zachętę do walki (duchowej!). Prawdziwy świat muzułmański potępia terroryzm i przemoc. Tę zasadę wyznaje ogromna rzesza ludzi prawych i posłusznych zaleceniom Koranu, który – choć nie zawsze konsekwentnie, ale co ciekawe, bardziej zdecydowanie niż Biblia – głosi równość wszystkich ludzi wobec siebie, w tym równość obu płci, oraz nakazuje obowiązek czynienia dobra, tolerancję i skromność.

Koran naucza: „Zaprawdę, ci, którzy uwierzyli, ci, którzy wyznają judaizm, chrześcijanie i sabejczycy, i ci, którzy wierzą w Boga i w Dzień Ostatni i którzy czynią dobro, wszyscy otrzymają nagrodę u swego Pana; i nie odczują żadnego lęku, i nie będą zasmuceni!” (Koran 2 : 62, tłum. Józef Bielawski). W innym miejscu (2 : 256) stwierdza, że „nie ma przymusu w religii!”.

Odpowiadając na postawione w tym rozdziale pytanie, rozważając wszystkie argumenty za i przeciw, musimy mieć świadomość ogromnej różnicy między społecznością muzułmańską a zbrodniarzami, którzy podszywają się pod jej religię. Dylemat zwykłych ludzi próbujących zająć stanowisko wobec sposobów walki z terroryzmem islamskim, a mówiąc bardziej dosadnie – dramat nas wszystkich, wychowanych w cywilizacji europejskiej, nie polega wcale na konieczności określenia się, a przede wszystkim na smutnej konstatacji, że nie da się obronić naszych wartości wyłącznie metodami nam najbliższymi, takimi jak dialog czy honorowe współzawodnictwo. Być może nasze metody zawsze już będzie trzeba dostosowywać do metod przeciwnika.

Jak najdalszy jestem od szastania modnymi w dzisiejszej polityce wielkimi kwantyfikatorami, czyli określeniami typu „zawsze”, „nigdy”, „wszystko”… Ale sprzeciwiam

się powszechnemu fałszowi stosowanemu w dyskusji na podjęty tu temat. Na razie wciąż mówię: „Nie wiem” i zachęcam Czytelników do wątpliwości – nie tylko w tej debacie.

Zgadzając się w pełni z mesjaszem innej religii, który przekonywał, że prawda nas wyzwoli, ja dodałbym skromnie, że wiedza w tej kwestii również nie zaszkodzi.

Krzysztof Kotowski

Przypisy

[1] Karabin wyborowy Dragunowa – snajperski, samopowtarzalny karabin, którego prototypy Jewgienij Dragunow zaprezentował w 1961 roku. W Iraku zarówno przed II wojną w Zatoce Perskiej, jak i w czasie jej trwania był bardzo popularną bronią irackich snajperów.

[2] Taktyczny karabin wyborowy McMillan .308 – karabiny wyborowe McMillan są przeznaczone dla profesjonalnych strzelców, których zadaniem jest trafiać do celu w każdych warunkach. Kaliber 7,62 × 51 milimetrów (0,308 cala) jest karabinem powtarzalnym ze średnio ciężką lufą i magazynkiem o pojemności 5 naboi. Doświadczony strzelec, wykorzystując amunicję najwyższej jakości, uzyskuje z tej broni skupienie na poziomie ½ MOA.

[3] Kevlar – hełm kevlarowy wz. 93, chroniący głowę przed odłamkami (szrapnelami) i niektórymi zagrożeniami balistycznymi.

[4] „Jedynka” – popularna wówczas nazwa naszego wywiadu działającego w ramach Departamentu I MSW. W maju 1990 roku zadania tego departamentu przejął Zarząd Wywiadu UOP.

[5] Hipokretyna – substancja należąca do tak zwanych neuropeptydów. Reguluje reakcje podczas snu i czuwania z punktu widzenia emocji. Przede wszystkim odpowiedzialna jest za „wyczuwanie” stanu zagrożenia, zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz. Hipokretyna zmusza organizm do snu, jeśli neuroprzekaźniki ulegają wyczerpaniu do tego stopnia, że funkcjonowanie organizmu może stać się niebezpieczne dla niego samego z powodu złej oceny impulsów dobiegających z otoczenia.

[6] Azymut – kąt zawarty między północną częścią południka a kierunkiem marszu.

[7] PM63 – polski ręczny pistolet maszynowy kalibru 9 milimetrów.